

MARCIN KOSZAŁKA:
HAŃBA GORALENVOLKU

JULIAN ASSANGE
– DZIENNIKARZ CZY SZPIEG?

SZCZEPHENIA
DLA DOROSŁYCH

PAWEŁ SIERGIEJCZYK:
HISTERIA WOKÓŁ HISTORII
W SZKOLE

KTO STOI ZA TRAGEDIA TOMASZA KOMENDY

- fałszywi świadkowie
- biegli • policjanci
- prokuratorzy • sędziowie

ISSN: 1509-3115 Indeks: 353299



• TEATR CAPITOL •

NAJLEPSZE KOMEDIE • PIKANTNE FARSY • GWIAZDORSKIE OBSADY

PREMIERA
LUTY 2024

ŁÓŻKO PEŁNE CUDZO- ZIEMCÓW

REŻYSERIA
JERZY BOŃCZAK

AUTOR
DAVE FREEMAN

PRZEKŁAD
ELŻBIETA
WOŹNIAK

GRAMY W CAŁEJ POLSCE!

• KUP

BILET

TEATR CAPITOL

• www.teatrcapitol.pl •

JOANNA BALASZ JACEK BOŃCZYK MARTA BRYŁA ANNA GUZIK KACPER KUSZEWSKI
MICHAŁ MEYER IGOR OBŁOZA WALDEMAR OBŁOZA PAWEŁ ORLEAŃSKI RADOŚLAW PAZURA
KAROLINA PIWOSZ WOJCIECH SOLARZ ALEKSANDRA SZWED DARIA WIDAWSKA

Patroni Medialni



Partnerzy Teatru

TEATR CAPITOL, ul. Marszałkowska 115, 00-102 Warszawa, tel. 22 620 21 42, www.teatrcapitol.pl

eprasa.pl 01893a4089



Rozliczyć Kaczyńskiego

W jakim stanie jest Polska po ośmiu latach rządów Jarosława Kaczyńskiego? W znacznie gorszym niż przewidywali najwięksi pesymiści. Tak złym, że czekają nas gorące miesiące i protesty. A absurdalnym finałem rządów PiS może być sytuacja, w której na czele protestów rolników pomaszeraują pod rękę Kaczyński z wysłanym przez niego do Brukseli komisarzem Wojciechowskim. Parasole nad nimi mogą nieść grabarze polskiego rolnictwa – byli wicepremier Kowalczyk i były minister Tełus. Ten ostatni może dodatkowo robić to, co lubi, czyli machać gaśnicą.

Absurd? Oczywiście, ale przecież nie takie numery oglądaliśmy za rządów dojrzałej zmiany. Używam określenia „dojrzała zmiana” w opisie minionych, na szczęście, rządów, bo najtrafniej oddają sedno tego, kim ci politycy są i co z Polską zrobili. Do wkurzonych rolników już dołączył Piotr Duda i NSZZ Solidarność, czyli związek który trzymał parasol nad polityką rolną PiS. Jaka ona była, widać po efektach.

Po Kaczyńskim, który stracił władzę traktowaną przez niego jak osobistą zabawę, można spodziewać się wszystkiego. Zdziwiła mnie naiwna wiara części polityków i komentatorów, że prezes zgodnie z zapowiedzią przejdzie na emeryturę. Nie doczekamy tego. Kaczyński i polityka to jedność. Bez władzy jest jak ryba bez wody. Całe życie spędził na intrygach, manipulowaniu ludźmi i kupowaniu ich poparcia za posady. Zbieranie haków

i donosów jest jego sposobem na budowanie partii i zarządzanie ludźmi. Niby nic nowego, bo są to metody znane od zarania ludzkości. Ale skala tego zjawiska swoim ogromem sytuuje Kaczyńskiego w czołówce współczesnych satrapów.

Co Kaczyński tymi metodami zbudował? Czy nasze państwo jest sprawniejsze? A może nowocześniejsze i bardziej uczciwe wobec obywateli? Wręcz przeciwnie. Topimy się w bagienku nepotyzmu. Podzieleni jak nigdy od 1918 r.

Temu ponuremu bilansowi nie towarzyszy nawet skromny cień samokrytyki. Zamiast przeprosin Polacy dostają kolejną porcję szczucia i nienawiści. Bo co dla siebie wycisnęło liczne grono lizusów i potakiewiczów, widzimy z każdą odsłoną kurtyny. Kaczyński nazywał to masowe złodziejstwo ekonomizacją partii i budowaniem nowych, własnych, słuszych elit. Widzimy, jaki był efekt tej kadrowej rewolty. Zbudowanie elity z takich ludzi, którym Kaczyński powierzył ważne funkcje, przerodziło się w możliwość. Szkoda mi miejsca na przypomnienie ich nazwisk, bo jeśli w ogóle będą się pojawiać w przestrzeni publicznej, to raczej w kronikach kryminalnych.

Jeśli jednak nie chcemy dopuścić do powrotu tego koszmarnego eksperymentu, to Kaczyński musi zostać rozliczony z każdego czynu, który sprawił, że mamy tak robaczywe państwo. Rozliczenia muszą boleć sprawców, a nie ich ofiary.



**Drogie
Czytelniczki!**
**Miłego świętowania
Dnia Kobiet
życzy
męska ekipa redakcji**

W NUMERZE

KRAJ

- 8 Winni bez kary**
Kto stoi za tragedią Tomasza Komendy
- 11 Rolniczy gniew i wielka polityka**
Unia przeciw, a nawet za
- 14 Kielbasa na wózku**
Jaki zasilek dla osób z niepełnosprawnościami
- 46 Dziewczęta z Froteksu**
Ciężka praca w przemyśle lekkim

ZAGRANICA

- 16 Kara za prawdę**
Przypadek Juliana Assange'a
- 20 Nie tylko Nawalny**
Na celowniku Kremla

OPINIE

- 24 Paweł Siergiejczyk**
Histeria wokół historii

HISTORIA

- 28 Fiasco Goralenvolku**
Górale nie tylko szlachetni

KULTURA

- 31 Nie lubimy mówić o własnych grzechach**
– rozmowa z Marcinem Koszałką
- 34 Nie zawsze musimy spoglądać na drzewo**
– rozmowa z Dariaż ze Śląska
- 37 Kulturalia**
- 38 Bo to zła kobieta była**
Pierwsze cywilizacje mogły być matriarchalne
- 66 Mateusz Szczypiński. Babie lato**

MEDIA

- 42 Na żywo z odtworzenia**
Transmisje sportowe a streaming

OBSERWACJE

- 52 Kwiatek dla Ewy**
Jak kupować kwiaty z głową

ZWIERZĘTA

- 56 Aksamitek**
Mały ptaszek w wielkiej podróży

ZDROWIE

- 60 Szczepienia dorosłych**
Nie wszystkie szczepionki na całe życie

FELIETONY I KOMENTARZE

- 3 Jerzy Domański**
Rozliczyć Kaczyńskiego
- 27 Andrzej Romanowski**
O prawaku
- 45 Roman Kurkiewicz**
Kapitalizm: żadnej korekty!
- 51 Tomasz Jastrun**
Karykatury
- 59 Wojciech Kuczek**
Internet? Co to takiego?



31
KULTURA

NIE LUBIMY MÓWIĆ O WŁASNYCH GRZECHACH

– rozmowa z Marcinem Koszałką

52
OBSERWACJE



KWIATEK DLA EWY

Jak kupować kwiaty z głową



56
ZWIERZĘTA

AKSAMITEK

Mały ptaszek w wielkiej podróży

Projekt okładki: Iza Mierzejewska





f Falszywy mit „wykłętego”

Historia nigdy nie jest czarno-biała. Po obu stronach barykady byli różni ludzie. A nie jest przecież żadną tajemnicą, że przez kilka ostatnich lat IPN nachalnie propagował ludzi i środowiska związane z endecją. Liczyli się tylko Dmowski, Stronictwo Narodowe, NSZ itp. Zniknęły gdzieś PPS i PSL.

Jeśli wspomina się KSS KOR, to tylko w wersji podanej do wierzzenia przez pana Macierewicza. A że fakty są inne? Tym gorzej dla faktów! A przecież trzon KOR stanowili ludzie o lewicowych poglądach, a tzw. starsi państwo, stanowiący pewną ochronę dla młodych korowców wcześniej byli działaczami PPS. Podobnie rzecz ma się z Solidarnością, która obecnie niewiele ma wspólnego z pierwowzorem. Czy związek pamięta jeszcze, że program „Rzeczypospolitej Samorządnej” uchwalony na I Zjeździe Solidarności był wybitnie lewicowy?

Wracając do „Lalka”, „Burego”, „Ognia” itp., to jakiś czas temu w „Gazecie Wyborczej” ukazał się list rodziny Stanisława Dydo (urodzonego w mojej miejscowości), działacza WiN skazanego na karę śmierci i straconego po pokazowym procesie. Potomkowie jego rodzeństwa nie życzą sobie nazywania go „żołnierzem wykłym”, skoro IPN określa takim samym mianem np. „Burego”. Ich zdaniem stawianie Stanisława Dydo w jednym szeregu z „Burmą” uwłacza jego pamięci. Senior Dydo przed wojną był kierownikiem szkoły w mojej miejscowości. Pomógł wielu uzdolnionym chłopskim dzieciom w zdobyciu dalszej edukacji. Został zamordowany w KL Auschwitz i szkoda, że lokalna społeczność jakoś o tym nie pamięta.

Robert Kisiel

✉ Czy powinna powstać armia europejska?

Polsce i Europie zależy na tym, aby mieć bezpieczeństwo zapewnione jak najniższym kosztem i bez uzależnienia od USA. Jedynym racjonalnym rozwiązaniem tego problemu jest zamiana istniejących formacji narodowych, z wyjątkiem sił nuklearnych, na jedną ponadnarodową, która byłaby komponentem NATO. Wydatki zbrojeniowe Rosji i Białorusi w 2022 r. razem 66,7 mld dol., wydatki krajów UE – 345 mld dol. Siły zbrojne Rosji i Białorusi w 2022 r. liczyły łącznie 1,2 mln żołnierzy, a krajów UE 1,5 mln. Powstaje więc pytanie, dlaczego przywódcy UE boją się Rosji i uzależniają swoje bezpieczeństwo od armii USA, na którą mają zerowy wpływ. Moim zdaniem znaczenie ma słuszne przekonanie, że rozdrobnienie armii europejskich wpływa na spore ograniczenie ich zdolności operacyjnych, brak pewności co do skuteczności armii sojuszników i tego, czy wszyscy zadziałają zgodnie art. 5 deklaracji NATO. Ponadto posiadanie własnej armii wzmacnia prestiż każdego kraju. Stosunek wydatków na obronę do PKB wynosi w UE 1,56%, a w Polsce 3,9%. Tak więc przede wszystkim Polska powinna być zainteresowana powstaniem armii europejskiej ze względu na bezpieczeństwo i obniżenie wydatków na armię o ponad połowę.

Paweł Zieliński



ZDJĘCIE TYGODNIA



Tłumy mieszkańców Moskwy pożegnały Aleksieja Nawalnego. Kolejka do bram cerkwi ciągnęła się ponad kilometr. Władze ogłosiły, że wszelkie próby organizowania po pogrzebie wieców i demonstracji będą nielegalne, i zagroziły karami.

Na koniec 2023 r. Polacy mieli **depozyty w wysokości 1,228 bln zł.**

Komisja Europejska odblokowała Polsce 137 mld euro z Krajowego Planu Odbudowy i innych funduszy na realizację polityki spójności. Pierwsze transze pieniędzy wpłyną w marcu.

Według Kilońskiego Instytutu Gospodarki Światowej **Polska jest na siódmym miejscu w niesieniu pomocy Ukrainie.** Nasz kraj przeznaczył na to łącznie **4,3 mld euro (ponad 18,5 mld zł)**, czyli 0,67% PKB.

Na 16 438 wyroków w sprawach frankowych, jakie zapadły w 2023 r., **97% było na korzyść kredytobiorców.** Najczęściej procesy przegrywają mBank, PKO BP, BPH i Raiffeisen.

Na 1 861 975 mieszkańców Warszawy w końcu 2023 r. **było zarejestrowanych 2 129 318 samochodów.** I co z tym zrobić? Na początek wykreślić pojazdy od lat nieużywane.

14 uczelni otworzyło w roku akademickim 2023/2024 nowy kierunek lekarski. **Większość została negatywnie zapiniowana przez Polską Komisję Akredytacyjną.** Dotyczy to m.in. Społecznej Akademii Nauk w Łodzi, Akademii Kaliskiej czy Olsztyńskiej Szkoły Wyższej, która planuje nauczanie medycyny w swojej filii w Cieszynie.

33 największe firmy mediowe w Europie wystąpiły ze **wspólnym pozwem przeciwko Google Netherlands** w związku z naruszeniem zasad uczciwej

konkurencji na europejskim rynku technologii reklamy internetowej w latach 2014-2023.

Grzegorz Jankowicz, aktywista literacki, eseista, związany ze środowiskiem „Tygodnika Powszechnego” został pełnomocnikiem ministra kultury i dziedzictwa narodowego ds. połączenia Instytutu Książki i Instytutu Literatury.

Wraca sprawa Ryszarda Czarneckiego. Prokuratura Okręgowa w Zamościu skierowała do Parlamentu Europejskiego wniosek o uchylenie mu immunitetu. W latach 2009-2013 Czarnecki złożył 243 wnioski o zwrot kosztów podróży, kłamiąc w sprawie swojego miejsca zamieszkania w Polsce i pojazdów, którymi podróżował. Jeden z nich był wcześniej zezłomowany.

Zuza Banasińska, artystka wizualna, została laureatką konkursu TEDDY Award na Międzynarodowym Festiwalu Filmowym w Berlinie. Jej esej filmowy „Grandmamauntsistercat” zdobył przyznaną od 38 lat najważniejszą nagrodę dla filmów queer na świecie jako najlepszy film krótkometrażowy.

Edgar Kobos, współpracownik byłego wiceministra Piotra Wawrzyka, zeznając przed sejmową komisją śledczą ds. afery wizowej, oświadczył, że **kierownictwo Zjednoczonej Prawicy próbowało tuszować aferę wizową.**

W kolejnym roku spadła sprzedaż nowych ciągników rolniczych. W 2023 r. zarejestrowano w Polsce nieco ponad 10 tys. sztuk, o 12% mniej niż rok wcześniej.

PRZEBŁYSKI

Agrochem Puławy, czyli gwóźdź do trumny

Rolnicy protestują, a firma Agrochem Puławy dolewa benzyny do tego buntu. O co tu chodzi? Rolnicy są goli i wkurzeni. Ciągłe nie dostali dopłat unijnych. Nie dostali obiecanego suszowego. Nie dostali wyrównania do cen zbóż, które im obiecał człowiek z gaśnicą, czyli Telus. Ale coś jednak dostają. Wezwania do płacenia za nawozy, kredyty, leasingi itd. Większość firm pracujących dla rolników wie, że trzeba ich jakoś wesprzeć. Przekładają płatności. A co robi Agrochem Puławy?

Ściga rolniczych dłużników. Windykuje. Nasyła komorników. Może rolnicy jeszcze bardziej się wkurzą. Czy o to chodzi? Prezes Agrochemu Puławy Tomasz Sałek nie jest chyba z kosmosu.



Glapiński honoruje „Łupaszkę”

Z jednej strony kosmiczna strata Narodowego Banku Polskiego, a z drugiej srebrna moneta, którą Narodowy Bank Polski wprowadził do obiegu.

Kosmiczna strata NBP za prezesury Glapińskiego to 31 mld zł. A srebrna moneta? 10 tys. srebrnych monet o nominalie 10 zł upamiętnia Zygmunta Szendzielarza „Łupaszkę”. Plus załgany panegiryk o „Łupaszce”. Oczywiście ani słowa w nim o zbrodniach oddziałów Szendzielarza. W Dubinkach (27 osób zamordowanych, w tym trzynaścioro dzieci i dziewięć kobiet). W Reputanach (kobieta i dziesięć dzieci), Olkunach (17 osób, w tym głównie kobiety i dzieci mordowane bagnetami). Spalone wsie Potoka i Wiluki, gwałty.

Za te wszystkie zbrodnie odpowiada „Łupaszka” wyróżniony przez Glapińskiego monetą NBP.

Norki na protestach

Jeśli ktoś ogląda relacje z protestów rolników, zwłaszcza w Polsce, to myśli, że najbardziej poszkodowanym rolnikiem jest Szczepan Wójcik.

Maszeruje, przemawia, udziela wywiadów i żąda. Kim jest ta ofiara Unii, Ukrainy i polskich rządów? Szczepan Wójcik zaczął protestować już siedem lat temu. Przeciwno zakazowi hodowli zwierząt futerkowych, który chciał wprowadzić Jarosław Kaczyński. A Wójcik był właścicielem wielu ferm norek. Dziś te fermy prowadzi jego brat. Ma też takie hodowle na Ukrainie. Warunki, w jakich żyją tam zwierzęta, były wielokrotnie opisywane jako barbarzyńskie. Wójcika popierają o. Rydzki i „Nasz Dziennik”, którzy wymusili na PiS utrzymanie tej hodowli.

Z takimi reprezentantami jak milioner Szczepan Wójcik rolnicy daleko nie zajadą. A fermy z norkami trzeba wreszcie zamknąć.



Demon gnębi Pawłowicz

Skandalistka Krystyna Pawłowicz kończy występy w stylu, który znamy z licznych memów. W odsunięciu dojnej zmiany od władzy ma swój niepośledni udział. Ośmieszala ją na tyle sposobów, że w końcu stała się jasnością, która do Trybunału Konstytucyjnego też trafi.



Pawłowicz sprawia wrażenie, jakby przez osiem lat plotła, ale oczu nie otwierała. Po przegranych wyborach oczęta otworzyła i co zobaczyła? W „Sieci” opowiada, że kraj zalewa niepraworządność, barbarzyństwo, gangsterstwo. „Jako osoba wierząca uważam, że to, co się dzieje, ma CHARAKTER DEMONICZNY”. Jakiz to diabeł gnębi Pawłowicz?



PYTANIE TYGODNIA | Jaki pracodawca w Polsce jest dziś najbardziej atrakcyjny?

PIOTR SZUMLEWICZ,
przewodniczący Związku Zawodowego
Związkowa Alternatywa

Po pierwsze, najbardziej atrakcyjnymi pracodawcami w Polsce są firmy z przeważającym udziałem kapitału zagranicznego, a najgorsze są polskie mikropresiębiorstwa, które najmniej płacą i najczęściej łamią prawo pracy. Mediana płac w firmach z przeważającym udziałem kapitału zagranicznego jest o ok. 2 tys. zł wyższa niż w przedsiębiorstwach z przewagą polskiego kapitału, przy czym im większa firma, tym te różnice w zarobkach są mniejsze. Po drugie, lepsze warunki pracy są tam, gdzie działają związki zawodowe, ale niestety poziom uzwiązkowienia w Polsce wciąż jest bardzo niski. Wreszcie po trzecie, wysokie standardy zatrudnienia powinien wyznaczać sektor publiczny. Niestety, w Polsce budżetówka od lat jest zaniedbywana, wykwalifikowani pracownicy są wypychani do sektora prywatnego, nie ma przejrzystych ścieżek awansu, rozpowszechnione jest kołobieżność. Poprawa

warunków pracy w sektorze publicznym powinna być jednym ze strategicznych celów rządu.

DR KAZIMIERZ SEDLAK,
dyrektor Sedlak & Sedlak

Upraszczając problem, można odpowiedzieć, że ten, kto najwięcej zapłaci i będzie od nas najmniej wymagał. Cuda jednak nie zdarzają się codziennie. Dane z rynku pracy podpowiadają, że duże poczucie stabilizacji zawodowej daje praca w sektorze publicznym (instytucje państwowe, urzędy, szkolnictwo itp.). Niestety, poczucie bezpieczeństwa nie towarzyszy komfort finansowy, bo płace w tym sektorze nie są wysokie, ale trudno jest mieć ciastko i je zjeść. Znacznie większe zarobki i chyba stosunkowo wysokie poczucie stabilizacji zatrudnienia oferują również spółki giełdowe. Zwykle są to również podmioty oferujące nie tylko przyzwoite wynagrodzenie, ale również możliwości rozwoju zawodowego.

ALEKSANDER HEBDA,
przewodniczący
Samorządu Studentów UW

Może to być dla niektórych zaskoczeniem, ale dla studenta najlepszy jest pracodawca oferujący umowę-zlecenie. Przyczyna jest prosta – taka umowa nie jest dla studenta opodatkowana i cała kwota trafia do jego kieszeni. Dobry pracodawca to taki, który zaoferuje umowę o pracę po okresie stażowym. Świetnie, jeśli znajdzie sposób na skompensoowanie różnicy wynikającej z przejścia z umowy-zlecenia na umowę o pracę. Wbrew pozorom zwolniony wcześniej z podatków student nawet przy podwyżce dostaje mniejsze pieniądze ze względu na opodatkowanie pensji. Dla osoby pracującej na studiach ważny jest elastyczny grafik, który można dopasować do zajęć. Najważniejsza jest jednak możliwość nauki fachu, który młodzi ludzie chcą później wykonywać.

Rozmawiał Kornel Wawrzyniak

WINNI BEZ KARY

Apelujemy do ministra Adama Bodnara, aby ludzie odpowiedzialni za zrobienie Tomasza Komendy w gwałt i zabójstwo nie zostali bezkarni

Andrzej Sikorski

Przedwczesna śmierć Tomasza Komendy po raz kolejny wywołała poruszenie tragiczną historią mężczyzny, który spędził 18 lat w więzieniu skazany za zbrodnie, których nie popełnił – gwałt i zabójstwo 15-letniej Małgosi Kwiatkowskiej w sylwestrową noc 1996 r. w Miłoszycach. Liczne dyskusje koncentrują się na życiu prywatnym Komendy, natomiast zupełnie zapomina się o ludziach, którzy przyczynili się do jego skazania i nigdy nie zostali pociągnięci do odpowiedzialności.

Przedawnienie, umorzenie, wstyd

W grudniu 2023 r. Prokuratura Okręgowa w Łodzi umorzyła śledztwo dotyczące niesłusznego aresztowania i skazania Tomasza Komendy. Skala nie tylko błędów, ale też nadużyć policjantów, prokuratorów, biegłych i sędziów jest przerażająca. Prokuratorzy zgromadzili obszerny materiał dowodowy: ok. 100 tomów akt, zeznania ponad 400 świadków, pięć opinii grafologicznych, dwie osmologiczne, psychologiczną, lekarską i odontologiczną wraz z opinią uzupełniającą. Wydawać by się mogło, że sześć lat wytężonego śledztwa nie pójdzie na marne. Stało się inaczej. Okazało się, że albo ewentualne przestępstwa już się przedawniły (np. wymuszanie zeznań przez policjantów), albo nie znaleziono dostatecznych dowodów winy policjantów, biegłych, prokuratorów i sędziów. Nie udało się także ustalić winnych złego traktowania Tomasza Komendy w więzieniu, gdzie był wielokrotnie bity przez innych więźniów i strażników.

„Biorąc pod uwagę logikę i doświadczenie życiowe, trudno



15 marca 2018 r. Sąd Okręgowy we Wrocławiu warunkowo zwolnił Tomasza Komendę z odbywania reszty kary, a 16 maja 2018 r. Sąd Najwyższy go uniewinnił.

sobie wyobrazić, że nie ma odpowiedzialnych za skazanie Tomasza Komendy”, stwierdził oburzony tą decyzją prokuratury pełnomocnik Tomasza Komendy mec. Paweł Matyja, zapowiadając zaskarżenie postanowienia o umorzeniu śledztwa. Dlatego apelujemy, aby minister sprawiedliwości i prokurator generalny Adam Bodnar objął nadzorem śledztwo prokuratury w Łodzi. I nawet jeśli winni mieliby pozostać bezkarni, niech opublikuje białą księgę i wskaże z imienia i nazwiska wszystkich odpowiedzialnych za to, że Tomasz Komenda został niesłuscznie skazany i ponad jedną trzecią życia spędził w więzieniu. Takie opracowanie będzie przestrożą dla chcących iść na łatwiznę policjantów, prokuratorów, biegłych i sędziów, a także porywczycy polityków, którzy domagają się wprowadzenia w Polsce kary śmierci.

Lista Tomasza Komendy

„Mam głęboką nadzieję, że osoby, które bezpośrednio przyczyniły się

do mojego aresztowania i osądzenia, odpowiedzą za celowe działanie na moją niekorzyść. Mam tu na myśli panią Dorotę P., pana Bogusława R., pana Zbigniewa P., pana Stanisława O., pana Tomasza F. i pana Michała K. Sprawiedliwości stanie się zadość, gdy po uczciwym śledztwie wszyscy wyżej wymienieni zasiądą na ławie oskarżonych”, napisał Tomasz Komenda w oświadczeniu do Sądu Najwyższego, który w 2018 r. uchylił wydane na niego wyroki skazujące, stwierdzając, że jest on niewinny, a dowody w sposób jednoznaczny wykluczają jego sprawstwo.

Bogusław R. i Zbigniew P. to dwóch najważniejszych policjantów w tej sprawie. To oni najpierw przesłuchiwali Komendę. Obaj już dawno są poza zawodem.

Dorota P. była sąsiadką jego babci. To ona rozpoznała chłopaka na jednym z portretów pamięciowych pokazanych w telewizyjnym programie kryminalnym „997”. W trakcie śledztwa twierdziła, że Tomasz jest agresywny, a jego rodzina patologiczna,

że Komenda nadużywa alkoholu i wykorzystuje finansowo babcię, z którą miała się rzekomo przyjaźnić. Przekonywała, że dziewczyna Komendy mieszkała w Jelczu-Laskowicach, tak jak zamordowana nastolatka. Dorota P. zeznała, że Tomasz Komenda był w Miłoszycach w noc morderstwa, pożyczył od niej pieniądze na benzynę, by dotrzeć tam samochodem. Policjanci i nadzorujący ich prace prokuratorzy nie zweryfikowali tych opowieści. Dorota P. zmarła w 2018 r.

Stanisław O. to prokurator Stanisław Ozimina, który wsadził 22-letniego Tomasza Komendę do aresztu i przesłuchiwał m.in. Dorotę P. Gdyby Ozimina należycie wywiązał się ze swoich obowiązków, nie tylko doszedłby do wniosku, że kobieta kłamie, ale że w ogóle jest niewiarygodna. Dorota P. dopuszczała się bowiem oszustw już wcześniej. M.in. podrobiła podpis swojego partnera na dokumentach dotyczących meldunku, by przejąć należące do niego mieszkanie. Fałszywie oskarżyła go także o przemoc.

W 2000 r. – po kilku miesiącach prowadzenia śledztwa – Oziminie odebrano sprawę zbrodni

miłoszyckiej. Prokurator zaczął mieć kłopoty. Został oskarżony o przestępstwa korupcyjne. W 2019 r. na pięć lat trafił do więzienia, z powodu złego stanu zdrowia został zwolniony na przepustkę. Zmarł w 2022 r. Pochowano go pod zmienionym imieniem i nazwiskiem.

Śledztwo po Stanisławie Oziminie przejął prokurator Tomasz Fedyk. Przełożeni przydzielili mu je po interwencji adwokat rodziny zamordowanej dziewczyny u ówczesnego ministra sprawiedliwości i prokuratora generalnego Lecha Kaczyńskiego. Fedyk po zaledwie kilku miesiącach prowadzenia sprawy wystąpił do sądu akt oskarżenia przeciwko Tomaszowi Komendzie. Oskarżył go jednak nie o zabójstwo, ale o udział w gwałcie zbiorowym (potem sąd w trakcie procesu zmienił kwalifikację czynu). Formułując akt oskarżenia, Tomasz Fedyk opierał się na wynikach wątpliwych badań biologicznych (DNA, odcisków zębów i śladów zapachowych), które po latach zostały podważone. Prokurator zignorował alibi, które Komendzie dawało 12 osób – przyjaciele i rodzina. Nie było go w Miłoszycach, a tamtego sylwestra spędził z rodziną

i znajomymi w domu we Wrocławiu. Fedyk zastraszał bliskich Komendy, groził, że oskarży ich o składanie fałszywych zeznań.

W 2019 r. prokurator Fedyk został zatrzymany przez policję za jazdę samochodem pod wpływem alkoholu. Sąd dyscyplinarny wymierzył mu najwyższą możliwą karę, czyli wydalenie ze służby prokuratorskiej. Jednak w sądzie karnym sprawa przybrała nieoczekiwany obrót. Sąd uznał, m.in. na podstawie opinii biegłych, że Fedyk nie prowadził w stanie nietrzeźwości, a tylko po spożyciu alkoholu, co jest wykroczeniem i uległo przedawnieniu. Fedyk wrócił do pracy w prokuraturze.

Zbigniew P. i Bogusław R. to policjanci, którzy groźbami i biciem wymusili na Komendzie zeznania i kazali mu podpisać wymyśloną historię, że w noc morderstwa pojechał autobusem do swojego kolegi do Gajkowa, a stamtąd na piechotę poszedł na dyskotekę do Miłoszyc, gdzie miał uprawiać seks na łące z jakąś dziewczyną. To zeznanie wykorzystano w akcie oskarżenia, dowodząc, że Komenda faktycznie był tej nocy w miejscowości, w której doszło do

Zbrodnia miłoszycka

15-letnia Małgosia Kwiatkowska została brutalnie zgwałcona w sylwestrową noc w 1996 r. w okolicach klubu Alcatraz w Miłoszycach. Prawdopodobnie odurzoną pigułką gwałtu nastolatkę mordercy wyprowadzili z dyskoteki, znęcali się nad nią i wielokrotnie zgwałcili – jak ustalono w trakcie przeprowadzonej sekcji zwłok – być może ręką albo narzędziem o tępych krawędziach. Nagą, pogryzioną i bestialsko pobitą porzucili na śniegu. Nie miała szans na przeżycie.

Śledztwo szło jak po grudzie. Kilkakrotnie je umarzono. Zmieniali się prokuratorzy. Tomasz Komenda nie był w kręgu podejrzanych do czasu, aż w 1999 r. pewna wrocławianka rozpoznała go na publikowanym w telewizji portrecie pamięciowym. Policja przesłuchiwała Komendę i pobrała od niego materiał do badań. Pasowały zarówno DNA, jak i odcisk szczęki oraz ślad ośmologiczny.

W trakcie przesłuchania przez policję Tomasz Komenda miał zeznać, że sylwestra spędził w Miłoszycach i uprawiał seks z jakąś dziewczyną, która się na to zgodziła. Jednak w trakcie procesu nigdy nie przyznał się do winy. Oświadczył, że zeznania o seksie z dziewczyną podpisał, bo groźbami i biciem zmusili go do tego policjanci. Ponieważ Komenda nie miał zrobionej obdukcji, nie było dowodów na pobicie, a adwokat nie poruszał tej sprawy w sądzie. Linia obrony opierała się na podważeniu badań

biologicznych, które nie były jednoznaczne, m.in. sekwencja kodu DNA Tomasza Komendy pasowała do kilkudziesięciu osób w samym tylko Wrocławiu.

W 2003 r. Sąd Okręgowy we Wrocławiu skazał Tomasza Komendę na 15 lat więzienia za gwałt ze szczególnym okrucieństwem, który doprowadził do śmierci 15-letniej dziewczyny. Od wyroku odwołali się pełnomocnik rodziny, uznając go za zbyt niski, i adwokat oskarżonego, który złożył wniosek o uniewinnienie. W 2004 r. sąd apelacyjny podwyższył karę do 25 lat więzienia.

20 lat od popełnienia zbrodni sprawą zainteresował się Remigiusz Korejwo, funkcjonariusz Centralnego Biura Śledczego Komendy Główniej Policji. Policjant ponownie przeanalizował akta, a swoje ustalenia przekazał prokuratorom Prokuratury Krajowej: Dariuszowi Sobieskiemu i Robertowi Tomankiewiczowi.

Śledczy szybko doszli do tego, że Komenda nie mógł zamordować nastolatki. W 2018 r. Sąd Okręgowy we Wrocławiu przedterminowo zwolnił mężczyznę z więzienia, a Sąd Najwyższy uchylił wyroki skazujące, stwierdzając, że jest on niewinny, a dowody w sposób jednoznaczny wykluczają jego sprawstwo.

W 2021 r. sąd skazał Ireneusza M. na 25 lat więzienia i Norberta B. na 15 lat więzienia, uznając ich winnymi gwałtu ze szczególnym okrucieństwem, w wyniku którego zmarła Małgosia Kwiatkowska. Żaden z nich nie przyznał się do zarzucanych im czynów.

► gwałtu, a na dodatek odbył tam stosunek seksualny. Tyle że tej nocy nie było autobusów do Gajkowa, a kolegę, którego miał tam odwiedzić, poznał dopiero kilka miesięcy po zbrodni, gdy podjął pracę w myjni samochodowej.

I wreszcie Michał K., czyli mecenas Michał Kelm, który jako obrońca Tomasza Komendy nie wykazywał zbyt dużej aktywności. Między innymi nie podjął wątku wiarygodności Doroty P. i zabronił Tomaszowi Komendzie zeznawać w trakcie procesu.

Niedokładni biegli, bierni sędziowie

W oświadczeniu złożonym w Sądzie Najwyższym Tomasz Komenda nie wymienił dr. Jerzego Kaweckiego, ale i on odegrał istotną rolę w sprawie. Otóż patomorfolog nie tylko wykonywał sekcję zwłok Małgosi Kwiatkowskiej, ale też został powołany jako biegły, który

użębienia żuchwy Tomasza Komendy. (...) W literaturze oraz w praktyce nie spotkaliśmy się, żeby dwie osoby miały tak samo ukształtowane użębienie. Mówimy oczywiście o użębieniu naturalnym. Nawet u bliźniaków jednojajowych użębienie może się różnić, mimo genetycznych uwarunkowań, zasadniczych cech morfologicznych”.

Zdjęcia odcisków zębów na ciele ofiary porównano z odlewem szczęki Tomasza Komendy i to był kluczowy dowód dla sądu, że to on jest sprawcą bestialskiego czynu. Tyle że jak przyznał po latach dr Kawecki, fotografie były niestarannie wykonane, a przez to nie można było bezpośrednio porównać ich z odlewem szczęki Tomasza Komendy, dlatego posłużył się proporcjami.

Zadziwiające, że nie zwrócili na to uwagi sędziowie. Pominęli też rozbieżności między pisemną opinią, która nie przesądzała o tym, że Komenda jest sprawcą, a tym, co Kawecki mówił w trakcie procesu,

odrzucili sędziowie Henryk Gradzik, Tomasz Grzegorzczuk i Małgorzata Gierszon.

Naciski Lecha Kaczyńskiego

Wskazując osoby odpowiedzialne za tragiczny los, jaki spotkał Tomasza Komendę, należy mieć też na uwadze rolę Lecha Kaczyńskiego, którego naciski spowodowały, że prokuratorzy prowadzący sprawę za wszelką cenę chcieli znaleźć winnego. W rozmowie z „Gazetą Wyborczą” (listopad 2000 r.) ówczesny minister sprawiedliwości i prokurator generalny mówił tak: „Brutalnie zgwałcono, a później zamordowano 15-letnią dziewczynkę, właściwie jeszcze dziecko. Znalezione jej ciało z rozerwanymi narządami rodnymi. I prokurator powiada pełnomocnikowi rodziny, że co najwyżej może jednemu ze sprawców postawić zarzut gwałtu. Są ślady zębów tego zbira, ślady DNA, wszelkie możliwe znaki – i nie można postawić zarzutu. Taki sposób interpretacji praw człowieka, które czynią przestępców bezkarnymi, a ofiary bezbronnymi, stanowi zagrożenie dla porządku społecznego. I mówi to panu człowiek, który w PRL sam walczył o przestrzeganie praw człowieka”.

Na pytanie dziennikarza, czy próbuje w ten sposób dowiedzieć, że prokurator chroni sprawców przed odpowiedzialnością, Lech Kaczyński powiedział: „Chcę pokazać, jak interpretuje się słuszne skądinąd przepisy regulujące sytuację podejrzanego. Ale ten przykład ukazuje też znieczulicę, atrofię moralną. I nie jest to, niestety, zjawisko wyjątkowe. Gdyby człowiek zdrowy moralnie ścigał morderców tej dziewczynki, na pewno zaangażowałby się w to z całej siły, a nie szukał sposobów chronienia degeneratów”.

Kaczyński publicznie wyrażał niezadowolone z pracy szefa wrocławskiej prokuratury Marka Gabryjelskiego, którego wkrótce odwołał. Zanim do tego doszło, Gabryjelski zdążył jeszcze od śledztwa odsunąć Stanisława Oziminę i sprawę przekazał Tomaszowi Fedykowi, który na podstawie sfałszowanych i naciąganych dowodów oskarżył Tomasza Komendę.

Andrzej Sikorski

Minister sprawiedliwości powinien objąć nadzorem śledztwo prokuratury w Łodzi i opublikować białą księgę z nazwiskami odpowiedzialnych za niesłuszne skazanie Tomasza Komendy.

porównywał odcisk szczęki zabezpieczony na ciele ofiary z użębieniem potencjalnych sprawców. Pomagał mu w tym inny biegły, Wiesław Semiczek. Co prawda, w wydanej opinii dr Kawecki stwierdził, że „obrażenia prawej piersi pochodzą od zębów żuchwy Tomasza Komendy lub od zębów innej osoby posiadającej takie same szerokości oraz zbieżny układ i zniekształcenia jak zęby Tomasz Komendy”, ale już w trakcie procesu był bardziej kategoriyczny, przekonując sąd, że to jednak Komenda jest sprawcą zbrodni.

Dr Kawecki mówił m.in.: „Z całą pewnością przyporządkowujemy, że od dowodowego użębienia oskarżonego powstały ślady użębienia na piersi denatki, będące przedmiotem naszej wspólnej opinii. (...) Po wykonaniu zdjęć fotograficznych, po dokonaniu pomiarów i obliczeniu proporcji, doszliśmy do wniosku, że ślady te pochodzą od przedniego

formułując jednoznaczne wnioski. A to właśnie opinia biegłego, potwierdzająca, że ślady zębów na ciele ofiary to odcisk zębów Komendy, była głównym dowodem, na którym oparł się pierwszy sąd rozpatrujący sprawę zbrodni miłoszyckiej. W jego składzie było dwóch sędziów zawodowych: Mariusz Wiązek – jako przewodniczący, i Beata Kinstler. Oboje są dziś sędziami Sądu Okręgowego we Wrocławiu. Sędziów wspomagało troje ławników: Anna Tyrz-Kawała, Jarosław Pauka i Stanisław Wnuk. Ten sąd skazał Tomasza Komendę na 15 lat więzienia.

Jednak sąd apelacyjny w składzie Andrzej Krawiec – jako sprawozdawca, Tadeusz Wieczorek i Zofia Świda podwyższył ten wyrok do 25 lat. Żaden sędzia orzekający w tej sprawie już nie pracuje. Jedna osoba zmarła, a dwie są w stanie spoczynku. Natomiast w Sądzie Najwyższym kasację złożoną przez adwokata Komendy



Grzegorz Rudnik

W czasie demonstracji rolników w Warszawie było ostro. Pod Sejmem wyły syreny, a zdenerwowani chłopi krzyczeli: „Precz z Unią Europejską”, „Nie pozwólmy lobby ukraińskiemu, lobby międzynarodowych korporacji zawładnąć rynkiem żywnościowym Europy” i „Nie damy się k... podzielić”. Ich światem rządziły emocje. Rolnicy są pewni, że wystarczy zamknąć granicę z Ukrainą, wyrzucić do kosza europejski Zielony Ład, pozbyć się „świń u koryta”, czyli polityków, a będzie lepiej.

Nie biorą pod uwagę, że jest też inny świat – międzynarodowych banków, wielkich korporacji, eleganckich gabinetów europejskich urzędników i wpływowych lobbystów, w których zapadają decyzje o dopłatach, cenach zbóż, nawozów sztucznych, paliw i wszystkim, czego rolnicy potrzebują, by przeżyć. Na ten świat rolnicy nie mają żadnego wpływu. Wydaje im się, że gdy w końcu rząd i Komisja Europejska spełnią ich postulaty, zaczną zarabiać i wreszcie skończą się problemy. Lecz tak nie będzie.

Rolniczy gniew i wielka polityka

Komisja Europejska była głucha na ostrzeżenia

Dziś musimy do września wyeksportować nadwyżkę 9 mln ton zbóż zalegających w magazynach od ubiegłego roku.

Unia jest przeciw, a nawet za

Pod koniec lutego br. Stany Zjednoczone i Unia Europejska ogłosiły 13. pakiet sankcji przeciwko Rosji i pewnie na tym się skończy, choć zdaniem wielu sankcje wcale nie działają. W ubiegłym roku, mimo wojny w Ukrainie i niemal całkowitego wstrzymania handlu z Europą Zachodnią, Kreml odnotował wzrost gospodarczy. Z pewnością przyczynił się do tego fakt, że państwa UE

nie wprowadziły dotychczas zakazu importu artykułów rolno-spożywczych z Rosji.

O ile porty państw unijnych zostały zamknięte dla liczącej ponad 2,8 tys. statków rosyjskiej floty handlowej, o tyle zakaz ten nie objął jednostek przewożących na przykład pszenicę, której kraj ten jest największym na świecie eksporterem. Według danych agencji Bloomberg z września ub.r. wynikało, że Rosja wyeksportuje 46,5 mln ton pszenicy, podczas gdy cała Unia – 34,5 mln ton, a Stany Zjednoczone – 19 mln ton. Ekspertki podkreślali, że to już drugi rok rekordowo wysokich plonów w Rosji, przy czym są tam ▶

► jeszcze pełne magazyny po poprzednim sezonie.

Według danych Eurostatu import rosyjskiego zboża do państw Unii wzrósł w roku 2023 ponad dwukrotnie – z 384,9 tys. ton w roku 2022 do 934,1 tys. ton. W roku ubiegłym, podczas szczytu Rosja-Afryka w Sankt Petersburgu, Władimir Putin obiecał darmowe dostawy zboża do państw afrykańskich, by zapobiec klęskom głodu, co nie pozostało bez wpływu na wysokość cen pszenicy i innych zbóż na rynkach światowych.

Okazję, by zwiększyć swoje zapasy, wykorzystały uboższe kraje Afryki i Światowy Program Żywnościowy Narodów Zjednoczonych (WFP). Cytowana przez Deutsche Welle w sierpniu ubiegłego roku rzeczniczka

stycznia br. w Brukseli delegacja Łotyszy – w imieniu Litwy, Łotwy i Estonii – złożyła w Radzie UE pismo, w którym wnioskowała o wprowadzenie zakazu importu żywności i produktów rolnych z Rosji do Unii Europejskiej. Zaś w połowie lutego br. portal UkrAgroConsult zacytował Karolisa Šimasa, prezesa Litewskiego Stowarzyszenia Przetwórców i Kupców Zboża (LGPPA), który ujawnił, że „dwie największe firmy z Kaliningradu eksportują zboże tranzytem przez litewskie porty (Kłajpedę – przyp. aut.) i otrzymują pozwolenie na przewóz zboża tranzytem przez Litwę. Następnie wchodzi litewska firma, a rosyjskie zboże trafia do portu i do krajów trzecich. Wszystkie cła opłacone, pozwolenia uzyskane. W tym programie biorą

postulowanych w styczniu br. przez Litwinów i Łotyszy.

Polscy rolnicy powinni wiedzieć, że ukraińskie zboże trafia głównie do Hiszpanii, Włoch i Francji, a nie do Polski. Natomiast rosyjskie – do Turcji, Chin, wspomnianych już państw zachodnich oraz do Afryki. Przy czym nie jest już ono ani ukraińskie, ani rosyjskie, lecz międzynarodowe.

Poza tym od 70% do 90% handlu detalicznego pszenicą znajduje się w rękach czterech wielkich międzynarodowych koncernów. Są to:

Archer Daniels Midland (ADM) – amerykański światowy lider w handlu produktami rolno-spożywczymi.

Bunge – amerykański koncern rolno-spożywczy działający w ponad 40 państwach. W Polsce posiada on 64% akcji zakładów w Kruszwicy tłoczących olej rzepakowy Kujawski.

Cargill – istniejący od ponad 155 lat amerykański koncern, który zajmuje się przetwórstwem towarów rolnych, produkcją pasz, doradztwem, a nawet usługami finansowymi.

Louis Dreyfus – koncern francuski, jeden ze światowych liderów w handlu pszenicą.

Do tej czwórki należy dodać koncerny rosyjskie:

Miratorg Holding – posiadający w Rosji ponad 1 mln ha ziemi. Założony w 1995 r. przez braci Wiktora i Aleksandra Linników. W sensie prawnym to firma należąca do zarejestrowanej na Cyprze spółki Agromir Ltd.

Prodimes – spółka oligarchy Igora Chudokormowa, do której należy 892 tys. ha. Chudokormow poza obywatelstwem rosyjskim legitymuje się też obywatelstwem maltańskim.

Agrocomplex – koncern kontrolowany przez Aleksandra Tkaczowa, byłego ministra rolnictwa w rządzie Dmitrija Miedwiediewa. Wartość koncernu będącego głównym producentem zbóż na południu Rosji szacowana jest na 88,6 mld rubli.

Grupa Rusagro – gospodaruje na gruntach o powierzchni 609 tys. ha. Zajmuje się też produkcją wieprzowiny, tłuszczów i cukru.

W starciu z nimi ani rząd Donalda Tuska, ani żaden inny europejski gabinet nie mają szans.

To nie USA, nie Ukraina i nie kraje Unii dyktują ceny na światowym rynku zbóż, ale Rosja, oferując towar po wyjątkowo korzystnych cenach, a nawet za darmo.

biura WFP w Nairobi informowała, że udało im się pozyskać 80% zapasów pszenicy dla państw Afryki Wschodniej.

Okazało się, że to nie USA, nie Ukraina i nie kraje Unii Europejskiej dyktują ceny i warunki na światowym rynku zbóż, zwłaszcza pszenicy, ale Rosja – oferując towar po wyjątkowo korzystnych cenach, a nawet za darmo. To nie koniec. Cytowany 22 lutego br. przez portal www.farmer.pl Igor Pavenski, szef działu analiz rynków rolnych w Rusagrotrans JSC, powiedział, że prognoza rosyjskiego eksportu na cały sezon 2023/2024 to 66,7 mln ton zbóż. Analityk przypomniał, że w sierpniu 2023 r. rosyjski eksport zboża osiągnął rekordowy miesięczny poziom 6,98 mln ton.

By wywieźć takie ilości towaru, Rosja potrzebuje portów państw sąsiednich. Tydzień temu opisaliśmy na łamach PRZEGLĄDU, jak Łotwa stała się największym hubem alkoholowym dla Kremla, eksportując od stycznia do września ubiegłego roku na Wschód whisky o wartości ponad 251,2 mln dol. W połowie

udział litewscy pośrednicy, spedytorki, przewoźnicy i firmy logistyczne”. Zdaniem tegoż Šimasa w roku 2023 eksport rosyjskiego zboża przez Litwę wzrósł z 15 do 21 mln ton. Podobna sytuacja jest na Łotwie.

Wyszło na to, że kraje nadbałtyckie, które najdonośniej ostrzegają przed rosyjskim zagrożeniem, wspierają broń i amunicją Ukrainę oraz domagają się wprowadzenia najostrejszych sankcji wobec Kremla, jednocześnie robią z Rosją znakomite interesy! Sytuacja dojrzała do tego, że 14 lutego br. litewski poseł do Parlamentu Europejskiego Bronis Ropė złożył w tej sprawie interpelację, pytając, między innymi, czy Komisja Europejska jest świadoma problemu, a jeśli tak, to jakie środki zamierza podjąć, aby temu zaradzić, przywrócić równowagę na rynkach zbóż i zaprzestać wspierania rosyjskiej gospodarki. Ciekawe, jaka będzie odpowiedź.

Na obronę litewskich i łotewskich firm przemawia jeden, za to kluczowy, fakt – handel z Rosją odbywa się zgodnie z prawem, gdyż Unia Europejska nie wprowadziła sankcji

Kto rozdaje karty w Brukseli

Szacuje się, że wokół Komisji Europejskiej i Parlamentu Europejskiego krąży ok. 20 tys. lobbystów. Reprezentują głównie wielki przemysł, branżę informatyczną, usługi itp. Najpoważniejszą organizacją broniącą dziś interesów rolników przed pomysłami brukselskich biurokratów jest Copa Cogeca, zrzeszająca rolnicze związki zawodowe oraz organizacje spółdzielcze. Twierdzi, że reprezentuje 22 mln farmerów. Z Polski należą do niej: Krajowa Rada Izb Rolniczych, Federacja Branżowych Związków Producentów Rolnych, NSZZ RI Solidarność, Związek Zawodowy Rolnictwa Samoobrona oraz Związek Zawodowy Rolników Ojczyzna. W 2020 r. o stanowisko przewodniczącego Copa ubiegał się prezes Zarządu Krajowej Rady Izb Rolniczych Wiktor Szmulewicz, przegrał jednak z Christiane Lambert, reprezentującą francuską Narodową Federację Gospodarstw Rolnych. Obecnie pierwszą wiceprezydent Copa Cogeca jest Agnieszka Maliszewska, przewodnicząca Komitetu Zarządzającego Funduszu Promocji Mleka.

Copa Cogeca od lat zwracała uwagę Komisji Europejskiej na to, że europejscy rolnicy coraz silnie odczuwają skutki kryzysów klimatycznych i geopolitycznych. Ostrzegano przed dramatycznym spadkiem dochodów i falą bankructw gospodarstw rodzinnych, których niegdyś Bruksela zobowiązała się bronić. Wszystkie postulaty protestujących dziś rolników możemy znaleźć w dokumentach i stanowiskach tej organizacji. Komisja Europejska pozostała na nie głucha.

Przeglądając internetowe archiwa Parlamentu Europejskiego i Komisji Europejskiej, nie trafiłem na dokumenty świadczące o szczególnym zainteresowaniu polskiego rządu tą tematyką. W europarlamencie na początku maja ubiegłego roku postówie Adam Jarubas i Jarosław Kalinowski mówili w trakcie debaty, że pomoc Ukrainie się należy, lecz nie w taki sposób, który może doprowadzić do bankructw tysięcy gospodarstw w państwach z nią

graniczących. Kalinowski zarzucił Komisji, że przez długi czas lekceważyła problem, a jeszcze w lutym komisarz Wojciechowski pisał, że import zboża na obszar Unii jest pożądanym i Komisja będzie badać sytuację rolników państw frontowych. Kalinowski ostrzegał, że „sytuacja, z którą mamy do czynienia, jest próbką tego, co czeka europejskie rolnictwo, unijne rolnictwo po włączeniu Ukrainy do jednolitego rynku”. I że już dziś trzeba budować strategię okresów przejściowych dla Ukrainy, a dla Unii strategię wzmacniania gospodarstw rolnych, tak by podnieść ich odporność i konkurencyjność na przyszłość.

Dlaczego Komisja Europejska nie reagowała? Dlaczego nie reagowały rządy poszczególnych państw? Być może uważano, że problem sam się rozwiąże. Być może brakowało im wiedzy i kompetencji. A może lobby koncernów handlujących produktami rolno-spożywczymi okazało się zbyt wpływowe? Może interesy europejskiego rolnictwa poświęcono na rzecz europejskiego przemysłu?

Kraje nadbałtyckie, które najdonośniej ostrzegają przed rosyjskim zagrożeniem, jednocześnie robią z Rosją znakomite interesy. Jak najbardziej legalnie.

Rząd Mateusza Morawieckiego zajęty kampanią wyborczą zamknął granicę z Ukrainą i starał się zasypać problem obietnicami oraz pieniędzmi. Na krótką metę to zadziałało. Lecz w konsekwencji nowy rząd odziedziczył szambo, którego nie da się osuszyć w kilka tygodni. A rolnicy nie mogą i nie chcą czekać. Im kończą się pieniądze.

Czy jest z kim rozmawiać?

Warto postawić pytanie – kto dziś reprezentuje interesy protestujących? O pozycję lidera ubiega się kilku dobrze znanych działaczy. Jest wśród nich przewodniczący NSZZ Rolników Indywidualnych Solidarność Tomasz Obszański, wspierany przez byłego ministra rolnictwa Roberta Telusa. Przypomniał o sobie

były poseł Władysław Serafin i były prezes Krajowego Związku Rolników, Kółek i Organizacji Rolniczych. Jest Szczepan Wójcik przedstawiający się jako prezes szacownego Instytutu Gospodarki Rolnej, „pierwszego think tanku rolniczego”. To przede wszystkim duży hodowca zwierząt futerkowych, którego swego czasu wspierał ojciec dyrektor z Torunia, gdy branża futerkowa walczyła (skutecznie) z „piątką dla zwierząt” promowaną przez prezesa Jarosława Kaczyńskiego. Wójcik ma dobre kontakty w Konfederacji. Jego dawną współpracowniczką Ewa Zajączkowska-Hernik jest dziś postanką oraz rzeczniką prasową tej partii.

Emocje wzbudza Sławomir Izdebski, niegdyś senator z Samoobrony, dziś przewodniczący Zarządu Ogólnopolskiego Porozumienia Związków Zawodowych Rolników i Organizacji Rolniczych. W sieci można znaleźć informację, że ciąży na nim wyrok 4,5 roku więzienia za sprawy związane z działalnością grupy producenckiej, którego wykonanie zostało wstrzymane. Przewodniczący

znalazł się w składzie delegacji protestujących, którą w ubiegłym tygodniu przyjął marszałek Szymon Hołownia.

W mediach często wypowiada się też lider Oszukanej Wsi, wiceprezes Zamojskiego Towarzystwa Rolniczego Wiesław Gryn. Jako właściciel dużego gospodarstwa rolnego, specjalizującego się w uprawie zbóż, ma świadomość skali wyzwań i jest poważnym partnerem do dyskusji z przedstawicielami rządu. Otwarcie mówi, że potrzebne są środki, aby gospodarstwa przetrwały, oraz zmiana polityki rolnej Unii Europejskiej, tak by była ona bardziej przyjazna farmerom i umożliwiłaby im uczciwą konkurencję z producentami spoza UE.

Grzegorz Rudnik

Kiełbasa na wózku

Żeby wykazać się troską o osoby z niepełnosprawnościami, rząd chce wypłacać zasiłek wyższy od średniej pensji krajowej

Maciej Mikołajczyk

W lipcu ub.r., w czasie, kiedy Polska rosla w siłę pod batutą Jarosława Kaczyńskiego, uchwalono ustawę o świadczeniu wspierającym. Zamiar był oczywisty: PiS chciało przed wyborami ocieplić relacje ze środowiskiem osób z niepełnosprawnościami i ich opiekunów. Celu raczej nie osiągnęło, bo rządowy projekt od początku budził kontrowersje, a niektórzy wprost twierdzili, że to bubel prawny. Niestety, mieli rację.

Sęk w tym, że przepisy weszły w życie w tym roku. I piwo nawarzone przez Kaczyńskiego wypije Tusk. Czkawka murowana.

Na wodzy

Już 2 stycznia Polacy zasypali Zakład Ubezpieczeń Społecznych wnioskami o przyznanie świadczenia wspierającego. Wszystkie pozostawiono bez rozpatrzenia. „Wnioski były niekompletne. Przypominamy, że ZUS jest na ostatnim etapie ubiegania się o świadczenie. Najpierw należy złożyć do Wojewódzkiego Zespołu ds. Orzekania o Niepełnosprawności (WZON) wniosek o wydanie decyzji w sprawie poziomu potrzeby wsparcia. Dopiero gdy decyzja WZON stanie się ostateczna, należy złożyć wniosek do ZUS o przyznanie świadczenia wspierającego”, czytamy w komunikacie wydanym przez ZUS. Odtąd do ubezpieczalni przestały napływać niekompletne wnioski w ilościach hurtowych, ale liczba aplikujących do Wojewódzkiego Zespołu ds. Orzekania o Niepełnosprawności przekroczyła rachuby ministerstwa rodziny – resort planował, że przez cały rok 2024 o ustalenie poziomu wsparcia wystąpi 50 tys. osób, a według danych na koniec lutego już wystąpiło 150 tys. Efekt: zespoły orzecznicze są

zawalone robotą, choć by sprawnie obsłużyć interesantów, zatrudniono dodatkowych 200 osób z miesięczną pensją od 7,5 do 12 tys. zł. I dotąd nie uprawomocniła się żadna decyzja w sprawie ustalenia poziomu potrzeby wsparcia.

Na razie z dobrodziejstwa zasiłku wspomagającego nie skorzystała więc nawet jedna osoba. A czas płynie – zgodnie z przepisami wniosek powinien być rozpatrzony do trzech miesięcy od dnia złożenia. Niezgodne z prawem opóźnienia, mimo grubych milionów wydanych na zatrudnienie kilkuset specjalistów, stały się więc faktem już na starcie.

Jeśli renta socjalna wzrośnie do poziomu minimalnego wynagrodzenia, będzie wyższa nie tylko od średniej renty, ale także od przeciętnej emerytury.

Należy więc uzbroić się w cierpliwość, ale też ograniczyć oczekiwania, bo wtedy rozczarowanie mniej boli. A że dojdzie do masowego zawodu, to pewnik.

Stan agonalny

Choć na papierze wszystko wygląda zachęcająco, rozbudzone przez polityków nadzieje na definitywną poprawę losu osób z niepełnosprawnościami niebawem zderzą się z rzeczywistością.

Zasiłek wspierający ma być wypłacany niezależnie od wysokości dochodów z innych źródeł, czyli uprawnień mogą nabyć emeryci, renciści, a teoretycznie także etatowi pracownicy. „Teoretycznie”, bo w praktyce prawo do świadczenia zarezerwowane jest dla osób w stanie agonalno-wegetatywnym. Stan wniosku oceniany jest na podstawie orzeczenia o niepełnosprawności wydanego przez ZUS lub centrum

pomocy rodzinie na podstawie badania przeprowadzonego przez WZON. Polega ono na sprawdzeniu zdolności do wykonania podstawowych czynności i przypisaniu punktów za każdą dysfunkcję. Najwyżej punktowane są niemożność poruszania się, wstawania z łóżka, zmiany pozycji, przemieszczania się po mieszkaniu, samodzielnego dbania o higienę i ubierania się. Świadczenie otrzymają osoby o poziomie potrzeb wsparcia od 70 pkt wzwyż. Osoba, która samodzielnie zje posiłek, zmieni pozycję i potrafi się umyć, nie ma co liczyć, że przekroczy ten limit. To zaś oznacza, że nie dostanie nawet złotych.

Tymczasem w obiegu publicznym krąży powielana z oburzeniem przez media informacja, że niepełnosprawni dostaną zasiłek wspierający w kwocie niemal 9,5 tys. zł, czyli przekraczającej średnią pensję krajową. To możliwe, ale mniej prawdopodobne niż przyznanie się Antoniego Macierewicza do kłamstwa smoleńskiego.

Max dla garstki

W przepisach czytamy, że osoba z niepełnosprawnością otrzyma świadczenie w kwocie stanowiącej 220% renty socjalnej, jeśli podczas oceny poziomu potrzeb uzyska od 95 do 100 pkt. To maksymalny wymiar zasiłku wspierającego, ale liczbę punktów uprawniającą do jego otrzymania uzyskają chorzy nieporuszający się, niezdolni do panowania nad czynnościami fizjologicznymi i jakkolwiek pojętej samodzielnej egzystencji.

Pozostali mogą liczyć na 180% renty socjalnej (od 90 do 94 pkt),

120% (85-89), 80% (80-84), 60% (75-79) i 40% (70-74). Ten ostatni próg określa wysokość minimalną świadczenia wspierającego.

W lutym br. renta socjalna wynosiła 1588 zł. Maksymalny zasiłek wspierający obliczony na tej podstawie to 3495 zł. Począwszy od 1 marca z uwagi na coroczną waloryzację renta socjalna podskoczyła jednak do 1780 zł. Co za tym idzie, maksymalny zasiłek wspierający wzrósł do 3918 zł. Minimalny podskoczył do 712 złotych (z 635 zł).

Wysokość świadczenia zależy więc od poziomu potrzeb oraz od wysokości renty socjalnej.

Donald Tusk w czasie kampanii wyborczej zobowiązał się, że wysokość renty socjalnej – jak wiadomo przyznawanej osobom, które z uwagi na stan zdrowia najczęściej nigdy nie pracowały – wzrośnie do kwoty równej pensji minimalnej. Takie zobowiązanie znalazło się także w „100 konkretach na pierwsze 100 dni”, dokumencie programowym KO.

W styczniu Sejm rozpoczął pracę nad obywatelskim projektem ustawy w sprawie podwyżki. Wygląda na to, że niebawem stanie się ona ciążym, dba o to Iwona Hartwich, posłanka KO i jednocześnie reprezentantka komitetu inicjatywy ustawodawczej. Gdy wystartował proces legislacyjny, Hartwich podziękowała premierowi „za to, że stanął obok wózków inwalidzkich”, a Tusk zrewanżował się stwierdzeniem, iż „osoby niepełnosprawne, rodzice i opiekunowie osób z najcięższymi niepełnosprawnościami to nie jest najstarsza grupa społeczna. To najsilniejsza grupa społeczna. Władza jest po to, by o nich zadbać”. Koalicja 15 Października nie zaryzykuje konfliktu ze środowiskiem osób z niepełnosprawnościami przed wyborami samorządowymi i do Parlamentu Europejskiego, co oznacza, że według stanu na dziś renta socjalna wzrośnie do 4242 zł (brutto). To doprowadzi do wzrostu świadczenia wspierającego do kwoty 9332 zł w wariantcie maksymalnym i do 1697 zł w minimalnym. Z tym zastrzeżeniem, że opcja maksymalna będzie dla vegetujących beneficjentów.



Ferment społeczny

Skutek: tylko w tym roku zamiast przewidywanych 4 mld zł zasiłek wspierający będzie kosztował 10 mld zł. Oczywiście, pod warunkiem że zacznie funkcjonować nie tylko w wyobraźni polityków.

Wzrosną również wydatki budżetu państwa z tytułu podwyższenia wysokości renty socjalnej. W projekcie firmowanym przez Hartwich nie podano źródeł finansowania podwyżki, a w liczącym stronę uzasadnieniu stwierdzono, że szacowany koszt to 330 mln zł miesięcznie. Suma jest znacznie zaniżona. Rentę socjalną otrzymuje 290 tys. osób, po podwyższeniu do poziomu pensji minimalnej wydatki sięgną 1,23 mld zł miesięcznie. Teraz renty socjalne kosztują 500 mln. Co miesiąc trzeba więc będzie wyczarować dodatkowo ponad 700 mln zł.

Podwyższenie renty socjalnej do wysokości pensji minimalnej zadowoli środowisko osób z niepełnosprawnościami i ich opiekunów, ale zarazem wywoła niepokój wśród pozostałych świadczeniobiorców. Zwrócił na to uwagę rzecznik praw obywatelskich, z satysfakcją przyjmując „działania zmierzające do wzmocnienia wsparcia osób z niepełnosprawnością,

także finansowego”, ale jednocześnie wskazując na potrzebę pogłębionej refleksji.

„Projektowane rozwiązanie nie obejmuje wszystkich grup uprawnionych do świadczeń z systemu zabezpieczenia społecznego w wysokości niższej niż kwota minimalnego wynagrodzenia za pracę. Zasadne jest zatem rozważenie rozszerzenia podmiotów podlegających temu mechanizmowi poprzez uwzględnienie osób, szczególnie z niepełnosprawnością, uprawnionych do świadczeń z zabezpieczenia społecznego niższych niż wysokość minimalnego wynagrodzenia”, stwierdził Marcin Wiącek.

Znaczy to tyle, że jeśli dojdzie do podwyżki renty socjalnej do poziomu minimalnego wynagrodzenia, to świadczenie to będzie wyższe nie tylko od średniej renty z tytułu niezdolności do pracy (2,7 tys. zł brutto), ale także od przeciętnej emerytury (3,5 tys. zł). W obu przypadkach wysokość świadczenia została wypracowana przez ubezpieczonego, a jego wysokość zależy od zgromadzonego kapitału i stażu pracy. Natomiast renta socjalna wypłacana jest nawet tym osobom, które nie odprowadziły do ZUS ani jednej składki. Ustanowienie, że będzie ona wyższa od przeciętnej emerytury, jest w tym świetle grubą niesprawiedliwością, nawet jeśli weźmiemy pod uwagę, że brak aktywności zawodowej beneficjentów renty socjalnej jest w pełni usprawiedliwiony.

Podwyżka może również wywołać ferment w szeregach pracowników najemnych – wszak 30% z nich zarabia w okolicach pensji minimalnej. A wzmocnienie presji płacowej to ostatnia rzecz potrzebna Tuskoowi.

Zadanie przed nim niełatwe – zbudzone apetyty trudno będzie zaspokoić, bo budżet nie jest z gumy, a po zaspokojeniu roszczeń jednej grupy społecznej o swoje prawa upomną się kolejne. Zwłaszcza że zależna od wysokości płacy minimalnej renta socjalna będzie rosła jak na drożdżach. Waloryzacja zusowska – dwa razy w roku – połączona z ustawową podwyżką płacy minimalnej – również po dwakroć w roku – da efekt iście kosmiczny. ■

Jan Opielka

20 i 21 lutego odbyło się szeroko komentowane posiedzenie Sądu Apelacyjnego w Londynie. Julian Assange, od pięciu lat przetrzymywany w więzieniu o zaostrzonym rygorze Belmarsh, za pośrednictwem swoich prawników i żony podjął ostatnią próbę odwołania się od decyzji o ekstradycji do Stanów Zjednoczonych, które chcą go sądzić na mocy ustawy o szpiegostwie. Postawiono mu 17 zarzutów szpiegostwa i jeden przestępstwa komputerowego, za co grozi do 175 lat więzienia. Dokładnie chodzi o opublikowanie od 2010 r. na platformie WikiLeaks dokumentów zawierających m.in. informacje o działaniach wojsk i służb USA w Afganistanie, Iraku, Guantanamo i innych miejscach na świecie. Assange otrzymał te dokumenty od byłego amerykańskiego żołnierza Bradleya Manninga¹, a następnie opublikował we współpracy z czołowymi dziennikami świata, jak „The New York Times”, „Der Spiegel”, „El País”, „Le Monde” i „The Guardian”. Obecność tych mediów ma fundamentalne znaczenie nie tylko dla samego Assange’a – jego obrońcy argumentują, że działał jako dziennikarz.

Przed obliczem sądu

W kwietniu 2022 r. sąd w Wielkiej Brytanii stwierdził, że ekstradycja Assange’a do USA nie godzi w prawa człowieka. Decyzja ta została zatwierdzona dwa miesiące później przez ówczesny rząd brytyjski. Do wydalenia jednak nie doszło, ponieważ odwołali się prawnicy Assange’a. Apelację odrzucono, ale prawnicy osadzonego złożyli kolejną. Teraz Sąd Apelacyjny ma ostatecznie zdecydować, czy Assange w ogóle miał prawo się odwołać po tym, jak jego pierwsza apelacja została odrzucona. Jeden z prawników Assange’a, Edward Fitzgerald, stwierdził przed sądem, że „jest to bezprecedensowe oskarżenie, które ma na celu kryminalizację zwykłych praktyk dziennikarskich”. Już wcześniej prawnicy Assange’a kwestionowali legalność ekstradycji do USA, powołując się na

Kara za prawdę

Julian Assange jest traktowany przez rządy Wielkiej Brytanii i USA jak groźny przestępca. Znowu odroczono decyzję w sprawie jego ekstradycji



Protest przeciw ekstradycji Assange’a. Londyn, 20 lutego 2024 r.

umowę pomiędzy Londynem a Waszyngtonem, wedle której zgoda na wydanie zatrzymanej osoby nie zostanie udzielona, „jeśli przestępstwo, z powodu którego została wystosowana, ma charakter polityczny”.

52-letni Assange z powodu złego stanu zdrowia fizycznego i psychicznego nie był obecny podczas dwudniowego posiedzenia sądu, podczas którego strona amerykańska powtórzyła swoje zarzuty. „Assange bezkrytycznie i świadomie opublikował nazwiska osób, które stanowiły źródła informacji dla USA – powiedziała Clair Dobbin, prawniczka administracji USA. – To odróżnia go od innych

organizacji medialnych”. Amerykanie podkreślają, że ujawnianie dokumentów, jak zrobił to Assange, zagraża osobom zaangażowanym w poszczególne akcje, choćby personelowi wojskowemu. Jednak w 2013 r., podczas rozprawy Bradleya Manninga, na jaw wyszło, że zespół 120 funkcjonariuszy kontrwywiadu USA nie był w stanie znaleźć ani jednej osoby, która zginęła z powodu rewelacji WikiLeaks.

Londyński sąd nie podjął ostatecznie decyzji, czy Assange może się ponownie odwołać. Nie wyznaczył też żadnego terminu, kiedy taka decyzja zapadnie. A będzie ona kluczowa: jeśli sędziowie ogłoszą

wyczerpanie możliwości prawnych Assange'a w Wielkiej Brytanii, jego krewni i zwolennicy obawiają się, że zostanie on bardzo szybko wydany do USA. Zapowiedzieli, że w takim wypadku złożą odpowiedni wniosek w Europejskim Trybunale Praw Człowieka (ETPC) w Strasburgu. Czy to zatrzymałoby ekstradycję, nie wiadomo – zapewne zaś wzmoże protesty w jego obronie. Podczas rozprawy w Londynie przed sądem zebrały się setki demonstrantów, akcje poparcia dla Australijczyka odbywały się też w innych częściach świata, a liczne organizacje wzywają do obrony 52-latk. Stowarzyszenie pisarzy PEN International, międzynarodowa organizacja dziennikarzy Reporters without Borders (RSF) i 14 innych organizacji już w październiku ub.r. w otwartym liście wezwały minister spraw wewnętrznych Wielkiej Brytanii, by interweniowała w sprawie Assange'a.

Niewygodne rewelacje

Jeśli przyjrzymy się, czego dotyczy sprawa – jest o co i o kogo walczyć. Brytyjski dziennikarz Patrick Cockburn na portalu inews.co.uk precyzuje, na czym miała polegać „zbrodnia” Assange'a: „Chodziło o ujawnienie gigantycznego zbioru ponad 251 tys. depech dyplomatycznych, ponad 400 tys. tajnych raportów wojskowych z wojny w Iraku i 90 tys. z wojny w Afganistanie”. Cockburn przytacza treści tych raportów, choćby dotyczących bezprawnej wojny, jaką była napasć USA i aliantów na Irak w 2003 r. i okupacja tego kraju: „Jeden raport opowiadał na przykład o tym, jak amerykański żołnierz piechoty morskiej zastrzelił kobietę w samochodzie na punkcie kontrolnym koło irackiego miasta Faludża, a także ranił jej męża i trzy córki. Otworzył ogień, ponieważ »nie był w stanie określić osób znajdujących się w pojeździe z powodu odbicia słońca od przedniej szyby«. W innym raporcie odnotowano, jak amerykańscy żołnierze zastrzelili Irakijczyka, który »skradał się za ich pozycją snajperską«, a który okazał się ich własnym tłumaczem”. Czy opinia publiczna ma prawo o tym wiedzieć? WikiLeaks donosiła także o szerzącej się korupcji w afgańskim rządzie

wspieranym przez Zachód, o tym, jak pieniędzmi z Arabii Saudyjskiej – sojusznika Zachodu – finansowano grupy terrorystyczne. I o tym, że administracja USA nakazała szpiegowanie sekretarza generalnego ONZ.

Jednak najgłośniejszym echem odbił się upubliczniony film „Collateral damage” (Szkoły uboczne), który ukazuje, jak w 2007 r., w czasie okupacji Iraku, załoga amerykańskiego helikoptera bojowego rozstrzeliwuje z powietrza na ulicach Bagdadu 12 mężczyzn w cywilnych ubraniach, w tym dwóch reporterów agencji prasowej Reuters. Ten zamach załoga zarejestrowała sama, na nagraniu słychać śmiech po skutecznych strzałach, żołnierze strzelają także do przejeżdżającego samochodu, kiedy wysiadający z niego mężczyźni usiłują pomóc rannym.

Materiał obiegił świat i rozwścieczył administrację Baracka Obamy. Zwłaszcza dlatego, że WikiLeaks współpracowała przy publikacji materiałów z czołowymi mediami. Jednak ich za publikację nikt nie oskarża. Pod ostrzałem znalazł się tylko Julian Assange. Już w 2012 r. szwedzka prokuratura zarzuciła mu zgwałcenie dwóch kobiet w tym kraju. Groźba ekstradycji do USA skłoniła Assange'a do ucieczki – najpierw do Londynu, później do ambasady Ekwadoru w brytyjskiej stolicy. Tam spędził siedem lat, jednak po zmianie rządu w Ekwadorze w 2019 r. został wydany brytyjskiej policji i uwięziony. Krótko przed aresztowaniem wskutek braku dowodów szwedzka prokuratura ogłosiła koniec śledztwa w jego sprawie.

Dziennikarz czy szpieg?

Brutalne postępowanie, długoletnie uwięzienie, możliwa ekstradycja i skazanie Assange'a w USA – to wszystko potencjalnie otwiera drzwi do ekstradycji dziennikarzy z całego świata do Stanów Zjednoczonych, jeśli ujawnią informacje określone przez Waszyngton jako tajne czy zagrażające bezpieczeństwu narodowemu. Georg Mascolo w 2010 r. był redaktorem naczelnym niemieckiego magazynu „Der Spiegel”, gdy ten publikował materiały WikiLeaks. Dziś stwierdza: „Czasami nie broniły przede wszystkim osoby lub jej

działań, ale zasad. Jeśli to [ekstradycja i skazanie Assange'a w USA] się powiedzie, nie widzę powodu, dla którego ja lub moi koledzy z »El País«, »Le Monde«, »Guardiana« i »New York Timesa« nie mielibyśmy zostać oskarżeni”.

Jednak wcale nie musi dojść do oskarżenia innych dziennikarzy, aby uzyskać pożądaný efekt. Działanie wobec Assange'a prawdopodobnie już dziś sprawia, że lęk przed możliwymi konsekwencjami karnymi odstrasza whistleblowerów (sygnalistów), którzy mają dostęp do wrażliwych materiałów i rozważają przeciek do mediów. Również redakcje i poszczególni dziennikarze poważnie się zastanawiają, czy brać się do tematów, które mogłyby mieć dla nich przykre konsekwencje. Sam Assange ocenia to bardzo podobnie. W rozmowie z Charlesem Glassem z amerykańskiego magazynu „The Nation”, który odwiedził go w grudniu ub.r. w więzieniu, Australijczyk powiedział, że jego „uwięzienie, inwigilacja przez rząd USA i ograniczenia w finansowaniu Wikileaks skutecznie odstrasza potencjalnych sygnalistów”. Dodał, że inne media „tej próżni nie wypełniają”.

Potwierdzeniem tego jest fakt, że gdy Assange w 2012 r. schronił się w ekwadorskiej ambasadzie i platforma WikiLeaks kontynuowała publikowanie dokumentów, wielkie tytuły prasowe już z nią nie współpracowały. Dlaczego? Z powodu lęku przed konsekwencjami? Alan Rusbridger, w 2010 r. szef „Guardiana”, mówi to pośrednio: „Po Assange'u i Snowdenie rządy próbują ograniczyć [dziennikarstwo badające tajemnice bezpieczeństwa narodowego], uniemożliwiając je poprzez surowe sankcje i przepisy, które nie zostały zaprojektowane, żeby stordedować pracę prasy”. W USA – na podstawie ustawy o szpiegowstwie z 1917 r.

Dlaczego polskie media milczą?

Przyglądając się dramatowi Assange'a i jego fundamentalnemu znaczeniu nie tylko dla niego, ale dla kształtowania opinii publicznej, dla roli dziennikarstwa w ujawnianiu ▶

► niewygodnych czy wręcz zbrodniczych czynów rządów, trudno nie zapytać, dlaczego czołowe polskie gazety, „Rzeczpospolita” i „Gazeta Wyborcza”, o ostatnich wydarzeniach wokół możliwej ekstradycji nie napisały ani słowa? Dlaczego nie stanęły w jego obronie? Przemilczanie sprawy przez wpływowe media to jednak nie tylko polska specyfika. Jak pisze na łamach „Guardiana” Duncan Campbell, „część »odpowiedzialnej« prasy w tym kraju [Wielkiej Brytanii] ledwo zajmowała się tą sprawą, zbyt zajęta historiami o konfliktach w rodzinie królewskiej (...), podczas gdy prawdziwi адвоkaci walczyli o życie dziennikarza, który może umrzeć w więzieniu”.

Koleddy Campbell z tytułów niegdyś współpracujących z Assange’em uzasadniają, dlaczego jego praca wchodzi w obszar dziennikarstwa. Marc Bassets z hiszpańskiego „El País” pisze: „Chociaż Assange nie jest ani wydawcą gazety, ani dziennikarzem w tradycyjnym sensie, jego rewelacje zostały opublikowane w tradycyjnych i prestiżowych mediach, zostały poddane rygorystycznej redakcji i procesowi sprawdzania faktów”. A Alan Rusbridger z „Guardiana” mówi: „Assange wymyka się klasyfikacjom, jest jak aktor: czasami wydawca, czasami dziennikarz, czasami aktywista, czasami przedsiębiorca. Ale jest ścigany za bycie wydawcą [mediów] i nie ma wątpliwości, że kiedy pracowało z nim pięć naszych gazet, zachowywał się jak dziennikarz”.

Białe tortury

Dziś Assange wegetuje w więzieniu przeznaczonym dla najgroźniejszych przestępców. Już w 2019 r. Nils Melzer, w latach 2016-2022 specjalny sprawozdawca Narodów Zjednoczonych ds. tortur, po spotkaniu z Assange’em w więzieniu stwierdził, że wykazuje on oznaki stosowania tzw. białych tortur. Są to metody psychologicznego zadawania cierpienia, polegające na izolacji i niezaspokajaniu potrzeb więźnia. W styczniu 2021 r. sąd brytyjski wstępnie odmówił ekstradycji Assange’a z powodu jego złego stanu zdrowia psychicznego i niebezpieczeństwa popełnienia samobójstwa. Jednak w grudniu 2021 r. Sąd Najwyższy (High Court of Justice) uchylił tę decyzję, po czym kilka miesięcy później sąd magistracki gminy Westminster zdecydował, że Assange może zostać wydany USA. To przeciąganie sprawy, niepewność, brak dostępu do światła dziennego, niemożność regularnego widywania synów, przebywanie przez 23 godziny na dobę w pojedynczej celi – to wszystko właśnie biała tortura. Jak relacjonuje Charles Glass z „The Nation”, w Boże Narodzenie Assange mógł jedynie wziąć udział w mszy, odprowadzanej przez polskiego księdza, z którym się zaprzyjaźnił.

O tym, że Assange cierpi i że ma cierpieć, aby inni nie wazyli się robić podobnych rzeczy jak on, niektórzy przedstawiciele władz USA mówią wprost. Leon Panetta, były dyrektor CIA, kilka lat temu przyznał:

„Wszystko, co możemy zrobić, to podjąć bezwzględne działania przeciwko tym, którzy byli zaangażowani w ujawnianie tych informacji, tak aby wystać wiadomość do innych, aby nie robili tego samego”. Nie robili tego samego, czyli nie publikowali informacji i dowodów zbrodni rządu. Dziennik „The Guardian” dziś stawia sprawę jasno: „Co jest poważniejszym przestępstwem: pozasądowe egzekucje, rutynowe tortury więźniów (...) przez państwo czy ujawnienie tych działań poprzez opublikowanie nielegalnie ujawnionych szczegółów dotyczących tego, jak, gdzie, kiedy i przez kogo zostały one popełnione?”. Powinno to być raczej pytanie retoryczne, a odpowiedź jasna. Rzeczywistość pokazuje, że tak nie jest.

Tymczasem po długich latach milczenia parlament Australii 15 lutego większością głosów przyjął wniosek wzywający USA i Wielką Brytanię do zakończenia postępowania sądowego i umożliwienia Assange’owi powrotu do ojczystego kraju. Rządy innych krajów Zachodu milczą lub kluczą. Niemieckie MSZ oświadczyło lakonicznie, że „Niemcy mają inne rozumienie wolności prasy” niż USA. A polskie MSZ nie pisze nic. Bo po co drażnić sojusznika?

Jan Opielka

¹ Bradley Edward Mannig za wyniesienie tajnych dokumentów amerykańskiego wywiadu 21 sierpnia 2013 r. został skazany na wydalenie ze służby i karę 35 lat pozbawienia wolności. Po ogłoszeniu wyroku dokonał comingoutu i poprosił o zmianę imienia na Chelsea. Prezydent Obama złagodził wyrok i w 2017 r. Chelsea Manning zwolniono z więzienia.

Nagroda imienia Jerzego Turowicza

Nagroda imienia Jerzego Turowicza przyznawana jest za wybitne i oryginalne dzieło literackie, plastyczne, muzyczne, teatralne lub filmowe bądź pracę z dziedziny nauk humanistycznych, znajdujące się w kręgu wartości bliskich twórcy i wieloletniemu redaktorowi naczelnemu „Tygodnika Powszechnego” i tematów, do których wracał on w swojej publicystyce i działalności publiczne.

Nagroda przyznawana jest za dzieło twórcy polskiego, żyjącego w chwili jej ogłoszenia, opublikowane bądź zaprezentowane w roku jej przyznawania oraz w ciągu dwóch lat kalendarzowych poprzedzających rok jej przyznania. Tegoroczna edycja obejmuje czas od 15 czerwca 2021 r. do 15 czerwca 2024 r.

Wyboru laureata dokonują Zarząd i Rada Fundacji Jerzego Turowicza, ogłoszenie wyniku nastąpi 15 października, wręczenie Nagrody 7 grudnia br.

Prawo zgłaszania kandydatur do Nagrody mają członkowie Zarządu i Rady Fundacji Jerzego Turowicza, redakcje „Tygodnika Powszechnego”, „Znaku” i innych czasopism kulturalnych, wydawcy, związki twórcze oraz wcześniejsi laureaci.

Zgłoszenia prosimy wysyłać na adres:
**Fundacja Jerzego Turowicza, ul. Leśna 21,
30-232 Kraków lub fundacja@turowicz.org
do 15 czerwca 2024 r.**



Statuetka zaprojektowana przez Macieja Plewińskiego według pomysłu Krystyny Zachwatowicz-Wajdy.



tygodnikprzeglad.pl



PRENUMERATA ELEKTRONICZNA PRZEGLĄDU



KUP | CZYTAJ
W DOWOLNYM MIEJSCU | CZASIE



Pełna oferta na sklep.tygodnikprzeglad.pl

Nie tylko Nawalny

W ostatnich miesiącach na celowniku Kremla znaleźli się przedstawiciele niezależnych od władz nurtów politycznych – zarówno z lewa, jak i z prawa

Jacek Cezary Kamiński

Nagła śmierć Aleksieja Nawalnego w kolonii karnej znów skierowała uwagę światowej opinii publicznej na temat represji politycznych w Rosji. Lider liberalnej opozycji był niewątpliwie najbardziej znanym spośród uwięzionych oponentów Władimira Putina, jednak w ostatnich miesiącach na celowniku Kremla znaleźli się także przedstawiciele innych niezależnych od władz nurtów politycznych – zarówno z lewa, jak i z prawa.

Na kary więzienia skazani zostali dwaj ludzie o głośnych, choć z zupełnie innych powodów, nazwiskach – płk Igor Girkin, znany też jako Igor Strielkow, pierwszy głównodowodzący separatystycznych wojsk Donbasu w 2014 r., oraz prof. Borys

społecznościowych podciągane pod ekstremizm lub propagowanie terroryzmu.

Rzekome fejki, ekstremizm i terroryzm

Według ustaleń Memoriału – znanej organizacji praw człowieka, zdelegalizowanej w 2022 r. – na podstawie art. 207.3 Kodeksu karnego Federacji Rosyjskiej, dotyczącego rozpowszechniania fałszywych informacji na temat Armii Rosji, w 2022 r. różnym formom prześladowań poddane zostały 242 osoby (raport za rok 2023 nie został jeszcze opublikowany). 246 osób represjonowanych było na podstawie art. 318, dotyczącego zastosowania przemocy wobec przedstawicieli władz (czyli w praktyce udziału w protestach ulicznych). Najczęściej

W 2022 r. różnym formom prześladowań w Federacji Rosyjskiej poddane zostały 1534 osoby, a w więzieniach przebywało 122 więźniów politycznych.

Kagarlicki, światowej sławy socjolog o orientacji marksistowskiej. Pierwszy otrzymał w styczniu wyrok czterech lat więzienia, drugi – w lutym aż pięciu. Mniej więcej w tym samym czasie, 11 stycznia, aresztowany został lider Frontu Lewicy Siergiej Udalcow, więzień polityczny w latach 2013-2017. Formalne powody represji zastosowanych wobec tej trójki są podobne i nie odbiegają od „normy” dla okresu po rozpoczęciu tzw. specjalnej operacji wojskowej – są to wpisy lub wypowiedzi w mediach

stosowany jest jednak art. 282.2, który penalizuje „organizację działalności ugrupowania ekstremistycznego” – w 2022 r. oskarżono na jego podstawie 1046 osób. W tej liczbie znaczną część stanowią osoby, których „ekstremistyczna działalność” ograniczała się do wpisów internetowych. Taki jest właśnie przypadek m.in. Igora Girkina. Natomiast Borys Kagarlicki został skazany na podstawie poważniejszego art. 205.2 o publicznych wezwaniach do terroryzmu przy wykorzystaniu internetu.



W ostatnich miesiącach na kary więzienia skazani zostali (nz. od lewej): płk Igor Girkin (Igor Strielkow), prof. Borys Kagarlicki i Siergiej Udalcow.

Zarzuty z tego samego artykułu usłyszał Siergiej Udalcow.

Memoriał podsumował, że 31 grudnia 2022 r. w więzieniach Federacji Rosyjskiej przebywało 122 więźniów politycznych (nie licząc osób represjonowanych z przyczyn religijnych). W porównaniu z rokiem 2016 to wzrost przeszło czterokrotny, wówczas bowiem było zaledwie 36 polityzakluczonych. Dane te, jak podkreśla Memoriał, z różnych powodów mogą być zaniżone. Przede wszystkim ze względu na niepełny dostęp do informacji, ale także z powodu niejednoznaczności kryteriów represji o charakterze politycznym. Warto zauważyć, że przecież sam Nawalny formalnie skazany został nie z artykułów o charakterze politycznym, ale za przestępstwa gospodarcze. Inna organizacja zajmująca się obroną praw człowieka, OWD-Info, szacowała w listopadzie 2023 r., na podstawie danych czerpanych głównie z doniesień medialnych, że kary więzienia z przyczyn politycznych odbywa w Federacji Rosyjskiej



1136 osób, natomiast śledztwo toczy się przeciwko kolejnym 293 osobom.

Prześladowania przeciwników wojny

Autorzy raportu Memoriału zwracają uwagę, że o ile w poprzednich latach represje dotyczyły głównie osób związanych z ekipą Aleksieja Nawalnego i akcjami wsparcia dla niego, o tyle po 24 lutego 2022 r. „nowy potok więźniów politycznych związany jest z prześladowaniami przeciwników wojny” o różnej orientacji politycznej. Celem działań represyjnych ma być „dążenie władz do zapewnienia nieodzownego stopnia kontroli nad społeczeństwem, znacznie wyższego niż wcześniej”. W zasadzie potwierdza to sam prezydent Władimir Putin. „Musimy mieć na uwadze, że aby osiągnąć nasze cele, w tym

w strefie działań bojowych, należy przestrzegać określonych reguł”, argumentował nieco eufemistycznie podczas jednej z konferencji prasowych w lipcu 2023 r., zapytany przez znanego dziennikarza Andrieja Kolesnikowa, czy w Rosji powrócił duch stalinowskich czystek 1937 r.

Związek między „dokręcaniem śruby” przez władze a trwającą wojną nie ulega więc dla nikogo wątpliwości, jednak przypadek trzech wspomnianych, najbardziej znanych więźniów jest nieco odmienny. Choć zarówno Igor Girkin, jak i Borys Kagarlicki zostali skazani za wypowiedzi dotyczące działań wojennych, wygląda to raczej na pretekst mający szerszy kontekst polityczny. Biorąc pod uwagę ideologiczny profil społeczeństwa rosyjskiego, tak naprawdę trudno liczyć na pozyskanie większości Rosjan dla projektu liberalnej opozycji,

przynajmniej w jakiejś sensownej perspektywie czasowej. Teoretycznie znacznie większe szanse na to mają opozycyjne nurty lewicowe, których reprezentantami są Kagarlicki i Udalcow, a nawet prawicowo-nacjonalistyczne reprezentowane przez Girkina-Strielkowa. Wynika to z faktu, że obywatele Federacji Rosyjskiej w większości preferują wartości polityczne głoszone przez te formacje, natomiast poglądy liberalnej opozycji podziela nieznaczna mniejszość.

Za władzą radziecką i socjalizmem

Według badania opinii publicznej dotyczącego kwestii ustrojowych przeprowadzonego przez liberalne Centrum Lewady w 2021 r. (ostatnie tego typu badanie) największa grupa obywateli Federacji Rosyjskiej – 49% – opowiada się za przywróceniem ustroju radzieckiego, jaki panował do lat 90. Obecny system sprawowania władzy preferuje 18% badanych, a zaledwie 16% uważa, że najlepsza jest „demokracja według wzoru krajów zachodnich”, a więc model postulowany przez liberalną opozycję. Wyraża jest ▶

Skazany współtwórca Memoriału

27 lutego br. 70-letni Oleg Orłow, współtwórca Stowarzyszenia Memoriał, został skazany na 2,5 roku kolonii karnej za „dyskredytację armii”. Dysydenta aresztowano w sali rozpraw po ogłoszeniu wyroku. Sprawę karną wszczęto w związku z artykułem, w którym Orłow nazwał panujący w Rosji reżim „totalitarnym i faszystowskim”. W tekście skrytykował także rosyjską agresję na Ukrainę.

► także przewaga zwolenników socjalistycznych rozwiązań społeczno-gospodarczych, co odnotowuje m.in. monitoring „Jak żyjesz Rosjo?” prowadzony przez instytucję naukową o przydługiej nazwie Instytut Badań Społeczno-Politycznych Federalnego Socjologicznego Centrum Naukowo-Badawczego Rosyjskiej Akademii Nauk. Na pytanie, w jakim społeczeństwie chciałbyś żyć, aż 48% rosyjskich respondentów odpowiedziało w 2022 r., że w socjalistycznym. Za ustrojem kapitalistycznym opowiedziało się jedynie 12%. „Wśród przygniatającej większości społeczeństwa rosyjskiego uformowało się obecnie zapotrzebowanie na socjalistyczny obraz przyszłości”, komentował te dane na łamach portalu Rabkor lewicowy publicysta Andriej Kurszin, który sam obecnie pozostaje w areszcie domowym ze względu na toczące się przeciwko niemu śledztwo.

Problem i zagrożenie dla sił ujmowanych często zbiorczym pojęciem lewicowo-patriotycznych tkwi w tym, że na tym samym polu ideowo-politycznym grasuje również obóz kremlowski. „Władze jako takie i prezydent Władimir Putin osobiście przez lata eksploatowali lewicowe nastroje społeczne. To zadanie spełniały i świadczenia społeczne, które nie zmieniały struktury nierówności, ale prowadziły do paternalistycznej zależności biednych grup od władzy, i wieloletnia propagandowa eksploatacja pamięci historycznej

Według sondaży prowadzonych przez Centrum Lewady w styczniu 2024 r. działalność prezydenta Federacji Rosyjskiej pozytywnie oceniało aż 85% Rosjan.

o czasach ZSRR”, pisali w artykule dla portalu Rabkor przebywający na emigracji politycznej we Francji lewicowi publicyści Aleksiej Sachnin i Elmar Rustamow. I trzeba przyznać, że Kreml rozgrywa tę partię niezwykle skutecznie, biorąc pod uwagę utrzymujący się od lat wysoki poziom poparcia społecznego dla Władimira Putina. Według sondaży prowadzonych przez Centrum Lewady w styczniu 2024 r. działalność prezydenta

Leonid Razwozzajew

Próba zdławienia głosu wszelkiej opozycji

O komentarz do ostatnich represji wymierzonych w działaczy rosyjskiej lewicy poprosiłem Leonida Razwozzajewa, lewicowego działacza z Angarska na Syberii, więzionego w latach 2014-2017 w związku z protestami na placu Błotnym w Moskwie w 2012 r., pisarza, autora m.in. książki „Więzienne uniwersytety” (2017).

– Prześladowania wymierzone w lewicowych aktywistów nie ustają w Rosji w zasadzie od początku lat 90. ubiegłego wieku. W obecnej ich fazie nie ma znaczenia stosunek konkretnych osób do Specjalnej Operacji Wojskowej – przecież Kagarlicki i Udalcow zajmują odmienne stanowiska w tej kwestii. Borys jest jej przeciwny, Siergiej zaś zajmuje pozycję bliską stanowisku rosyjskich władz. Nie uchroniło go to jednak od aresztowania. Dlatego uważam, że represje wobec nich to przede wszystkim próba zdławienia jakiegokolwiek znaczącego głosu wszelkiej opozycji. Być może władza ma świadomość swojej rzeczywistej słabości i dlatego dokonuje tych aresztowań prewencyjnie, żeby zdążyć, zanim sytuacja w kraju diametralnie się pogorszy.

Muszę obiektywnie dodać, że lewicowy segment rosyjskiej opozycji poniósł znacznie mniejsze straty niż np. przedstawiciele nurtu liberalnego, prozachodniego. Wynika to m.in. z faktu, że chociaż wśród lewicowców jest wielu przeciwników specoperacji, to jednak znaczna część lewicy, mimo generalnie krytycznego stosunku do władz, poparła tę interwencję. Co więcej, wielu komunistów walczy nawet jako ochotnicy na froncie, inni organizują pomoc dla rosyjskich żołnierzy i mieszkańców Donbasu. Dzięki temu oraz obecności frakcji komunistycznej w Dumie lewicowa opozycja ma możliwość uchronić się w stosunkowo dobrej kondycji.

Federacji Rosyjskiej pozytywnie oceniało aż 85% Rosjan.

Z drugiej strony, jak zauważają Sachnin i Rustamow, ta stabilizacja systemu władzy jest krucha, bo obóz putinowski czuje na karku oddech lewicowej opozycji. „W 2021 r. w wyborach do Dumy formalnie lewicowe partie – komunistyczne i socjalistyczne – zebrały w sumie 31% głosów. Jeśli wziąć pod uwagę zakrojone na szeroką skalę fałszerstwa

Więzień Breżniewa, Jelcyna i Putina

Tak naprawdę w sprawach Girkina oraz Kagarlickiego i Udalcowa może więc chodzić o oczyszczenie pola politycznego z sił potencjalnie zagrażających monopolowi władzy obozu putinowskiego. Co prawda, Borys Kagarlicki – w przeciwieństwie do pozostałej dwójki – nie jest typowym aktywistą politycznym, aspirującym do walki o władzę, lecz intelektualistą i publicystą, ale uderzenie w niego tym bardziej może oddziaływać zastraszająco. Mówimy przecież o postaci wręcz ikonicznej. To więzień sumienia trzech reżimów, siedział za Breżniewa i Jelcyna, teraz siedzi za Putina. Po raz pierwszy spędził rok w areszcie w latach 1982-1983 w związku z tzw. sprawą młodych socjalistów, oskarżony o propagandę antyrządową. Za rządów Borysa Jelcyna został pobity i na krótko aresztowany w październiku 1993 r. za udział w protestach przeciwko rozwiązaniu przez ówczesnego prezydenta Rosji Rady Najwyższej. W 2022 r. opozycyjny naukowiec wpisany został na

oficjalną listę tzw. agentów zagranicy. Rejestr ten, prowadzony przez ministerstwo sprawiedliwości, jest też swoistą formą represji wobec przeciwników politycznych – poprzez publiczne napiętnowanie.

Borys Kagarlicki to z jednej strony chłodny naukowiec, ale równocześnie prawdziwy rewolucyjny romantyk, jakby z zupełnie innej epoki. Z jego politycznych wystąpień przebija głęboka wiara, że marzenia większości Rosjan o socjalizmie faktycznie mogą się spełnić, i to w bliskiej perspektywie czasowej. Przekonywał o tym m.in. we wstępie do polskiego wydania swojego fundamentalnego dzieła „Od imperium do imperializmu. Państwo i narodziny cywilizacji burżuazyjnej”, opublikowanego w Polsce w 2022 r. nakładem wydawnictwa GlowBook: „Upadek putinowskiego reżimu, nieunikniony w zaistniałej sytuacji, otwiera perspektywę wielkich wstrząsów i równocześnie – rewolucyjnych przeobrażeń. (...) Wszystko to wymownie przypomina oznaki sytuacji rewolucyjnej opisanej niegdyś przez Lenina”.

Strzał w stopę?

Sytuacja z Borysem Kagarlickim jest o tyle zagadkowa, że jego aresztowanie w lipcu ub.r. wywołało wzburzenie także w tych kręgach światowej opinii publicznej, które odnoszą się przychylnie do obecnych władz Federacji Rosyjskiej. List protestacyjny podpisało kilka tysięcy osób z całego świata, w tym tak znane osobistości jak lider francuskiej lewicy Jean-Luc Mélenchon, były przywódca brytyjskiej Partii Pracy Jeremy Corbyn, słoweński filozof Slavoj Žižek czy prof. Étienne Balibar. Sam prezydent Putin musiał się tłumaczyć z tego powodu na spotkaniu Klubu Władajskiego w październiku ub.r. przed kanadyjską politolożką z uniwersytetu w Manitobie prof. Radhiką Desai, współautorką wraz z Kagarlickim książki „Russia, Ukraine and Contemporary Imperialism” (2017).

Gdy w grudniu ub.r. sąd pierwszej instancji skazał Borysa Kagarlickiego za ledwie na karę grzywny i uwolnił z aresztu, wydawało się, że międzynarodowe protesty odniosły

skutek, dlatego wyrok pięciu lat więzienia ogłoszony 13 lutego br. był dla wszystkich ogromnym zaskoczeniem. W Rosji wielu komentatorów uznało to za wielki błąd, a nawet dywersję wobec polityki zagranicznej Władimira Putina. Znany politolog Siergiej Markow nazwał wręcz tę sytuację „silnym uderzeniem w pozycję Rosji na świecie i w przywództwo Rosji w BRICS”, zwłaszcza w kontekście planowanego na listopad szczytu przywódców tej organizacji w Kazaniu. „Kagarlicki to człowiek bardzo popularny w kręgu przyjaciół Rosji za granicą. (...) Ten wyrok doprowadzi do silnego zmniejszenia poparcia dla Rosji w wielu krajach, w tym w państwach BRICS, takich jak Brazylia czy RPA, których prezydenci mają poglądy marksistowskie”, pisał Markow na swoim kanale społecznościowym w Telegramie.

Podobnego zdania jest rosyjski dziennikarz Maksym Szewczenko, który nazwał skazanie niepokornego socjologa „prawdopodobną

prowokacją w celu osłabienia pozycji Rosji”. „Prezydent Brazylii Lula da Silva bardzo dobrze zna osobiście Borysa Kagarlickiego, można powiedzieć, że są przyjaciółmi. Nicolás Maduro również przychylnie się do niego odnosi. W ogóle to postać znana i szanowana w kręgach lewicy w Ameryce Łacińskiej”, komentował w wypowiedzi dla rosyjskiego portalu Biznes on line.

Niezależnie od przyczyn samego uderzenia w Borysa Kagarlickiego, czy był to „wypadek przy pracy”, czy też świadomy krok obliczony na zastraszenie lewicowej opozycji, wygląda na to, że polityka masowych represji doprowadziła do sytuacji, w której może przynieść mu więcej strat niż korzyści, przynajmniej na arenie międzynarodowej.

Jacek Cezary Kamiński

Autor dokonał przekładu książki Borysa Kagarlickiego „Od imperium do imperializmu. Państwo i narodziny cywilizacji burżuazyjnej”, która ukazała się w Polsce w 2022 r. nakładem wydawnictwa GlowBook.

KSIAŻKA

MOJA PROKURATURA

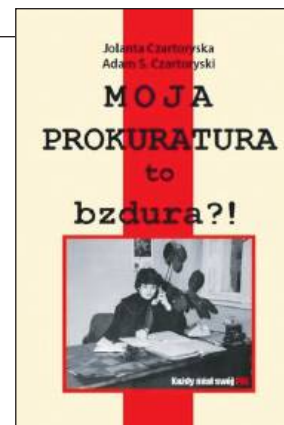
Już w pierwszym akapicie wstępu Jolanta Czarotryska notuje: „Nie miałam zamiaru pisać tej książki, ale się wkurzyłam”. Jej lektura przeczy tezie, że w stanach emocjonalnych zatracą się ostrość widzenia i obiektywizmu. W kolejnej publikacji autorka opisuje studia prawnicze na UJ i pracę w prokuraturze – jak się do niej dostała i co spowodowało, że tak młodą osobę uczyniono szefem podrzeszowskiej prokuratury.

Jej wkurzenie nie wynika tylko z tego, że w polityce historycznej IPN prokuraturę w PRL postrzega się jedynie jako instytucję opresji komunistycznej władzy, która nie zajmowała się niczym innym niż niszczeniem opozycji. Czarotryska ani podlegli jej prokuratorzy tego nie robili, choćby dlatego, że opozycją zajmowały się wyższe instancje prokuratury. Gdy czyta się, jaką drogę przeszła świeżo upieczona prawniczka, jaką przeszła edukację, i porówna się to z dzisiejszą prokuraturą, zaczyna się rozumieć, dlaczego wygląda ona tak, a nie inaczej.

Czarotryska opisuje prokuraturę czasów przełomu lat 70. i 80 oraz wycinek Polski tzw. prowincjonalnej, która również wygląda inaczej niż w publikacjach IPN. Książka nie jest suchym przypomnieniem minionych lat, suchych faktów, jest w niej bowiem wiele opisów wydarzeń i rozmów, w domu i prokuraturze, na różne tematy – od obrad KC PZPR po triumf Wałęsy i internowania stanu wojennego, aż po zaopatrzenie w żywność. „Moja prokuratura...” to kawałek historii. Prawdziwej historii PRL.

Paweł Dybicz

Jolanta Czarotryska, Adam S. Czarotryski, *Moja prokuratura to bzdura?!*, Rzeszów 2022



Histeria wokół historii

Polityka historyczna pod dyktando IPN przynosi skutki w postaci kolejnych roczników młodych Polaków gardzących rzetelną wiedzą o przeszłości

Paweł Sergiejczyk

Nie miejmy złudzeń: spory o historię zawsze są sporami politycznymi. Nie spieramy się przecież o fakty, lecz o ich interpretację, osąd, ocenę. Kontrowersje budzą przy tym oczywiście dzieje polityczne – nie historia kultury, gospodarki czy życia codziennego. Ale też historia polityczna cieszyła się zawsze – i cieszy nadal

Wizja historii narzucana przez prawicę opiera się na dwóch fundamentach: antykomunizmie i politycznym klerykalizmie.

– największym zainteresowaniem. Wiedzą o tym politycy i dlatego starają się wykorzystywać przeszłość jako narzędzie kształtowania społeczeństwa w duchu korzystnych dla siebie poglądów. Pojęciu polityki historycznej nieodmiennie musi towarzyszyć słowo indoktrynacja, bo każda władza dysponuje narzędziami, dzięki którym można skutecznie indoktrynować społeczeństwo.

Ostatnich osiem lat to czas bezwzględnej dominacji polityki historycznej w wydaniu prawicowym. A na czym opiera się wizja historii narzucana przez polską prawicę? Na dwóch fundamentach: antykomunizmie, czyli całkowitym zanegowaniu jakiegokolwiek wartości epoki PRL w dziejach Polski, oraz politycznym klerykalizmie, czyli uznaniu Kościoła katolickiego za jedynego reprezentanta interesów i potrzeb narodu polskiego w całych jego dziejach. Konsekwencje tych dwóch fundamentów są bardzo wyraźne: doprowadzenie do skrajności

kultu „żołnierzy wyklętych” i pomijanie znaczenia wszelkich legalnych form niezależnej działalności w powojennej Polsce, przemilczanie roli środowisk i ugrupowań lewicowych, laickich, liberalno-demokratycznych – ogólnie rzecz biorąc „postępowych” – na kolejnych etapach dziejów naszego kraju, ignorowanie fundamentalnych przemian społecznych, gospodarczych, kulturowych i obyczajowych, jakie zachodziły

w XX-wiecznej Polsce, wreszcie zakłamywanie wielu faktów, które nie pasują do narodowo-katolickiej i antykomunistycznej narracji.

Warto przy tym zauważyć, że to nie PiS wymyśliło i zaczęło wprowadzać taką politykę historyczną. Za jej formalny początek trzeba uznać utworzenie Instytutu Pamięi Narodowej na przełomie stuleci, a więc

myślenie Polaków o historii. A szczególnie myślenie najmłodszych pokoleń, które nie mogą pamiętać czasów sprzed 1989 r. Rządy PiS jedynie umocniły tę dominację, rozciągając ją bezwzględnie na inne instytucje podległe władzy państwowej, zwłaszcza media i szkoły.

Ofensywę prawicowej polityki historycznej w szkolnictwie podjął minister Przemysław Czarnek, który przejął resort edukacji i nauki dopiero po wyborach prezydenckich w 2020 r., gdy dominacja partii Kaczyńskiego weszła w szczytową fazę (nieprzypadkowo w tym samym czasie lider PiS dał pozwolenie Trybunałowi Konstytucyjnemu na zaostrezenie ustawy antyaborcyjnej). Trzy lata swojego urzędowania Czarnek i jego ekipa wykorzystali m.in. na wprowadzenie zmian w podstawach programowych do nauczania poszczególnych przedmiotów na wszystkich szczeblach edukacji. Za tę operację odpowiadał Artur Górecki, dyrektor Departamentu Kształcenia Ogólnego i Podstaw Programowych w resorcie Czarnka, wcześniej dyrektor kilku

Za wprowadzenie zmian w podstawach programowych odpowiadał Artur Górecki, dyrektor Departamentu Kształcenia Ogólnego i Podstaw Programowych w resorcie Czarnka.

jeszcze w czasach rządów AWS i Unii Wolności. Oba te ugrupowania – z pomocą opozycyjnego wówczas PSL, a przy sprzeciwie jedynie lewicy z prezydentem Kwaśniewskim na czele – zbudowały superinstytucję, z którą do dziś nie mają szans mierzyć się jakiegokolwiek ośrodki akademickie, wydawnicze itp. IPN-owska wizja dziejów zdominowała w XXI w.

szkół katolickich, związany ze środowiskiem kwartalnika „Christianitas”, którego politycznym patronem jest były marszałek Sejmu Marek Jurek.

Pomysłowa nazwa

Ponieważ Górecki jest z wykształcenia historykiem, trudno się dziwić, że w największym stopniu zmianom

uległy podstawy programowe do nauczania historii. Obok „rytualnych” sporów o listę lektur z języka polskiego właściwie tylko historia budziła i budzi żywe dyskusje, często z udziałem ludzi, którzy ze współczesną szkołą, jej uczniami i nauczycielami nie mają żadnego kontaktu. Bo jakim „ekspertem” od nauczania historii może być np. Jarosław Kaczyński, który swój kontakt ze szkołą zakończył maturą w 1967 r., nie będąc potem nigdy ani nauczycielem, ani rodzicem?

HiT miał kształtować nie tyle obywateli, ile zwolenników prawicy, czego dowodem był podręcznik prof. Wojciecha Roszkowskiego, stanowiący kwintesencję antykomunizmu i klerykalizmu.

Najbardziej spektakularnym „osiągnięciem” ekipy Czarnka-Góreckiego było wprowadzenie do szkół średnich nowego przedmiotu o pomysłowej nazwie historia i teraźniejszość. HiT zastąpił w tych szkołach wiedzę o społeczeństwie – przedmiot niewątpliwie istotny, bo kształtujący nowych obywateli świadomych swoich praw i obowiązków. Tymczasem HiT miał kształtować nie tyle obywateli, ile zwolenników prawicy, czego najlepszym dowodem był podręcznik prof. Wojciecha Roszkowskiego, stanowiący kwintesencję antykomunizmu i klerykalizmu w stężeniu rzadko występującym nawet w książkach wydawanych przez IPN. Nic dziwnego, że podręcznik Roszkowskiego – omawiający dzieje Polski i powszechne po 1945 r. – wydała krakowska oficyna Biały Kruk, specjalizująca się w albumach na temat Jana Pawła II, tematyce „smoleńskiej” i twórczości historycznej prof. Andrzeja Nowaka.

Gdy resort edukacji przygotowywał się do wprowadzenia HiT-u do szkół (co nastąpiło we wrześniu 2022 r.), swoją opinię na temat podstawy programowej do tego przedmiotu wydało Polskie Towarzystwo Historyczne – organizacja skupiająca większość profesjonalnych historyków w naszym kraju, działająca od 1886 r. W opinii PTH z 10 stycznia 2022 r. nie zostawiono suchej nitki na nowym przedmiocie, zarzucając mu m.in. przeładowanie

szczegółową wiedzą akademicką, w dodatku nie na poziomie percepcji uczniów 15-, 16-letnich, zwiększenie dominacji historii politycznej nad innymi aspektami wiedzy o przeszłości, pominięcie historii regionalnej i lokalnej.

Jakże wymowne są kolejne zarzuty PTH:

„Jako niewłaściwy należy ocenić fakt, że w Podstawie programowej znalazło się wiele sformułowań, które mają charakter publicystyczny (np. ideologia »poprawności poli-

tycznej«, »wojujący islamizm«). Tego rodzaju nienaukowe sformułowania nie powinny pojawiać się w takim dokumencie. Równie niezrozumiałe jest użycie cudzysłowu dla pojęć powszechnie używanych w historiografii i innych naukach. Taki zabieg interpunkcyjny ma charakter manipulacyjny i jest zakamuflowaną formą podważenia ich sensu. Kwestionowanie pojęć praw człowieka czy społeczeństwa obywatelskiego stoi w sprzeczności z wartościami, które dzięki tym dokumentom mają być przekazywane”.

„Niespotykaną dotąd praktyką dotyczącą dokumentów programowych jest sytuacja, w której od nauczyciela będzie się wymagać, aby prezentował treści zgodnie ze sformułowaną wprost lub domyślnie interpretacją wskazaną przez autorów Podstawy programowej. Z Podstawy programowej zniknęły zapisy o zapoznawaniu się ucznia z wielością i różnorodnością poglądów, ocen i stanowisk czy kształtowaniem krytycznego stosunku do nich. Takie sformułowanie treści kształcenia stanowi zagrożenie ideologizacją czy wręcz indoktrynacją, jak również formę zniechęcenia młodzieży do

krytycznego namysłu nad wydarzeniami historycznymi czy problemami teraźniejszości. Na przykład wiele wydarzeń zostało już przez Autorów określone jako »przełomowe«, nie pozostawiając uczniom możliwości refleksji i dyskusji, a nawet i sporu pod kierunkiem nauczyciela (np. Ostpolitik kanclerza Willy’ego Brandta; polityczne znaczenie 2005 r. w Polsce czy ocena katastrofy z 10 kwietnia 2010 r. jako największej tragedii w powojennej historii Polski). Inne z góry są zaprezentowane jako zjawiska negatywne, jak chociażby to, że rewolucja seksualna inspirowana była neomarksizmem. Nie pozostawiono pola do interpretacji czy twórczej krytyki, której zresztą zaproponowany sposób nauczania nie zakłada”.

Jednostronna prezentacja

W tej samej opinii Polskie Towarzystwo Historyczne również krytycznie oceniło zmiany w podstawie programowej do historii, które przygotowała ekipa Czarnka-Góreckiego. Historycy zwrócili uwagę na uszczegółowienie licznych zagadnień, które „są traktowane jako obowiązkowe, a ich sformułowania prowadzą do zaburzenia właściwej perspektywy historycznej i jednostronności ujęć, np.: »uczeń charakteryzuje atrakcyjność kulturową Polski dla mieszkańców państwa Zakonu Krzyżackiego«, ale wkład ▶

Z poczuciem ogromnej straty i głębokiego żalu
zawiadamiamy,
że 22 lutego 2024 r. w wieku 87 lat zmarł

Antoni Rączka

wieloletni działacz samorządowy na Sądecku, wojewoda nowosądecki w latach 1980-1989, I sekretarz KW PZPR w Nowym Sączu w latach 1989-1990, wieloletni wiceprezes Stowarzyszenia „Kuźnica” założyciel i wieloletni przewodniczący Filii „Kuźnicy” w Nowym Sączu.

Był człowiekiem serdecznym i uczynnym, bezpośrednim i pełnym empatii. Cieszył się powszechnym uznaniem i sympatią.

Kuźniczanie

- Zakonu w rozwój gospodarczy ziem polskich został całkowicie pominięty. Inny przykład to zapis: »uczeń przedstawia przejawy atrakcyjności kulturowej polskość dla obcokrajowców (potrafi przytoczyć przykłady spolonizowanych rodzin, które przyszły na ziemię polskie wraz z zaborcami)«. Dla uzyskania rzetelnego obrazu przeszłości należałoby dodać również przykłady przyjmowania kultury zaborców przez Polaków”.

PTH zarzuciło też nowej podstawie programowej „jednostronną prezentację treści”, w tym:

„Ujęcie jednowymiarowe, martyrologiczno-heroiczne. Brakuje np. życia gospodarczego, tajnego nauczania, ale i postaw haniebnych (np. grabież mienia żydowskiego, Jedwabne)”;

Dramatycznie spada liczba maturzystów wybierających historię jako przedmiot egzaminacyjny.

„Niemał całkowicie pomija się udział Polaków w walkach na froncie wschodnim (poza bitwą o Kołobrzeg), w tym w zdobyciu Berlina”;

„Błędnie eksponuje wyłącznie rozwojowe tendencje w Kościele katolickim (a gdzie np. laicyzacja społeczeństw europejskich) i tendencje destrukcyjne w islamie”;

„Niemał całkowicie marginalizuje się wysiłek państwa i społeczeństwa w kwestii odbudowy Polski po II wojnie światowej. Integracja ziem zachodnich i północnych (jednej trzeciej terytorium kraju!) z pozostałymi dzielnicami występuje jedynie w kontekście funkcjonowania Kościoła katolickiego. Brakuje przemian społecznych, migracji zewnętrznych i wewnętrznych, przekształcania struktur społecznych. Postawy społeczeństwa wobec władzy zostały ograniczone jedynie do oporu społecznego”;

„Ograniczenie osiągnięć Polaków w sferze nauki, kultury, sztuki jedynie do wzmianki odnoszącej się do lat 80. oznacza ich deprecjację”.

Oczywiście ludzie kierujący w ostatnich latach resortem edukacji zupełnie zignorowali opinie

Polskiego Towarzystwa Historycznego, co było typowym podejściem pisowskiej władzy do wszelkich niezależnych od niej organizacji społecznych. Nowe kierownictwo ministerstwa, złożone z przedstawicieli Koalicji 15 Października, stanęło więc przed koniecznością wprowadzenia szybkich zmian w skrajnie upolitycznionej i zideologizowanej, a przy tym fatalnej dydaktycznie podstawie programowej. Przedstawione przez resort Barbary Nowackiej propozycje takich zmian wzbudziły oczywiście historię większości środowisk prawicowych, łącznie z samym PiS i podporządkowanymi mu mediami.

W rzeczywistości jednak ministerstwo dokonało jedynie niewielkich korekt, wyrzucając z podstawy programowej część zapisów bardzo szczegółowych (np. nazwisk postaci

obywateli RP gardzących rzetelną wiedzą o przeszłości, a co najwyżej czerpiących sensacyjne pseudoinformacje z internetu).

W tej sytuacji prawicowa histeria nad propozycjami korekt w podstawie programowej świadczy o kompletnym oderwaniu tych środowisk od rzeczywistości. Jeżeli polska szkoła ma jeszcze odegrać jakąkolwiek rolę w edukacji historycznej kolejnych pokoleń, to na pewno nie może indoktrynować. Powinna zachęcać do obcowania z przeszłością, budząc ciekawość i wywołując w młodych ludziach radość z poznawania minionych epok, co jest przecież wyprawą w egzotyczne krainy, tyle że już nieistniejące. Ta ciekawość i radość muszą zastąpić wszelkie ideologiczne aspiracje do zdobycia „rządu dusz” poprzez podręczniki i zastraszone nauczycieli. Bo historia nie może być ani prawicowa, ani lewicowa, ani katolicka, ani antykatolicka – ona musi być prawdziwa. Tylko wtedy jest szansa, że uczniowie znów się nią zainteresują.

I na koniec jedno marzenie kogoś, kto ma szczęście uczyć historii zarówno w szkole podstawowej, jak i w liceum: marzy mi się taki program nauczania naszego przedmiotu, który nie będzie zaśmiewał młodych umysłów zbędnymi szczegółami, lecz pozwoli im zrozumieć kierunek przemian dziejowych – cywilizacyjnych, kulturowych, społecznych, ale też politycznych i religijnych – zarówno naszej ojczyzny, jak i Europy, której od zawsze jesteśmy częścią. Może więc kiedyś dożyjemy wspólnego podręcznika do historii dla wszystkich narodów europejskich? Mówiło się o takim pomysle przed laty, lecz rozmaite kryzysy dotyczące dziś Unię Europejską usunęły go w cień. A przecież warto widzieć naszą historię nie tylko na tle, ale wręcz w ścisłym związku z historią niemiecką, francuską, włoską, angielską, czeską, ukraińską, litewską czy rosyjską. Takie podejście ułatwiłoby pozbycie się przez młodych Polaków chorobliwych kompleksów leczonych u nas od wieków megalomanią narodową.

Paweł Siergiejczyk

drugo- lub trzeciorzędnych dla dziejów Polski) i zmieniając brzmienie tych, które miały charakter jednoznacznie tendencyjny (zwłaszcza podkreślających przewagę Polaków i polskość nad innymi narodami czy nadmiernie eksponujących rolę Kościoła). Większość podstawy pozostała bez istotnych zmian merytorycznych, co jednak – nie łudźmy się – w żaden sposób nie uspokoi rozwścieczonej prawicy, która obecną władzę traktuje jak rządy „antypolskiego lewactwa”.

Chorobliwe kompleksy

W takiej atmosferze nie sposób prowadzić poważnej dyskusji o przyszłości edukacji historycznej w Polsce. A taka dyskusja jest nam pilnie potrzebna – zanim ostatni uczniowie stracą zainteresowanie przeszłością, jak to się dzieje już teraz, gdy dramatycznie spada liczba maturzystów wybierających historię jako przedmiot egzaminacyjny. Ćwierćwiecze prowadzenia polityki historycznej (i edukacji historycznej) pod dyktando IPN przynosi dziś skutki w postaci kolejnych roczników młodych

Refleksje pesymisty



Andrzej Romanowski

O prawaku

Trzeba to wyznać od razu: polski prawak mnie drażni. Ale drażni nie przez poglądy, jakiekolwiek byłyby one wariackie. Drażni niedouczeniem. Oraz rekompensującym to niedouczenie kompleksem. I tupetem. Drażni brakiem logiki.

Wyświechtane formułki, zawsze te same, wyprane z wszelkiego sensu... „Tusk jest proniemiecki”. Ale co to znaczy? Jaki powinien być szef polskiego rządu – w dodatku w obliczu wojny za wschodnią granicą? Patriotyczny prawak odpowie: szef polskiego rządu ma się rządzić polską racją stanu! Ale znów: co to znaczy? Skoro polska racja jest zarazem racją europejską? Od 20 lat jesteśmy członkiem Unii – czyż „proniemieckość” nie znaczy dziś „proeuropejskość”? Prawak deklamuje o swoim katolicyzmie, ale czy pamięta, że chrześcijaństwo przyszło do Polski z Niemiec? I że Europa przyszła do nas z Niemiec, bo za niemieckim pośrednictwem? Że droga Polski do Europy zawsze wiodła przez Niemcy? Że to Niemcy przynieśli Polsce pismo, którym prawak dziś się posługuje? A dzisiejsze Niemcy są bardziej pokojowe i przyjazne niż kiedykolwiek. Co więc znaczy dziś fraza „Tusk jest proniemiecki”?

Ale na to już prawak nie odpowie. Bo tego wszystkiego on po prostu nie wie.

A jeśli nawet wie, to nie rozumie. Prawak bowiem nie myśli. A zatem pomyślimy za niego. Prawak boi się dominacji Niemiec w Europie, lecz równocześnie żąda „Europy ojczyzn”, która dominację Niemiec tylko by zwiększyła. Prawak oburza się na pacyfizm Niemiec, lecz czy wolałby, by były one niepacyfistyczne? Powojenny cud polsko-niemieckiej przyjaźni prawak postanowił zniszczyć: żąda od Niemiec reparacji. Czy jednak chciałby kiedyś usłyszeć: dostałeś, bracie, 20% naszego terytorium, zwróć je, a wypłacimy reparacje? Prawak jest, jak zawsze, nielogiczny. Jest patriotyczny, ale patriotyzmem prawackim. A patriotyzm prawacki to patriotyzm niebezpieczny. To (darujcie oksymoron) patriotyzm antynarodowy.

Tymczasem prawak deklaruje się zawsze jako patriota. Oraz, jak już się rzekło, jako katolik. Jednak prawakowi nie przyjdzie do głowy, że obie te racje mogą być sprzeczne. Opanowany przez prawaka Sejm ogłosił niegdyś rok 2012 „rokiem Piotra Skargi”. A przecież rola tego jezuita była dla Rzeczypospolitej zabójcza: jego zamiar skatolicyzowania państwa różnych religii stał się kursem na jego rozpad, pierwszym zaczynem rozbiorów.

Z kolei w roku 2016 Sejm ustalił datę dzienną chrztu Polski. A przecież nie tylko dzień, lecz nawet rok tego wydarzenia pozostaje dla historyków niepewny. Ale prawak lubi poprawiać historię.

Nie bez przyczyny Instytut Pamięci Narodowej zatrudnia samych prawaków. Jakaż to w nim jednorodność ideałów! Nigdzie indziej nie poprawia się historii w tym stopniu. Nigdzie indziej narodowa pamięćliwość nie sąsiaduje ze ślepotą na fakty niewygodne. Ale prawakowi nigdy nie chodziło o naukę – nieudacznicy nauki nienawidzą. Nie chodziło mu też o prawdę. Chodziło o Ministerstwo Prawdy.

Gdy więc w 2015 r. otrzymał prawak te instytucje i te ministerstwa, mógł już robić swoje. Dostał szansę na odwet, więc podjął walkę z nauką. Zadekretował jedynie słuszną wizję przeszłości i jedynie słuszną wizję literatury. Nie mogły doprosić się pieniędzy uniwersytety (z wyjątkiem, a jakże, KUL), natomiast milionowe dotacje otrzymywały byty powołane ad hoc, na polityczne zamówienie. Nawet medycyna miała być prawacka, bo nauczana

w instytutach nowych: pozbawionych zaplecza i produkujących lekarzy niedouczonych, za to z klauzulą sumienia. Konsekwowane ręce kapłana, które nie prze-

noszą covidu, oraz pękające parówki, które w katastrofie smoleńskiej zaprzeczały prawom fizyki, pozostają symbolem prawackiej nauki. Prawakowy walec przetoczył się nie tylko przez humanistykę, lecz także przez nauki przyrodnicze i ścisłe. Przetoczył się przez Polskę. W pogardzie dla nauki nieraz niósł zagrożenie życia.

A mimo to mówi dziś symetrysta: po co to pisać, po co rozdrapywać, to wszystko melodia przeszłości – było, minęło. Prawak już nie rządzi, prawakowi spada. Nieprawda. Prawak wciąż ma swojego prezydenta, swoich biskupów i swój 7-milionowy elektorat. Prawak nadal poraża ignorancją, wciąż się panoszy i wszędzie szkodzi. A zawsze ma szansę wrócić. Czemu więc szeregi symetrystów wzrastają? Bo oprócz tych, co od lat wyznają hasło „PiS, PO – jedno zło”, pojawili się nowi: mający dość zimnej wojny domowej, apelujący o społeczny spokój. Poczciwcy. Lokatorzy wieży z kości stoniowej. Lecz Polska, zdeptana przez prawaka, potrzebuje moralności i nauki. Natychmiast.

a.romanowski@tygodnikprzeglad.pl

Fiasko Goralenvolku

Gdy jedni Krzeptowscy poparli Goralenvolk i poszli na kolaborację z Niemcami, drudzy walczyli w konspiracji

Bohdan Piętka

Zapowiedziane na 8 marca wejście do kin filmu „Biała odwaga” Marcina Koszałki zwróciło uwagę mediów na temat Goralenvolku. Akcja wyodrębnienia górali podhalańskich z narodu polskiego była planowana przez Niemcy hitlerowskie od połowy lat 30. XX w. Grunt pod nią przygotował Witalis Wieder – kapitan rezerwy Wojska Polskiego i agent Abwehry. Wieder przyjechał do Zakopanego już w 1934 r. Prowadził działalność na rzecz Abwehry w sposób bardzo przemyślany i zakamuflowany, nawiązując kontakty z wieloma przedstawicielami podhalańskiej elity. Dokonał dogłębnego rozpoznania, kogo na Podhalu można byłoby zwerbować do przyszłej współpracy z Niemcami. Zorientował się, że liderem przyszłego Goralenvolku mógłby zostać lokalny polityk Wacław Krzeptowski

Akcja Goralenvolku, czyli wyodrębnienia górali podhalańskich z narodu polskiego, była planowana przez Niemcy hitlerowskie od połowy lat 30. XX w.

(1897-1945) – „hruby gazda”, człowiek znany i popularny wśród górali, a przy tym chorobliwie ambitny oportunistą, mający do tego poważne kłopoty materialne. Krzeptowski był przed wojną liderem Stronnictwa Ludowego w Nowym Targu, wiceprzewodniczącym Związku Górali, znał osobieście czołowe postacie elity II RP.

Podczas mistrzostw świata FIS w lutym 1939 r. Wieder gościł w swoim zakopiańskim domu liczną delegację niemiecką. Wtedy prawdopodobnie doszło do tajnych spotkań z przedstawicielami miejscowej elity i zwerbowania Krzeptowskiego. Najpóźniej stało się to w październiku

1939 r., podczas zorganizowanej przez Niemców pielgrzymki górali do Częstochowy.

Akcja wywołania proniemieckiego ruchu separatystycznego na Podhalu rozpoczęła się na samym początku okupacji niemieckiej, a kierował nią bezpośrednio Johann Malsfey – niemiecki komisarz Zakopanego, później starosta nowotarski. Do współpracy z nim przystąpili, oprócz Wacława Krzeptowskiego, jego kuzyni Stefan i Andrzej, jeden z byłych prezesów przedwojennego Związku Górali Józef Cukier oraz doktor praw Henryk Szatkowski – przedwojenny kierownik wydziału uzdrowiskowego w Zarządzie Miejskim Zakopanego, który oddał się całkowicie na usługi władz niemieckich i został później Niemcem. To właśnie on głosił konieczność współpracy górali z Niemcami, dowodził rzekomego niemieckiego pochodzenia górali i ich negatywnego stosunku do państwa polskiego.

Nad całością akcji czuwali generalny gubernator Hans Frank oraz Reichsführer SS Heinrich Himmler – odpowiedzialny za „umacnianie niemczyzny na Wschodzie”.

Już 7 listopada 1939 r. Wacław Krzeptowski uczestniczył na czele delegacji góralskiej (Józef Cukier, Stanisław Krzeptowski i dwie góralki) w uroczystym objęciu przez Hansa Franka na Wawelu stanowiska generalnego gubernatora. Ponownie delegacja góralska z Krzeptowskim gościła w siedzibie Franka na Wawelu 20 kwietnia 1940 r. z okazji urodzin Adolfa Hitlera. Frank z kolei składał rewizyty w Zakopanem. „20 lat

jęczeliśmy pod polskim panowaniem, a teraz wracamy pod skrzydła narodu niemieckiego”, powiedział Goralenvolker Wacław Krzeptowski, witając po raz pierwszy 12 listopada 1939 r. w stolicy Tatr Hansa Franka¹.

Konferencja Himmlera

Pod koniec stycznia 1940 r. przybył do Zakopanego sam Himmler w towarzystwie pisarza i ideologa nazistowskiego Hannsa Johsta. Obaj przeprowadzili konferencję na temat szans separatyzmu góralskiego. Owocem tej konferencji był elaborat Himmlera z maja 1940 r. „o traktowaniu obco krajowców na Wschodzie”, w którym za grupy etniczne niepolskie, przeznaczone do zniemczenia, uznał Kaszubów, Łemków i górali. Pierwszym krokiem władz niemieckich było formalne zinstytucjonalizowanie działalności skupionych wokół Krzeptowskiego kolaborantów. Nastąpiło to poprzez reaktywowanie w 1940 r. przedwojennego Związku Górali – teraz już pod nazwą Goralenverein.

Moment przełomowy dla akcji Goralenvolku nastąpił w lutym 1942 r., kiedy to władze niemieckie powołały Komitet Góralski (Goralisches Komitee). Okupantowi niemieckiemu wyraźnie chodziło o nadanie kierowanemu przez siebie ruchowi form organizacyjnych. Podczas wizyty Himmlera w Krakowie (13-14.03.1942 r.) doszło jednak w tej sprawie do rozbieżności pomiędzy Frankiem a Himmlerem. Reichsführer SS opowiadał się za zniemczeniem górali, Łemków i Hucułów, ale był przeciwny popieraniu tych grup jako odrębnych etnicznie. Chciał je zgermanizować wprost, nie rozwijając ruchu separatystycznego, ku czemu skłaniał się Frank.

Regulamin Komitetu Góralskiego opracował Lothar Weirauch, kierownik Wydziału Głównego Opieki



Delegacja góralska z Wacławem Krzeptowskim gościła w siedzibie gubernatora Hansa Franka na Wawelu 20 kwietnia 1940 r. z okazji urodzin Adolfa Hitlera.

wycofał karty polskie, oraz w Szczawnicy (92%), gdzie panował wyjątkowo silny terror niemiecki w reakcji na działalność kurierską polskiego podziemia na tym terenie.

Kenkarty dla górali

Tak ocenił Krzeptowskiego wybitny ludowiec i jeden z czołowych polityków Polski Podziemnej, Stefan Korboński: „Wiele osób ze świata politycznego, no i wszyscy działacze ludowi pamiętają tego rosnącego, pięknego górala, byłego posła na Sejm, który, gdy włożył na siebie strój góralski, to po prostu rwał wszystkie oczy. Znałem go dość dobrze i widywałem nieraz w czasie pobytu w Zakopanem. Krzeptowski – jak wiadomo – z poduszczenia gubernatora Franka wraz z renegatem Szatkowskim poszedł na organizowanie »narodu góralskiego« i podziemie od dawna miało na niego oko, szczególnie ludowcy. Byłby on niechybnie zginął zaraz na początku swej występnej działalności, gdyby nie to, że z Zakopanego i z Krakowa szły wiadomości, że Niemcy wyraźnie zapowiedzieli, iż w razie zabicia Krzeptowskiego zmasakrują w odwet całą ludność góralską, która w swej masie nie dała się pociągnąć »księciu góralskiemu« – jak Niemcy zwali Krzeptowskiego – i nie przyjęła kenkart Goralenvolku”². Równocześnie Korboński dodał: „Cała akcja Krzeptowskiego (...) wśród górali była przedmiotem kpin i dowcipów”³.

Rzeczywiście, inicjatywa Goralenvolku zakończyła się fiaskiem i kompromitacją, zanim jeszcze III Rzesza zaczęła na dobre przegrywać wojnę. Pokazał to najlepiej nie tylko daleko niezadowolający wynik przyjmowania kenkart G wśród górali, ale także komiczny finał rozpoczętej w czerwcu 1942 r. pod patronatem Komitetu Góralskiego akcji formowania Góralskiego Legionu Ochotniczego SS (Goralische Freiwilligen Waffen-SS Legion). Z ok. 300 zwerbowanych ochotników zakwalifikowano na szkolenie w obozie w Trawnikach 200. Dotarło tam ▶

Spółecznej w rządzie Generalnego Gubernatorstwa. Komitet zajmował się głównie wydawaniem kenkart G, określających przynależność danej osoby do Goralenvolku. Kenkarty te, w kolorze niebieskim, nie dawały jednak żadnych wyraźnych przywilejów ani nie chroniły przed niemieckim terrorem.

Na czele Komitetu Góralskiego stanął Wacław Krzeptowski, jego zastępcą został Józef Cukier, sekretarzem Adam Trzebunia, kierownikiem biura Stanisław Walczak. Komitet posiadał referaty ds. organizacyjnych, kultury, pracy, wyżywienia, pomocy gospodarczej i prawnej. Akcją tworzenia Goralenvolku objęto powiat nowotarski oraz południowe gminy powiatu myślenickiego.

Komitet Góralski robił wszystko, żeby kenkartę G przyjęto jak najwięcej górali. Grożono wysiedleniem, obiecywano uprzywilejowanie (zmniejszenie kontyngentów, ulgi podatkowe),

straszano gestapo. Jednakże już pierwsze dni zgłaszania wniosków o kenkarty G wywołały konsternację Krzeptowskiego i starosty Malsfeya. Ostatecznie niebieską kenkartę przyjęło 27 tys. spośród 150 tys. mieszkańców Podhala, czyli 18%, a po wyłączeniu ludności napływowej – ok. 20%. Reszta górali zażądała kenkart polskich i otrzymała je. W Bukowinie Tatrzańskiej i Krościenku odsetek kart góralskich wyniósł tylko 3%, w gminach Szaflary i Czorsztyn podobnie, w gminie Łopuszna 7%, w Ludźmierzu, Chochołowie i Białym Dunajcu 10%. Poważniejszy odsetek kenkart G przypadł jedynie na miasta. Tam bowiem wpływy organizacyjne Komitetu Góralskiego i strach przed gestapo były większe. W Zakopanem wydano 23%, w Rabce 26%, a w Nowym Targu 30% kart góralskich. Przygniatającą liczbę kart góralskich wydano tylko w trzech gminach: Kościelisko i Ciche (90%), gdzie wójt

► jednak tylko kilkunastu, a pozostali zbiegli. Ostatecznie w szeregi Waffen-SS przyjęto sześciu ochotników. Była to ostatnia akcja Komitetu Góralskiego, która go doszczętnie ośmieszyła.

Goralenvolk – pomimo znacznych wysiłków samego Krzeptowskiego – nie zdobył wielkiego poparcia. Większość Podhalań pozostała wierna Polsce. Wielu zaangażowało się w działalność konspiracyjną (m.in. jako przewodnicy tras kurierskich), zapisując męczeńską kartę w zakopiańskiej katowni gestapo Palace i w KL Auschwitz. Dotyczyło to także samego rodu Krzeptowskich. Gdy jedni Krzeptowscy poszli na kolaborację, drudzy walczyli w konspiracji.

Działalność Komitetu Góralskiego była intensywnie wspierana przez propagandę niemiecką. „Propaganda hitlerowska w perfidny sposób wykorzystywała wszelkie wizerunki górali jako domniemyanych potomków germańskich Gotów w celu rozbicia jedności narodu polskiego. Rozpowszechniano, m.in. za pomocą pocztówek, wizerunki różnych grup górali, zwłaszcza w paradnych strojach, a w góralskich spinkach dopatrywano się rzekomego podobieństwa do spinek gockich. Dostrzegano również podobieństwa w sylwetkach górali do typu nordyckiego – jasne włosy czy niebieskie oczy”, stwierdził Wojciech Szatkowski, historyk Muzeum Tatrzańskiego im. dr. Tytusa



Na Pańskie pytanie, w jakim stopniu górale potrafią porozumiewać się po niemiecku, mogę powiedzieć jedynie posługując się słowem Vodka⁵.

Kolaboracja inteligentów

Zamieranie działalności Komitetu Góralskiego nie zaskoczyło Niemców. Nie była to przecież akcja inicjowana przez społeczność góralską, ale separatyzm rozniecany sztucznie przez Malsfeya, Krzeptowskiego, Wiedera i Szatkowskiego. Prof. Czesław Madajczyk zwrócił uwagę na duże podobieństwo pomiędzy akcją

Niebieską kenkartę G przyjęło 27 tys. spośród 150 tys. mieszkańców Podhala, czyli 18%. Reszta górali zażądała kenkart polskich i je otrzymała.

Góralskiego, który wkrótce został oficjalnie zlikwidowany przez Niemców. Zagrożony aresztowaniem przez gestapo uciekł na Słowację i przyłączył się do radzieckiego oddziału partyzanckiego walczącego w Słowackim Powstaniu Narodowym. W grudniu 1944 r. Krzeptowski został po raz pierwszy ujęty w Tatrach przez partyzantów Armii Krajowej, ale zdołał zbiec. Odtąd ukrywał się w szałasie na Hali Stoły oraz u swojej rodziny w Kościelisku. Tam został pojmany 20 stycznia 1945 r. przez żołnierzy plutonu AK „Kurniawa” i powieszony. Prosił, żeby go zastrzelić, ale odpowiedziano mu, że zdrajcy na śmierć honorową nie zasługują. Rodzina znalazła przy zwłokach Krzeptowskiego testament o treści: „Ja, niżej podpisany Wacław Krzeptowski, urodzony 1897 roku dnia 24 czerwca w Kościeliskach, przekazuję cały swój nieruchomy i ruchomy majątek uwidoczniiony w księgach hipotecznych w Zakopanem na rzecz oddziału partyzanckiego Kurniawa grupy Chełm AK z własnej, nieprzymuszonej woli, jako jedyne zaadośćuczynienie dla Narodu Polskiego za błędy i winy popełnione przeze mnie wobec polskiej ludności Podhala w okresie okupacji niemieckiej od roku 1939 do 1945. Kościelisko, 20 stycznia 1945, godzina 22:30”⁷.

Witalis Wiedera i Henryk Szatkowski uciekli razem z Wehrmachtem (po wojnie zaocznie skazano ich na karę śmierci). Pięciu czołowych działaczy Komitetu Góralskiego zostało osądzonych w listopadzie 1946 r. w Zakopanem (najwyższy wyrok, 15 lat, otrzymał zastępca Krzeptowskiego Józef Cukier).

„Akcja »Goralenvolku« zakończyła się ostatecznie całkowitym fiaskiem. Klęska Niemiec w II wojnie światowej przypieczętowała klęskę jej twórców i wykonawców. Warto dodać, że gdyby historia potoczyła się inaczej, i Niemcy hitlerowskie zwyciężyły w II wojnie światowej i nadal realizowałyby założenia swojej polityki narodowościowej, to w myśl tajnych dyrektyw Heinricha Himmlera, górale

„20 lat jęczyliśmy pod polskim panowaniem, a teraz wracamy pod skrzydła narodu niemieckiego”, powiedział Goralenführer Wacław Krzeptowski, witając 12 listopada 1939 r. w stolicy Tatr Hansa Franka.

Chałubińskiego w Zakopanem i wnuk współtwórcy Goralenvolku Henryka Szatkowskiego⁴.

Z niemieckich teorii rasowych o Goralenvolku drwili nawet sami Niemcy. W 1943 r. wyższy dowódca SS i policji w GG, SS-Obergruppenführer Wilhelm Koppe, napisał do szefa Głównego Urzędu SS: „(Górale) w żaden sposób nie różnią się od Polaków, a nawet przeciwnie, na podstawie naszych trwających trzy i pół roku obserwacji ocenić ich należy znacznie gorzej niż Polaków. (...)

Goralenvolku a niemiecką akcją wobec Bretończyków w okupowanej Francji. „W Generalnej Guberni lansowano niepolskość górali, w Bretanii niefrancuskość jej mieszkańców. Tu i tam próbowano regionalizm przekształcić w separatyzm, tu i tam ofiarowano grupom regionalnym »wyzwolenie«, tu i tam akcja zakończyła się fiaskiem”⁶.

Kompromitacja akcji Goralenvolku spowodowała upadek Goralenführera. Latem 1944 r. Krzeptowski polecił zniszczyć dokumentację Komitetu

podhalańscy z czasem (30-40 lat) zostaliby zgermanizowani, a potem wcieleni do narodu niemieckiego (ale tylko ci z górali podhalańskich, którzy spełniliby niemieckie kryteria rasowe), a oporne jednostki zostałyby wyniszczone. Wacław Krzeptowski o tym nie wiedział, bo wiedzieć po prostu nie mógł, gdyż w tej grze Niemców był tylko pionkiem”, podsumował swoją monografię o Goralenvolku Wojciech Szatkowski⁸.

Z kolei Augustyn Suski – założyciel Konfederacji Tatrzańskiej, który zginął w KL Auschwitz – w swoim tekście „Chłop i diabeł” zauważył: „Podhale splamiło się, zarażone potwornym trądem – krzeptowszczyzną. Splamiło się, lecz mimo to nie uniknęło losów okupowanych przez wroga ziem polskich”⁹.

Należy podkreślić, że motorem kolaboracyjnej działalności Komitetu Góralskiego byli nieliczni przedstawiciele podhalańskiej inteligencji. Większość prostych górali miała negatywny stosunek do idei Goralenvolku, a ci z nich, którzy przyjęli kenkarty G, zrobili to przeważnie pod naciskiem i szantażem Komitetu Góralskiego lub ze strachu przed terrorem niemieckim. Ideologowie i planiści III Rzeszy mieli nadzieję, że zwerbowane do kolaboracji elity podbitych krajów pociągną za sobą masy, co obok terroru i eksterminacji było jedną z dróg do tworzenia „niemieckiej Europy”. W wypadku Polski działania takie podjęto tylko w skali jednego powiatu, ale nawet to się nie powiodło.

Bohdan Piętko

¹ W. Szatkowski, *Goralenvolk. Historia zdrady*, Zakopane 2012, s. 182.

² S. Korboński, *W imieniu Rzeczypospolitej*, Warszawa 1991, s. 117.

³ Tamże, s. 118.

⁴ Wojciech Szatkowski odpowiada: *propaganda hitlerowska a historyczna czkawka*, www.malopolskaonline.pl, 30.07.2012 [dostęp: 16.02.2024]

⁵ Cyt. za: M. Tychmanowicz, *Góral ze swastyką w kłacie*, www.wp.pl, 12.11.2011 [dostęp: 16.02.2024].

⁶ C. Madajczyk, *Polityka III Rzeszy w okupowanej Polsce*, Warszawa 2019, t. I, s. 536-537.

⁷ Cyt. za: W. Szatkowski, *Goralenvolk...*, s. 433-434.

⁸ W. Szatkowski, *Goralenvolk...*, s. 564.

⁹ J. Sowa, *Goralenvolk*, „Dunajec” 1989, nr 34, s. 459-465.

Nie lubimy mówić o własnych grzechach

Wstydzimy się wspominać o Goralenvolku, bo okazuje się, że nasz niemal narodowy symbol ma w swojej historii tak haniebną skazę



MARCIN KOSZAŁKA

– reżyser, scenarzysta, autor zdjęć

Marcin Koszałka na planie „Białej odwagi”.

Rozmawia Jan Tracz

Dlaczego podjął pan ten temat i nie jako postanowił zakończyć zмовę milczenia wokół Goralenvolku?

– Na samym początku pomysł wziął się z mojego zainteresowania górami. Mieszkam w Krakowie, od liceum uprawiam wspinaczkę (kiedyś robiłem to nawet profesjonalnie, dziś już hobbystycznie) i zawsze myślałem o tym, aby zrobić górski film. Nie miałem wówczas do tego materiału. Aż do czasu. 20 lat temu natknąłem się na temat Goralenvolku i fakty, które poznałem, z początku mnie zszokowały. Chodziło przecież o naszych ukochanych górali, których na co dzień widywałem. Tak naprawdę od zawsze odczuwałem cechy ich społeczności i znałem ich

blisko, więc musiałem się oswoić z tym tematem. Potem pojawił się pomysł, aby główny bohater scenariusza, w którym upada Polska, próbował być separatystą; człowiekiem, któremu za wszelką cenę zależy na stworzeniu własnego kraju. I ten wątek chciałem połączyć ze wspinaczką. Główny bohater miał się wspinać po Tatrach, to miała być jego pasja. Tak właśnie zaczęliśmy łączyć te klocki w spójną całość.

W jaki sposób pracowaliście nad scenariuszem z Łukaszem M. Maciejewskim? Wyznaczyliście sobie wspólne cele? To w końcu mariaż bardzo wielu gatunków.

– Kiedy zaczęliśmy razem pracować, było tak, że ja wiele rzeczy ▶

► wymyślałem i mówiłem na głos, a Łukasz to rozpisывał i przykrawał do potrzeb scenariusza. Ja byłem mózgiem tej operacji, a on konstruktorem, który dokładał coś od siebie. Nasz (anty)bohater był formalnie zdrajcą, ale chcieliśmy tak opowiedzieć naszą historię, aby nie był przez widza wyłącznie zniechędzony. Do tego chcieliśmy postawić go

– Przede wszystkim talentem aktorskim i możliwościami współpracy. Do tego w równym stopniu zwracałem uwagę na fizyczność.

Był jakiś punkt zwrotny, który popchnął waszą niełatwą pracę do przodu?

– Dochodziło do paru takich kluczowych momentów, kiedy pracowaliśmy nad postacią Jędrka,

80% mojego zespołu w ogóle nie słyszało o Goralenvolku.

w dramatycznym położeniu, a wszelkie kwestie historyczne miały zejść na drugi plan. Mieliśmy wiele wersji tej historii i stanęliśmy w miejscu.

Wtedy jedną z wersji naszego scenariusza przeczytał Paweł Pawlikowski. Doradził nam kilka rzeczy, dopisał parę uwag, ale powiedział również, że nie da się pisać tego tekstu dalej bez udziału aktorów. W tym momencie zatrzymaliśmy pisanie, przeprowadziłem wewnętrzny casting (część osób wybrałem sam) i zgromadziłem zespół, z którym zacząłem pracować nad scenariuszem. Aktorzy dostali swoje role, zaczęliśmy rozmawiać o ich postaciach i tak powstawali poszczególni bohaterowie lub sekwencje. Jeśli chodzi o główny wątek miłosny, to jest on całkowicie fikcyjny, ale przy tym pełni funkcję spoiwa między filmowymi braćmi. „Białą odwagę” skonstruowaliśmy na zasadzie tragedii antycznej, w scenariuszu operowaliśmy prostymi ludźmi z klanu.

Niektórzy przyrównują to do Szekspira.

– Jest tu na pewno pewien rodzaj szekspirowskiego dramatu. Koniec końców jedna sytuacja zaczyna implikować całą falę złych wydarzeń.

Jakimi kryteriami kierował się pan przy castingu?

naszego protagonisty. Kiedy pojawił się Filip Pławiak, który w niego się wcielił, zaczął on analizować swoją rolę i podrzucił parę pomysłów, na które sami byśmy nie wpadli. Dzięki jego perspektywie Jędrka stał się postacią jeszcze bardziej skomplikowaną. Chodziło o to, aby jego decyzje nie były oczywiste lub pozostawiały widzów z mętlikiem w głowie.

A czy reszta ekipy filmowej wcześniej w ogóle słyszała o Goralenvolku?

– Nasz jedyny punkt odniesienia stanowił Jan Karpiel-Bułecka, który był częścią naszego zespołu. Janek

To tam nazistowscy naukowcy prowadzili badania nad czystością rasy, porównali geny góralskie z aryjskimi. Jednak nikt z reszty ekipy w żaden sposób nie był powiązany z Goralenvolkiem. Natomiast okazało się, że jakieś 80% zespołu w ogóle o tym nie słyszało.

Odnoszę wrażenie, że wiele czasu poświęcono detalom. Mamy realistyczny dialog, ekspresyjne, ale i wiarygodne aktorstwo: tutaj wszystko ze sobą współgra. Jak pracowaliście z aktorami i nad ich akcentem?

– Praca aktora, który jest ekspresyjny i pociąga widza, w dużej mierze wynika z tego, co powiedział Andrzej Wajda. „Kluczową sprawą jest casting”, zwykły mawiać, a jego słowa sprawdziły się i tutaj. Kiedy nasi aktorzy poczuli siebie w tym tekście i zainteresowali się tematem Goralenvolku, to każdy z nich dawał z siebie naprawdę dużo. Mnie wystarczyło ich obserwować i mówić, że czegoś jest za mało lub za dużo. Na swój sposób byłem strażnikiem na ich drodze odnajdywania postaci. Słuchałem aktora, ale nie do końca nim kierowałem.

W historii wiele narodów i grup chciało zawładnąć góralami, a oni się buntowali.

pochodzi z zakopiańskiej arystokracji i w jego rodzinie nikt nie podpisał listy o współpracy z nazistami. Pamiętał mnóstwo spraw, o których opowiadał mu ojciec, a jego dziadek doskonale znał najważniejsze postaci z tego okresu. Janek był dla nas bardzo cennym źródłem informacji. Poza tym pracowałem z pewną góralką, która robiła doktorat o Instytucie Niemieckich Prac na Wschodzie (Institut für Deutsche Ostarbeit – IDO).

Dlaczego zależało panu, aby wątek wspinaczkowy i próba ukazania górskiego żywiołu niejako korespondowały z fabułą filmu? Chciał pan pokazać prawdziwą naturę górali?

– Faktycznie, wspinanie w pewnym stopniu jest odpowiedzią na to, dlaczego w ogóle ukazujemy Tatry. Nie oszukujemy się, ten motyw nie do końca koresponduje z historycznym wydarzeniem, na jakim skupiamy się w „Białej odwadze”. To też symbol wolności, który daje nam możliwość ucieczki od społeczeństwa. U nas wspinaczka wiąże się z decyzjami, które podejmuje Jędrka. Jeden z nazistów uwodzi go właśnie perspektywą wspólnej wspinaczki; cała ideologia o lepszej rasie, którą później mu wpaja, to efekt wspólnego zainteresowania wspinaczką. Warto

Marcin Koszałka – debiutował w 1999 r. dokumentem „Takiego pięknego syna urodziłam”, nagrodzonym na festiwalach w Berlinie, Krakowie i Nyon. Kolejne filmy Koszałki zdobywały nagrody na światowych festiwalach. Najbardziej znane to: „Istnienie”, „Śmierć z ludzką twarzą”, „Cały dzień razem”, „Do bólu”, „Ucieknijmy od niej”, „Deklaracja nieśmiertelności”, „Zabójca z łubieżności”. Jego debiut fabularny, „Czerwony pająk”, w 2015 r. otworzył konkurs główny w Karlowych Warach.



„Biała odwaga”

też wspomnieć, że wspinanie to była domena młodych. Starszyzna nie do końca była zadowolona, że oni w to się angażują. A to prowadziło do kolejnych sporów międzypokoleniowych, a także było jednym z czynników, który rzutuje na imprezę weselną z początku naszego filmu. Tutaj te wszystkie elementy w jakiś sposób ze sobą się zazębiają.

Nie jestem z gór, niewiele wiem o tych terenach. Ale kolektywna sprawczość górali z „Białej odwagi” współgra mi z siłą zbiorowości ukazaną w Reymontowskich „Chłopach”. Mam wrażenie, że zależało panu na pokazaniu ogromnej świadomości tego społeczeństwa.

– To podejście pragmatyczne. Tak samo było u Czechów, którzy pytali, dlaczego mają walczyć i poświęcić tyle ludzi. Górale dokładnie tak zrobili, tym bardziej że ich związek z Polską nie był mocny. Polska była tam jedynie 20 lat, a co za tym idzie, oni nie czuli się zbyt związani z polskością.

Grupa górali zaryzykowała i się przeliczyła. Jaka kara spotkała ich za tamte wybory? Film sugeruje, że teoretycznie uszło im to na sucho. Ale pamięć o dawnych zdarzeniach pozostała. To wstyd? Może coś więcej?

– Jako społeczeństwo polskie uzurpujemy sobie prawo do górali; mówimy, że oni są całkowicie nasi.

Nie mówię, że są odrębnym państwem, ale oni czują się „polskimi góralami”. W historii wiele narodów i grup chciało nimi zawładnąć, a oni się buntowali. Komuniści, PiS, Kościół katolicki to tylko część tych środowisk, które próbowały (lub wciąż próbują) przywłaszczyć sobie górali. Dziś Kościół ma tam silną pozycję, bo potrafi prędko rozgrzeszyć, a mało kto wie, że na Podhalu znajdziemy najwyższy współczynnik przemocy w rodzinie.

W liceach podhalańskich nigdy nie wspominało się o Goralenvolku.

IPN odcina się od pańskiego filmu. Inni piszą, że historia Podhala została sfalszowana. Czy cokolwiek w „Białej odwadze” jest niezgodne z prawdą?

– Mieliśmy doradcę z IPN, ale jeśli oni uważają, że całość została przeprowadzona „nieformalnie”, to świat się nie zawali. Porozmawialiśmy z tym człowiekiem, sporo nam doradził i bardzo wiele się dowiedzieliśmy.

Dlaczego pojawiają się takie głosy? Polacy, także górale, nie lubią mówić o swojej haniebnej przeszłości?

– Nie lubimy mówić o swoich grzechach i zawsze chcemy choć trochę się wybielić. Zazwyczaj podkreślamy, że to my najbardziej ucierpieliśmy podczas wojny, że nikt nie

donosił i nie był kolaborantem. Wciąż wyklócamy się z innymi, że byliśmy wtedy jedynie ofiarami. Trochę wstydzimy się mówić o Goralenvolku, bo okazuje się, że nasz niemal narodowy symbol ma w swojej historii tak haniebną skazę. Wiadomo, że kolaboracja dotyczyła tylko części górali, ale niebieską kenkartę G przyjęło 27 tys. osób ze 150-tysięcznej społeczności. Statystycznie to największa kolaboracja w kraju. **Czy „Biała odwaga” to „Zielona granica” bis? Próba rozliczenia się z nierozliczonym.**

– Ten film dopiero teraz mógł zostać pokazany, więc może faktycznie moglibyśmy go w ten sposób nazwać. „Biała odwaga” od początku była polityczna: w końcu Zbigniew Ziobro nazwał go lewicową prowokacją, choć nawet nie znał scenariusza, co samo w sobie było farsą. Ja wolalbym, abyśmy rozmawiali o sferze artystycznej tego filmu; abyśmy coś z niego wyciągnęli, choćby swą lekcję na przyszłość. Nasz film zadaje trudne pytania widzom i stara się ich poruszyć. To jest jego największa wartość.

Czy wierzy pan, że „Biała odwaga” ma szansę rozpocząć szerszą

dyskusję o Goralenvolku w Polsce? Czy uprzedzona grupa i tak nie da się przekonać?

– Na pewno chciałbym, aby był jakiś oddźwięk społeczny tego filmu. Mam nadzieję, że wiele osób dowie się o tym i otworzy to niejako przestrzeń do dyskusji. Jeśli chodzi o środowisko góralskie, to twardych górali ten film w żaden sposób nie przekona. Ale może dotrze on do młodzieży? Nie zapominajmy, że w liceach podhalańskich nigdy nie mówiło się o Goralenvolku. Może dojdzie do katharsis, kiedy młodzież nie tylko zaakceptuje grzechy swoich dziadków, ale i postara się ten wstyd przekuć w siłę.

Jan Tracz

Rozmawia Tomasz Mucha

Gdy już pojawiałaś się na listach przebojów, z niedowierzaniem czytałem, że łączysz muzykę z pracą etatową. Czy Darię ze Śląska wciąż można rano spotkać przy biurku w korporacji IT?

– Już nie, od kilku miesięcy stoję na jednej nodze. Informacja jest więc nieaktualna, ale też w swoich mediach społecznościowych nie zamieszczam postów typu: właśnie rzuciłam robotę. Zresztą to nie odbyło się z dnia na dzień, nawet gdy już zaczynało nieźle się układać na scenie. Przygotowywałam się do tej decyzji wcześniej, odłożyłam trochę pieniędzy.

Artystka daleka od stereotypu, bo ostrożna i zapobiegliwa.

– To wynika pewnie z mojego myślenia o świecie, by zawsze mieć jakiś spadochron, szczególnie finansowy, bo nigdy nie wiem, czy w trudnej sytuacji ktoś mi pomoże. Jeszcze niedawno widziałam swoje życie jako szklankę do połowy pustą, a ostatnio ktoś mnie pytał: Daria, to jak z tą szklanką jest teraz? I odpowiadam, że w sumie to do połowy pełna. Zobaczymy, jak będzie za jakiś czas.

Wygląda na to, że jesteś w stanie poradzić sobie w wielu rolach. Skończyłaś kurs asystentki stomatologicznej. Mieszałaś wypełnienia?

– Byłam na krótkim stażu ze wspaniałą panią doktor i moją koleżanką, które pracują w duecie i teraz są niemal na każdym moim koncercie. Ale szybko pofrunęłam w inną stronę, choć bardzo lubiłam tę pracę.

No i zawiało cię do historii przez duże H. Skończyłaś studia?

– Licencjat, mogę uczyć w szkole historii i wiedzy o społeczeństwie.

Masz ulubioną epokę?

– Licencjat pisałam o wojnach galijskich.

Czyli Asteriks, Obeliks i Kleopatra!

– O właśnie, to te klimaty! Natomiast byłam wtedy zafascynowana numizmatyką starożytną. Chciałam pisać o tym licencjat, ale promotor się nie zgodził. W sumie to

DARIA ZE ŚLĄSKA

– czyli Daria Ryczek-Zajac, piosenkarka, autorka przebojów „Falstart albo faul”, „Kill Bill” czy „Gambino”.

Nie zawsze musimy spoglądać na drzewo

Na Śląsku jestem zdecydowanie u siebie, lubię Katowice, mam do nich sentyment, ale też widzę, jak się rozwinęły

były fascynujące studia, szalenie interesujące zajęcia z różnych dziedzin i epok, na których po prostu dobrze się bawiłam.

Do tego jesteś poliglotką, mówisz m.in. po francusku!

– Uczyłam się go od podstawówek, zdawałam maturę. Potem nieco zaniedbałam, ale sporo pamiętam i całkiem dobrze radzę sobie w rozmowie. Nie jest to może konwersacja zbyt wysokich lotów, ale pozwala na komunikację. Ostatnio uczyłam się portugalskiego z native speakerem, ale z żalem musiałam się z nim pożegnać. Byłam w trasie koncertowej i nie dawałam rady.

Czy ta twoja wszechstronność i życiowa zapobiegliwość, zaradność nie są rezultatem również sportowego wychowania, które uczy radzenia sobie z porażkami, a zarazem celebrowania smaku zwycięstwa?

– Zdecydowanie podpisuję się pod tym, że sport uczy autodyscypliny, układa porządek dnia. Jest szkoła, po niej jest trening, potem musisz znaleźć czas na inne zajęcia i jeszcze odpocząć. Do dziś pod koniec dnia lub rano mam w sobie nawyk notowania krótkich haseł – co jutro/dziś muszę zrobić – i potem kolejno je skreślam. Gdy skończyłam tę etatową pracę, myślałam, że będę miała

więcej czasu na robienie muzyki. A okazuje się, że gdy miałam czasu wolnego mniej, byłam zdecydowanie bardziej produktywna.

Trenowałaś siatkówkę przez 11 lat. Nie żalujesz, że nie zostałaś zawodową sportsmenką?

– Nie, wspominam ten czas z pewnym rodzajem miłości. Świetni ludzie, obozy, wspólne wyjazdy i podróże, emocje związane z meczami, pierwsze zakochania. Czasami naprawdę ostre treningi, ale też spory nacisk na mental.

Na jakiej pozycji występowałaś?

– Przyjmująca.

Wzrost?

– 171 cm. Za mało. Dlatego, gdy przyszła ostra weryfikacja umiejętności, nastąpiła szczerza ocena samej siebie, do tego przyplątała się kontuzja, no i, cóż, zakochanie. Skoczyłam z miłości w miłość. Siatkówkę porzuciłam totalnie – odbyło się to na zasadzie: już nic mnie nie obchodzi, frunę zupełnie gdzie indziej.

Zostałaś nominowana do przyznawanej od 2021 r. Nagrody im. Kazimierza Kutza. Czym jest dla ciebie to wyróżnienie?

– Katowice to moje miasto, a jeszcze bliżej mi do Giszowca, który został sportretowany w filmie Kutza „Paciorki jednego różańca”. Za dzieciaka pamiętam, jak rodzice mi go pokazywali i tłumaczyli, co się dzieje na ekranie. W mojej pamięci – i, jak myślę, w pamięci wielu Ślązaków – twórczość Kutza jest nadal żywa. Tym bardziej dla mnie, jako Darii ze Śląska, to wyróżnienie jest miłym zaskoczeniem. Także biorąc pod uwagę pozostałych nominowanych (aktor i reżyser Krzysztof Gluchowski, reżyserka Agnieszka Holland, kompozytor Aleksander Nowak oraz aktorka Joanna Szczepkowska – przyp. TM), których postawa i twórczość doskonale wpisują się w ideę tej nagrody.

Jesteś tak wszechstronna i elastyczna, że zdajesz się wzorcowym zaprzeczeniem tego, jak swego czasu określił Ślązaków Kutza – że są dupowaci, czyli bezwolni, dający sobą rządzić, przedstawiać się z miejsca na miejsca.

– O, to ciekawe, ale dosyć radykalne stwierdzenie.

Myślę, że to była trochę typowa dla Kutza intelektualna prowokacja.

– No właśnie, bo staram się unikać generalizowania dotyczącego tak szerokiej grupy ludzi, jaką stanowią Ślązacy. Tu może mieszkać, pracować i działać wiele wspaniałych, mądrych, przedsiębiorczych osób, jak też wiele – niech będzie – dupowatych. Myślę jednak, że trudno taką etykietkę nakleić akurat Ślązakom, można co najwyżej konkretnemu człowiekowi, w każdym razie to zbyt generalna ocena.

Twoje artystyczne pseudo jest geograficznie bardzo konkretne, ale czy naprawdę i jak dalece identyfikujesz się z tym, że jesteś ze Śląska?

– Gdy dowiedziałam się, że jest opcja, żebym nazywała się Daria ze Śląska – bo menedżer tak zapisał sobie mnie w telefonie – pomyślałam, że to wygląda na projekt

Melodia języka Ślązaków jest zupełnie inna, jest w nim jakaś serdeczność.

folkowy. Menedżer wytłumaczył mi, że chodzi o określenie dziewczyny, która jest skądś po prostu, czy to z jakiegoś miasteczka, czy wioski, skądkolwiek. A że na Śląsku się urodziłam, mieszkalam i to są moje klimaty, więc stwierdziłam: okej, jest to naturalne.

Ale ślonsko godka czy inne śląskie klimaty są ci raczej obce?

– Jestem Ślązaczka – o ile mogę tak się nazwać – z pierwszego pokolenia, bo rodzice są napływowi. Mieszkając od dziecka w Katowicach, chłonełam to, co było wokół mnie. Rodzice mojej przyjaciółki z czasów szkolnych byli Ślązakami z dziada pradziada. Rozumiem dużo, no ale nie godom na co dzień. Wszystko zależy, z kim akurat rozmawiam. Z Olkiem Świerkotem, moim producentem, który jest z Mysłowic, to nawet pogodomy, jesteśmy na podobnym poziomie. Na studiach miałam kolegów z Rudy Śląskiej, Bytomia, Piekara, którzy gościli cały czas. Było fajnie. Melodia tego języka jest zupełnie inna, jest

w nim jakaś taka serdeczność. Nie jestem typową Ślązaczka, ale ludzie z innych regionów Polski – choćby kuzyn z Wielkopolski – w mig rozpoznają mój „śląski” zaśpiew, charakterystyczną podniesioną intonację, np. w pytaniach.

Wychowałaś się na katowickim Giszowcu. Opowiedz o dzieciństwie. Piosenka „Chinatown” sugeruje, że nie należało do szczęśliwych.

– Dziś myślę o tym czasie, że to był taki warkocz, w którym przeplatały się momenty lepsze i gorsze. W „Chinatown” wyodrębniłam tę gorszą stronę, którą miało dorastanie, dzieciństwo. Ale było też wiele przepięknych momentów, np. cała podróż związana z siatkówką albo czasy szkolne. Ja po prostu lubiłam się uczyć, nigdy nie miałam problemów ze szkołą. Kończyłam katowickie X LO im. Ignacego Jana

Paderewskiego w dzielnicy Zawodzie, miałam dużo fajnych przyjaciół, to był superczas i mam świetne wspomnienia.

Żywisz wciąż pretensje do ojca, że alkohol tak odcisnął piętno na twoim domu?

– Staram się tych pretensji wyzbywać. Chciałabym, żeby to nie była moja przeszłość, ale doskonale wiem, że to doświadczenie, ten pierwiastek zostanie już we mnie. Porównałabym to do patrzenia na drzewo przez okno – wiemy, że ono zawsze tam było, rośnie i zawsze będzie, ale nie zawsze musimy w tym oknie stać i na to drzewo spoglądać.

Brmisz, jak byś przepracowała ten problem.

– Bo też jakiś odcinek mojego życia poświęciłam terapii, która ustawiła moją rzeczywistość z innej perspektywy. Musimy podczas niej „przerobić” sytuacje, tematy, które nie są dla nas wygodne. Zmierzyć się z demonami. Ja również to zrobiłam i myślę, że stawiam temu ▶

► czoła cały czas. Pewne sytuacje, wspomnienia będą zawsze w tobie. Stało się, mleko się rozlało i cię pobrudziło. I wątpię, czy jest ktoś, kto może powiedzieć o sobie, że z tego rodzaju doświadczeniem definitywnie się uporał, wymazał je, strzepnął lub stał, że wygrał.

Poza tym od dwóch lat mieszkasz w Warszawie, a mama została na Śląsku.

– Ale jesteśmy stale na łączach. Mama jest bardzo dumną kobietą, trudno jej prosić kogoś o pomoc, nawet mnie. Dobija mnie, gdy dzwoni po tygodniu milczenia

Nie jestem typową Ślżaczką, ale ludzie z innych regionów Polski w mig rozpoznają mój „ślżski” zaśpiew.

Trauma stają się często inspiracją, pożywką dla artysty.

– Faktycznie coś w tym jest, że ma się wtedy dostęp do innego rodzaju doświadczeń. Oczywiście jeśli w ogóle chcemy nimi z kimkolwiek się dzielić. Debiutowałam w solowym projekcie dosyć późno, bo już po trzydziestce, mam więc pewną pulę przeżyć. Coś mi się w życiu przytrafiło, jak każdemu, a mam w związku z tym pewne spostrzeżenia, refleksje i zdecydowałam się nimi podzielić, jak najszczerzej potrafię.

Kiedy myślisz o mamie, jakie słowo przychodzi ci do głowy?

– Miłość. Mama od wielu lat ciężko choruje na stwardnienie rozsiane i chciaabym jej ulżyć w różnych sprawach. Ale nie mam aż takiej mocy niestety.

i mówi, że się nie odzywała, bo nie chciała mi przeszkadzać. Ale staram się być coraz częściej na Śląsku, poza tym mamy fajną, pomocną rodzinę.

A gdzie czujesz się „u siebie”?

– Zdecydowanie na Śląsku. Długo tu mieszkalam, lubię Katowice, mam do nich sentyment, ale też widzę, jak fajnie się rozwinęły. Bardzo często się przenosiłam, nie mam z tym problemu. Podchodzę do tego zadaniowo, to miało związek z pracą. No i będąc w trasie, też muszę umieć zasnąć nie tylko we własnym łóżku.

Podobno chodzi ci po głowie książka.

– Bardzo chciaabym coś napisać, dlatego też ostatnio tak się zaczytuję. Bo myślę, że to jest jak ze

stuchaniem muzyki – wszystko nas inspiruje, im więcej, tym lepiej. Kiedyś mówiłam koleżdze ze swojego pierwszego zespołu: nie będę słuchać dużo muzyki, żeby mi ktoś nie zarzucił, że coś od niego „zerżnęłam”. Ale właśnie to tak nie działa, wręcz przeciwnie: słuchaj dużo, dowiaduj się, jakie są opcje, jakie rozwiązania, jakie myślenie.

Wszystko już było, nie wymyśliłyśmy świata od nowa – pozostaje „miksować”.

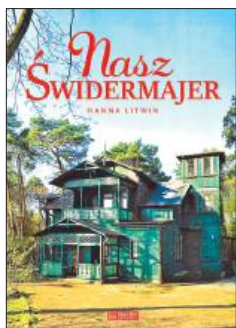
– No właśnie, i w literaturze jestem tym zafascynowana. Czytam porady, jak budować narrację, napięcie, jak tworzyć pierwsze zdania itd. Bardzo mnie to kręci – muszę wejść do każdej napotkanej księgarni i zawsze wychodzę przynajmniej z jedną książką. Bo lubię mieć ją fizycznie.

I co będzie literackim debiutem Darii ze Śląska?

– Nie wiem, mam już trochę rzeczy zaczętych, jakieś fragmenty. Jako autorka tekstów piosenek poruszam się jednak w krótszych formach, gdzie efekt jest szybszy. Łapię się na tym, że nie mam zbyt wiele czasu ani cierpliwości na dłuższy tekst. Na razie więc trochę się badam, zbieram narzędzia i umiejętności. Wydaje mi się to uczciwie.

Tomasz Mucha

WYDAWNICTWO KSIĘŻY MŁYN POLECA



Hanna Litwin Nasz Świdermajer

Ponad sto lat historii Polski zawarte w 110 opowieściach przedstawiających losy sześciu pokoleń rodziny mieszkającej w drewnianym domu w Świdrze pod Warszawą. Dla państwa Polańskich Świdermajer, świadek rodzinnych wydarzeń, stał się miejscem wyjątkowym. Autorka, prawniczka głównych bohaterów – Włodzimierza i Leokadii – zainspirowana dramatyczną historią przodków, postanowiła odsłonić przed czytelnikiem losy swojej rodziny. Nie byłoby tej opowieści, gdyby nie małżeństwo młodziutkiej Polki z rosyjskim arystokratą i carskim oficerem.

Krzysztof Szujewski Najpiękniejsze kobiety przedwojennej Polski

Zofia Batycka, Ina Benita, Ziuta Buczyńska, Helena Grossówna, Łoda Halama, Hanka Karwowska, Tola Mankiewiczówna, Nora Ney, Pola Nireńska oraz Lena Żelichowska. W dwudziestolecie międzywojennym Polki marzyły o wielkiej karierze na estradzie czy w przemyśle filmowym. Sama uroda nie gwarantowała sukcesu. Konieczny był jeszcze talent, wdzięk i czar, który wokół siebie roztaczały. Te wyjątkowe kobiety musiały się także wykazać nie lada zdolnościami, odpornością psychiczną oraz wielką pracowitością. Jak wyglądało ich życie codzienne i droga na szczyt popularności? Czy realizacja marzeń dała im spełnienie?



NA EKRANACH

**Anatomia upadku**

reż. Justine Triet, prod. Francja, już w kinach

Rewelacyjna „Anatomia upadku” wykorzystuje postać znanej pisarki (świetna Sandra Hüller) oskarżonej o morderstwo męża, żeby snuć refleksje na temat systemu sprawiedliwości. Reżyserka dostała za ten film Złotą Palmę w Cannes i jest to nagroda zasłużona. Rzadko bowiem mamy do czynienia z filmem opartym głównie na dialogach (to dramat sądowy), który byłby w stanie podrzucać widzowi tyle ciekawych i jednocześnie niepokojących przemyśleń. Feministyczny przekaz wybrzmiewa, gdy Justine Triet pokazuje nam, jak uprzedzony jest w stosunku do oskarżonej prokurator, który próbuje obrócić przeciwko niej nawet to, że osiągnęła zawodowy sukces. Bo przecież skoro skupiła się na karierze, to nie mogła być dobrą żoną i matką. Gorycz „Anatomii upadku” zawiera się jednak w namyśle nad naturą prawa, które w sytuacji, gdy nie da się jednoznacznie udowodnić ani winy, ani niewinności, musi się posilkować przeczcuciem sędziego, a w tym przypadku także ławników. Seans budzi niepokój, bo łatwo sobie uświadomić, że każdy z nas może się znaleźć na miejscu bohaterki.

Artur Zaborski

KURTYNA W GÓRĘ

Wielka ucieczka

Jakub Roszkowski znalazł interesujący klucz do Don Kichota. Uczynił go opowieścią o schorowanym, uwięzionym na oddziale geriatrycznym człowieku, którego świat ominął, odrzucił, on zaś chroni się przed tym światem w rozchwianej wyobraźni.

Niestety, nie udaje się twórcom przeprowadzić tej myśli w tekście, a co za tym idzie, w przedstawieniu. Przed wejściem na Scenę Kameralną Teatru Śląskiego, zamienioną za sprawą sugestywnej scenografii w oddział szpitalny, widzowie dostają białe kitle. Odgrywamy grupę stażystów badającą wraz z Profesorem (Wiesław Sławik) przypadek 62-letniego mężczyzny (Grzegorz Przybył). Przyglądamy się rutynowym czynnościom: odwiedzinom zdystansowanej córki, brzydzącej się starością i zniedołężnieniem ojca (Aleksandra Przybył), rozmowom z ekscentrycznym sąsiadem na sali (Marcin Gawel), wydawaniu lekarstw. Nagle rzeczywistość się załamuje i zmienia w szaleńczą eskapadę, w której uczestniczą wszystkie postacie, a która kończy się śmiercią błędnego rycerza. Nie wiemy właściwie, co ją uruchamia, co sprawia, że obojętna i zdystansowana dotąd córka nagle decyduje się uczestniczyć w tej „grze”, podobnie jak cały personel szpitala.

Przedstawienie, choć wizualnie zgrabne i w kilku momentach poruszające, ostatecznie przypomina dramatycznie niedopracowaną etiudę, zaledwie szkic.

Michał Centkowski

„Don Kichot” na motywach powieści Cervantesa, tekst i reżyseria Jakub Roszkowski, Teatr Śląski w Katowicach, premiera 26 stycznia 2024



NA POWAŻNIE

Miłość Traviaty

To jedna z najsłynniejszych klasycznych oper. Scena łódzka dysponuje fenomenalną artystką, której walory głosowe i aktorskie publiczność oklaskuje od kilku dekad. Joanna Woś potrafiła znów przyćmić swoją osobowością artystyczną pozostałych wykonawców. Jako jej partnera sprowadzono młodego tenora z Hiszpanii. Duże wrażenie wywołuje też scenografia nawiązująca do malarstwa impresjonistów.

Bronisław Tumitowicz



Giuseppe Verdi,
„Traviata”,
dyrygent Rafał Janiak,
reżyseria Pia Partum,
Teatr Wielki w Łodzi,
premiera 9 lutego 2024

MIĘDZY OKŁADKAMI

Jon Fosse**Białość**

tłum. Iwona Zimnicka

ArtRage, Warszawa 2024

Gdyby książki sprzedawać na strony, to ta w przeliczeniu na kartkę byłaby najdroższa na świecie. 50 stron z okładkami. Najnowsza nowela zdobywcy Literackiej Nagrody Nobla 2023 to książeczka cieniutka niczym broszura, ale nie o rozmiar tu chodzi, bo proza Norwega jest gęsta jak opisywana w „Białości” noc. Tym razem są kropki (w „Drugim imieniu” tych znaków interpunkcyjnych brakowało), ale nie ma wciąż akapitowych – no i znów wpada się w lekturę jak w kopny śnieg. A o czym jest „Białość”? Czy to nowela o samotności lub alegoria depresji, a może plastyczny opis nawrócenia? To już rozstrzygnąć musi sam czytelnik, któremu autor – pomimo objętości powiastki – zostawia wiele przestrzeni. Prostota i uniwersalizm książki sprawiają, że każdy odczyta ją po swojemu. Mała wielka rzecz.

Rafał Pikuta

Kolumnę przygotowała
Agata Gogońkiewicz

Bo to zła kobieta była

Większość archeolożek i archeologów zgadza się, że pierwsze cywilizacje mogły być matriarchalne

Sonia Kisza

Przez długi czas zło w sztuce było utożsamiane z brzydotą, co ściśle wiązało się z filozofią grecką. Ale już w starożytności zdarzały się odstępstwa od tej zasady – np. piękna Pandora... W kulturze średniowiecza m.in. dzięki „Złotej legendzie” Jakuba de Voragine zło zyskało ładne opakowanie – kobietę. Biedni, miłujący Boga asceci i mnisi uciekali od świata pokus, ale na swojej drodze spotykali okrutne, bo uwodzicielskie kobiety, mające odwieść ich od Boga. Taką historię przekazuje nam np. żywot Świętego Antoniego Mnicha. Kobięce dbanie o urodę (inspirowane przecież przez patriarchat) stało się wówczas synonimem iluzji i oszustwa. (...)

Wężowa dama została stworzona przez mężczyzn przekonanych o demonicznych skłonnościach kobiet, wyśnawców szatana mających swoimi wdziękami ofiary, czyli niewinnych mężczyzn. Święty Paweł, apostoł, który zasłużył na tytuł pierwszego mizogina chrześcijaństwa, wprost pisał, że kobieta w oczach Kościoła to narzędzie pokusy – *instrumentum diaboli*. Należy podkreślić, że Paweł był zhellenizowanym Żydem, a kobiety w greckim społeczeństwie jego czasów, wbrew temu, czego (nie) uczą nas w szkołach, były kompletnie zmarginalizowane. Nie mogły uczestniczyć w życiu politycznym ani społecznym, musiały zakrywać ciała. Paweł demonizował ciało, głosił, że jest ono w stanie wojny z umysłem – a tym samym mężczyźni są w stanie wojny z kobietami. Pochwalał wstrzemięźliwość seksualną. W swoich pismach wahał się, co jest lepsze – małżeństwo czy samotność, i w końcu wybrał to drugie. Twierdził, że żona musi być poslušna. To doprawdy ironia

losu, że jego „Hymn do miłości” tak często czytuje się podczas ślubów.

Stosunek Greków do kobiet widoczny jest w mitologii. Większość potworów: harpie, syreny, chimery – to postaci kobiece. W pochodzącej przypuszczalnie z VIII w. przed Chrystusem „Odysei” Homera syreny swoim śpiewem kusily żeglarzy, by ich zabić, podobnie jak nasza wężowa dama.

Inną kuszącą kobietą z ciałem węża, znaną z mitologii greckiej, jest Echidna. (...) Echidna uważana była za matkę tytanów, co przywodzi na myśl Ewę – matkę ludzkości. Postać Echidny pojawia się także w micie

dzięki czemu trafił on do artystów i stał się motywem powielanym we wszystkich krajach Europy.

Wąż z kobiecą głową lub torsem obecny jest na XV-wiecznych ilustracjach powstałych na terenie Wielkiej Brytanii, Francji, Niemiec, a potem Włoch i Hiszpanii. Postać tę malowali też mistrzowie renesansu: Jacopo della Quercia, Michał Anioł, Rafael, a także Hugo van der Goes, Hans Holbein i wielu innych.

Kobiety-węże możecie zobaczyć także w Polsce: przy okazji wycieczki na Mazury w Ornowie, na jednym z kapiteli w Refektarzu Wielkim w Malborku, na stallach pelplińskich

Wężowa dama została stworzona przez mężczyzn przekonanych o demonicznych skłonnościach kobiet.

o Heraklesie. Gdy szukał on koni, natknął się w grocie na wężową dziewczynę, a ona obiecała wskazać mu drogę, jeśli tylko ulegnie jej wdziękom.

Absolutny renesans przeżyła w XV w. grecka Chimera. Średniowieczni panowie widzieli w niej idealną ilustrację zła, o czym nie omieszkali wspomnieć autorzy „Młota na czarownice”. Według nich kobiety przypominają chimery, ponieważ choć można podziwiać ich urodę, to w momencie, gdy się ich dotknie, wyślizgują się jak węże...

Kobieta-wąż

Pierwsza średniowieczna kobieta-wąż pojawiła się prawdopodobnie pod koniec XII w. W niedługim czasie zaczęto powszechnie tak właśnie przedstawiać postać szatana w sztuce, także iluminatorskiej. Wizerunek ten znalazł się choćby w traktacie „Speculum humanae salvationis” i „Biblia pauperum”, najpopularniejszych księgach w historii,

w tamtejszej bazylice, w bazylice Mariackiej w Gdańsku, gdzie scenę grzechu umieszczono na zwieńczeniu zegara, czy w kościele w Wołowie na Dolnym Śląsku.

Spójrzmy na ilustrację z „Brewiarza z Belleville”, wykonanego ok. 1330 r. Widnieje na niej rajske drzewo, które oplata wąż – bazyliżek z głową kobiety. Po prawej stronie stoi Ewa, zrywająca owoc i jednocześnie podająca drugi Adamowi, stojącemu po lewej. Praojciec trzyma trzeci owoc, podnosi go do ust. W drugiej ręce trzyma liść, którym zaśnawia swoje genitalia. Oczywiście wszystko ukazane jest symultanicznie, owoc jest jeden, a scena ma wyrażać ruch.

Taki sposób przedstawienia, odwzorowujący dynamikę i nadający kierunek interpretacji, był powszechnie stosowany w średniowiecznej sztuce. Warto zwrócić uwagę na wężowo-bazyliżkową kobietę. Postać symbolizująca szatana



ma dolną część ciała węża, tors bazyliuszka, czyli króla węży, i kobiecą głowę, stanowiącą właściwie lustrowane odbicie Ewy.

Klemens Aleksandryjski twierdził, że wąż z rajskiego ogrodu miał głowę kobiety ze względu na język – w syryjskim samica węża to *heva* i stąd wywodzi się imię Ewa. Argumentacja Bedy Czcigodnego, żyjącego w VII i VIII w. mnicha, jest nieco inna. Uważał on, że wąż ma głowę kobiety, gdyż „podobne wspiera podobne”. (...) Tak jak Beda myśleli cytujący go potem namiętnie: Piotr Comestor, Wincenty z Beauvais, Aleksander z Hales, Święty Bonawentura i Guido delle Colonne.

Choć sama kobieta-wąż jest silnie związana z chrześcijaństwem, stworzenie mitu o Ewie i wężu było niczym innym jak narzędziem antykobiecej propagandy Żydów. Dzięki scenie grzechu pierworodnego pisarze biblijni polemizowali z kananejskim kultem bóstw płodności. Pojawienie się węża w Księdze Rodzaju ma jasne znaczenie polityczne.

Czy kiedyś rządziły kobiety?

W starożytnej Palestynie autorytarny, patriarchalny system z jednym Bogiem na czele miał zapewnić stabilność państwa i odróżnić ludność Izraela od innych ludów semickich, wyznających politeizm. W społecznościach tych panował silny kult bogiń Anat, Asztarte i Aszery. Trzeba pamiętać, że plemiona Izraela i kananejskie musiały ze sobą koegzystować, prowadzić działalność

Kobietę-węża można zobaczyć w bazylice Mariackiej w Gdańsku.

Grzech pierworodny i wypędzenie z raju, Michał Anioł, sklepienie Kaplicy Sykstyńskiej, 1508-1512



handlową, zdarzały się też potępiane przez pisarzy biblijnych mieszane małżeństwa i romanse. Hebrajczycy ciągle obawiali się zachwiania własnego kompasu moralnego, więc starali się nie spoufalać z poganami – ani poprzez kontakty seksualne, ani poprzez wspólnotę religii.

Większość archeolożek i archeologów zgadza się, że pierwsze cywilizacje mogły być matriarchalne. Wskazują na to liczne artefakty związane z kultem Wielkiej Matki. Wszystko to brzmi nieco tajemniczo, ale warto wiedzieć, że pierwsze przedstawienia kobiecych sromów pochodzą sprzed 30 tys. lat przed Chrystusem (np. srom w La Ferrassie w departamencie

Dordogne datowany jest na 37 tys. lat przed Chrystusem).

Kult matek nie miał granic geograficznych – obejmował Europę i Azję, a Wielka Matka nosiła różne imiona: Królowa Nieba, Pani Wysokiego Miejsca, Niebiańska Przewodniczka, Władczyni Niebios. Liczne boginie ze starożytnej Mezopotamii i Egiptu odgrywały kluczowe role w procesie powstawania świata. A ich wizerunki w postaci rzeźb i malowideł znajdujemy w najróżniejszych zakątkach Europy, Azji i Afryki.

W wielu starożytnych cywilizacjach kobiety pełniły funkcje kapłanek – królowych. Rządziły wraz z kochankami, których wybierały co roku. Według niektórych tradycji – m.in. u Kananejczyków i na Cyprze – po tym okresie wybranek był... zabijany, poświęcany jako ofiara. Przypomina to nieco strukturę społeczności pszczoł. Trutnie istnieją w nich tylko po to, by zapłodnić królową, a potem giną.

W starożytnej Mezopotamii ten wzorec także był powielany, choć króla nie skazywano na śmierć, a małżeństwo z boginią w czasach akadyjskich miało wymiar bardziej symboliczny, legitymizujący władzę. Na przykład Sargon Wielki (2300 lat przed Chrystusem) utrzymywał, że Ishtar powierzyła mu władzę i wybrała go na swego kochanka. Aby uniknąć rzeczywistego zabijania króla, przeniesiono śmierć do sfery zdarzeń symbolicznych. W tym celu powstały obrzędy poniżenia: królowi zabierano insygnia władzy, ścinano mu włosy, bito go i wrzucano do rzeki. Być może sednem tych obrzędów miało być doprowadzenie do śmierci ▶

► i odrodzenia. Bardzo ważne było też jednak zaakcentowanie podległości króla w stosunku do małżonki, którą miał on błagać o darowanie życia.

Duchowe małżeństwo z pradawną boginią (hierogamia) było mocno osadzone wielu kulturach: u Sumerów, u Babilończyków, w starożytnym Egipcie, a nawet w Grecji, w której antykobiecej przewrót dokonał się dopiero po inwazji doryckiej i achajskiej. Mityczne zaślubiny bóstw, zwłaszcza tych związanych z niebem i ziemią, miały często charakter związku kazi-rodzkiego. W pary łączyły się rodzeństwa, synowie i matki, ojcowie i córki. Dziecko poczęte w wyniku takiej relacji często odgrywało rolę zbawiciela. Warto zastanowić się, czy mistyczne zaślubiny Oblubienicy i Oblubieńca, które teologowie odnoszą do Kościoła (Eklezji) i Chrystusa, nie są spadkiem po tej długiej tradycji.

Seksualność stanowiła rdzeń społeczeństw czasów przedbiblijnych. Kobiety kapłanki, czasem uważane za pomniejszych bóstwa, wybierały sobie kochanków ze społeczności. Kult ściśle wiązał się z seksem,

prokreacją, daniem życia. W takich obrzędach brały udział i panny, i mężatki. Do czasów rzymskich przetrwała instytucja sakralnej prostytucji, w ramach której kobiety uczestniczyły w rytualnych orgiach ku czci bogiń i bogów płodności.

Pozostałości po matriarchacie wi- dać także w greckiej mitologii – w postaci Amazonek, czyli wojowniczek, które zajmowały dość duże tereny wokół Morza Czarnego i Egejskiego,

z wężową boginią oraz na Malcie z neolitycznymi świątyniami, które możemy oglądać do dziś.

Żydzi nie akceptowali koncepcji świętej seksualności – zbyt daleko odchodziła ona od ich wyobrażeń o porządku świata. Kobiety w ich religii nie mogły być kapłankami, wykluczono je z pełnienia wszelkich funkcji duchowych. W najlepszym wypadku zostawały płaczkami i służyły w świątyni. Zdarzało się, że wybitne kobiety

Instytucja małżeństwa w czasach biblijnych nie była przyjazna kobietom. Stanowiły one część inwentarza.

a nawet w północnej Azji Mniejszej. Choć dziś popkultura sprowadziła je do roli seksownych mistrzyń sztuk walki, zachowało się wiele artefaktów i źródeł historycznych, które wskazują, że Amazonki istniały naprawdę – niewykluczone, że były kapłankami bogiń, które uciekły przed najeźdźcami i osiadły w Efezie. Matriarchat obowiązywał też na wyspach Morza Śródziemnego, m.in. na Krecie

uznawano za prorokinie. Takie podejście przejęło chrześcijaństwo. (...)

Mimo takiego podejścia kultury judaistycznej, a potem chrześcijańskiej do kobiet w Księdze Rodzaju znaleźć można ślady matriarchalnego świata: to kobiety nadają imiona dzieciom, to po nich dzieci dziedziczą narodowość, to mężowie są przyjmowani do klanu żony po ślubie. W początkach państwowości Hebrajczyków



W bieżącym numerze także:

- ▶ Charles Perragin
Bułgarię pożerają prywatne milicje
- ▶ Andrzej Leder
Świat fordowsko-keynesowski
- ▶ Aneta Prymaka-Oniszk
Być ruską w Polsce
- ▶ Maciej Jakubowiak
Hanka i Albina, czyli jak wydaje się pieniądze?

Do nabycia w salonach prasowych empiku
Roczna prenumerata (6 numerów): 92 zł
Konto: 44 1500 1777 1219 1033 3847 0000
Santander Bank Polska
Instytut Wydawniczy „Książka i Prasa”
ul. Twarda 60, 00-818 Warszawa, telefon: 22 624 17 27
e-mail: redakcja@monde-diplomatique.pl

www.monde-diplomatique.pl

dziedziczyć ziemię po zmarłym mogli tylko mężczyźni członkowie rodziny. Ale, co ciekawe, to w Biblii znajdziemy świadectwo zmiany tego stanu rzeczy za sprawą jednego z pierwszych odnotowanych protestów feministycznych. Córki Selofchada – Machla, Noa, Chogla, Milka i Tirsza – sprzeciwiły się zabraniu im ziemi po zmarłym ojcu. Mojżesz nie wiedział, co zrobić, więc zwrócił się do Boga, który przyznał dziewczynom rację. Od tamtej pory, jeśli ojciec nie miał syna, córka miała prawo po nim dziedziczyć (Lb 27,1–5).

Instytucja małżeństwa w czasach biblijnych nie była przyjazna kobietom. Stanowiły one część inwentarza. Dozwolone było wielożeństwo. Przykazanie „nie cudzołóż” dotyczyło jedynie kobiet, a jego złamanie okrywało je hańbą i oznaczało naruszenie przez nie praw majątkowych. Chodziło o to, by uniknąć nieślubnych dzieci, które mogłyby utrudniać kwestie spadkowe. Sankcje w wypadku niewierności kobiety były wysokie: kary cielesne, banicja, a nawet kara śmierci, której kobieta mogła uniknąć tylko wówczas, gdy została ułaskawiona przez męża.

W rodach panujących królowe nie mogły rządzić bez króla, choć zdarzały się takie przypadki – na przykład Maaka, córka lub wnuczka Absaloma, królowa Judy. Według niektórych badaczy sprawowała ona władzę w latach ok. 922–915 przed Chrystusem, a obalić miał ją jej wnuk – Asa, późniejszy król Judy walczący z politeizmem wśród poddanych. Maaka wprowadziła w swoim państwie kult którejś z bogiń-matek czczonych przez innych Semitów: Asztarte, Aszery lub Anat. Zresztą w Biblii znajdziemy 48 wzmianek o kulcie bogiń (...).

Plemiona sąsiadujące z Hebrajczykami miały wysoko rozwiniętą kulturę i bogatą mitologię. Izraelici byli nastawieni na ich zniszczenie i kolonizację sąsiednich ziem. W Biblii mowa jest o mordach nie tylko na mężczyznach, ale także na kobietach i dzieciach. Hebrajczycy dewastowali miejsca kultu bogiń i ich przedstawienia. Na ich działalność militarną musimy nauczyć się patrzeć jak na wojskowe podboje, a nawet ludobójstwo, choć

usprawiedliwiane są one oczywiście wolą Boga. (...)

Stworzona jako równa czy z żebra mężczyzny?

Bóg – chociaż teoretycznie nie miał płci – jest według Żydów i chrześcijan mężczyzną: ojcem, królem. Euroazjatycki monoteizm odciął się od dualizmu w stworzeniu świata i człowieka. Wyparto pradawne i poparte biologią wyobrażenie o początku świata wynikającym ze złączenia się dwóch pierwiastków: żeńskiego oraz męskiego.

Mit o początku mimo swojej innowacyjności nadal jest przekładańcem kilku tradycji, o czym świadczy choćby to, że w Biblii są obecne dwa opisy stworzenia człowieka. W pierwszym Bóg stwarza mężczyznę i kobietę jednocześnie, równych sobie i razem jako całość tworzących obraz Boga. Drugi inspirowany jest greckim Prometeuszem lub co najmniej korzysta z tego samego wzorca – Bóg lepi Adama z gliny, technieniem daje mu

ponieważ byli kuszeni przez kobiety. Choć pogląd ten brzmi absurdalnie, wciąż pokutuje w społeczeństwie: jego wyrazem są choćby zakazy i nakazy dotyczące strojów dla dziewcząt w szkołach. Męska słabość i niekompetencja notorycznie zrzucane są na kobiety.

Zapomnianą biblijną emancypantką występującą w mitach żydowskich jest Lilit, pierwsza żona Adama. Część badaczek i badaczy wskazuje, że to właśnie ją Bóg stworzył jako pierwszą – że to ona jest tą równą Adamowi. Lilit, przekonana o swojej równości wobec mężczyzny, miała odmówić mu posłuszeństwa i wykazywać aktywność podczas stosunku seksualnego.

Opresyjna wobec kobiet tradycja oczywiście zrobiła z niej demonicę – według podań Lilit uciekła i zaczęła rodzić dzieci demonom (do jej potomstwa miał należeć na przykład Lewiatan). Niewykluczone, że jej postać wywodzi się z tradycji babilońskiej,

Przykazanie „nie cudzołóż” dotyczyło jedynie kobiet, a jego złamanie okrywało je hańbą i oznaczało naruszenie przez nie praw majątkowych.

życie. Gdy ten zasypia, z jego żebra wyciąga Ewę. Drugi tekst daje więc pierwszeństwo Adamowi, co było chętnie podkreślane przez komentatorów biblijnych i stworzyło podwaliny dla trzeczysięcletniej tradycji poniżania kobiet, uważanych za stworzenia wtórne, gorsze i „inne”. Co ciekawe, według niektórych mitów żydowskich Adam był istotą androgyniczną, czyli składał się z dwóch pierwiastków: męskiego i żeńskiego. Dopiero później Jahwe rozciął go na dwie części, dzięki czemu powstała Ewa. (...)

Postać kobiety-węża idealnie pokazuje, jakie zdanie o seksualności kobiet mieli pisarze chrześcijańscy. Według nich była ona destrukcyjna, zwierzęca, miała korzenie demoniczne, uniemożliwiała osiągnięcie wyższego poziomu duchowego, stała za nią czyste zło. Mężczyźni chcący praktykować wstrzemięźliwość seksualną nie mogli tego uczynić,

której wpływy z czasów niewoli wiadać w kulturze żydowskiej. Lilit pojawia się w Księdze Izajasza. „Zdziczałe psy spotkają się z hienami i kozły będą się przyzywać wzajemnie; co więcej, tam Lilit przycupnie i znajdzie sobie zacisze na spoczynek” (Iz 34,14). Lilit stała się później demonem porwijącym dzieci, podobnym do naszej rodzimej słowiańskiej strzygi. Według niektórych badaczy jest wężową damą, która zemściła się na Adamie, manipulując Ewą.

Przedstawienia kobiet-węży były czymś więcej niż artystyczną ilustracją i nie należy ich wiązać wyłącznie ze średniowiecznym zamiłowaniem do potworów i bestiariuszy. W myśl założeń patriarchalnej tradycji miały one pokazać jasno, skąd wzięło się zło – od baby.

Fragmenty książki Soni Kiszy
Histeria sztuki. Niemy krzyk obrazów,
Znak Koncept, Kraków 2024



Na żywo z odtworzenia

Transmisje sportowe stanowią ostatnią barierę dzielącą telewizję i streaming. Ale nawet ona zaczyna się kruszyć

Mateusz Mazzini

Carlos Alcaraz i Rafael Nadal to symbole tego, co nadchodzi, i tego co minione – nie tylko w hiszpańskim, ale i w światowym tenisie. Pierwszy jest obecnie notowany na drugim miejscu w globalnym rankingu ATP, drugi przez dekadę dominował przede wszystkim na kortach ziemnych, a jego rywalizacja z Rogerem Federerem wychodziła daleko poza ramy zwykłego starcia sportowego. Tenis, choć sówicie opłacany, nigdy jednak nie był uznawany za sport dla mas, wręcz przeciwnie. Korzenie tej dyscypliny są jak najbardziej elitarne, przynależność do najstarszych klubów była wyznacznikiem statusu społecznego, nawet w erze powszechnych transmisji telewizyjnych przebijanie piłki przez siatkę nie gromadziło milionów przed ekranami.

Według danych agencji GWI, zajmującej się badaniami oglądalności i rynku telewizyjnego, spośród 18 krajów z największą na świecie (w liczbach bezwzględnych) publiką sportową tenis plasuje się dopiero na czwartym miejscu. Oglądanie meczów w tej dyscyplinie deklarowało w 2023 r. 32% wszystkich osób śledzących wydarzenia sportowe w telewizji – mniej niż piłkę nożną, koszykówkę, a nawet siatkówkę.

Po części źródłem relatywnie niskiej oglądalności jest fakt, że to sport prawdziwie zglobalizowany w takim znaczeniu, że turnieje w ciągu jednego sezonu dzieją się dosłownie na wszystkich kontynentach,

od Ameryki Łacińskiej, przez Bliski Wschód, po Chiny i Australię. Różnice czasu powodują, że niewielka jest liczba fanów śledzących każdy mecz na żywo. Poza tym mecze

Alcaraz i Nadal próbują jednak przełamać ten trend za pomocą Netfliksa. W weekend poprzedzający publikację tego numeru PRZEGŁĄDU zmierzają się ze sobą na kortach w Las Vegas w ramach specjalnego wydarzenia o wszystko mówiącym tytule Netflix Cup. Mecz nie będzie więc liczyć się do rankingu ATP, jego rangę sportową też określić należy jako raczej umiarkowaną. To będzie test, ale nie tego, czy uczeń przewyższył mistrza w grze, tylko raczej zdolności technicznych streamingowego giganta do sprostania wyzwaniu, jakim jest przygotowanie transmisji na żywo.

Galaktyczna przepaść

Wydarzenia sportowe pozostają bowiem jednym z ostatnich powodów, dla których ludzie korzystają z tradycyjnej telewizji. Seriale, filmy, programy rozrywkowe, informacje w całości przeniosły się do sieci, nie mówiąc już nawet o fakcie, że zmienia się postrzeganie wartości programów telewizyjnych. Najcenniejsze dla stacji są dzisiaj te, które nie tracą na



Zamiast oddawać pieniądze organizatorom turniejów, można samemu odegrać tę rolę. Stąd pomysł Netflix Cup.

trwają często godzinami, zwłaszcza w tenisie męskim. Jednym słowem, to nie jest najlepszy produkt do komercjalizacji, przynajmniej z punktu widzenia telewizji.

aktualności chwilę po emisji. Można je umieszczać na własnych platformach, na YouTube, ciąć na kawałki i wrzucać do mediów społecznościowych. Uprawiać recykling treści,

wielokrotnie na nich zarabiać. Choć „zarobki” są w tym kontekście terminem mylącym, chodzi raczej o uzupełnianie braków wynikających ze spadającej z roku na rok widowni telewizyjnej. Sport to jednak wciąż

oszacować, bo tu widownię mierzy się inaczej. Netflix podaje liczbę godzin odtworzeń, co daje jakieś wyobrażenie na temat popularności danego programu, ale trudno porównywać te wyniki z oglądalnością

wtedy, kiedy zapłacą abonament. Mogło się więc okazać, że publika zakochana w „Squid Game”, „Stranger Things” czy „Grze o tron” nie ma w ogóle ochoty oglądać Messiego, Nadala czy Igi Świątek w ramach tej samej usługi.

Pionierem był Amazon, który ruszył w kierunku sportów drużynowych, obudowując je czymś, co roboczo można nazwać „treściami sąsiadującymi”. Platforma stworzyła własny format: serial dokumentalny o kulisach funkcjonowania największych klubów. Wywiady z zawodnikami, zakulisowe opowieści, emocje, wydarzenia z szatni, które tradycyjna telewizja pomija. Innymi słowy, wszystko poza samym meczem. Zaczęło się w 2016 r. od serialu poświęconego Arizona Cardinals, drużynie futbolu amerykańskiego. Łącznie sportretowanych w ten sposób w ramach cyklu „All or Nothing” (Wszystko albo nic) było pięć klubów NFL, do tego dochodzą cztery kluby piłkarskie, dwie reprezentacje narodowe, jedna drużyna hokejowa i serial o nowozelandzkich rugbistach. Wyniki były przyzwoite – ale w kontekście

Seriale, filmy, programy rozrywkowe, informacje w całości przeniosły się do sieci.

wyjątek. Widzowie włączają telewizory w konkretnym momencie, a retransmisja czy odtworzenie nawet kawałków ma niewielki sens, skoro wynik zaraz staje się powszechnie dostępny. Finał Ligi Mistrzów w piłce nożnej, kluczowe mecze NBA czy miotyng lekkoatletycznej Diamentowej Ligi umieszczony w bibliotece Netflix, HBO czy Amazona będzie miał więc znikomą wartość. Kto chciałby oglądać mecz, od początku znając jego wynik i przebieg?

Jednocześnie to wciąż bardzo lukratywna część telewizyjnego tortu. Co tydzień miliony kibiców śledzą rozgrywki w najlepszych ligach świata, nie mówiąc o igrzyskach olimpijskich czy innych cyklicznych wydarzeniach. Według danych FIFA i firmy Nielsen średnia widownia każdego (!) z 64 spotkań na czterech ostatnich piłkarskich mundialach przekraczała pół miliarda osób.

Finał sprzed półtora roku, w którym zmierzyły się Francja i Argentyna, miał trzykrotnie wyższą oglądalność. Innymi słowy, w tym jednym momencie pojedyncze wydarzenie śledziło na ekranach telewizorów jednocześnie prawie 19% wszystkich mieszkańców planety.

Dla porównania – najpopularniejsza transmisja na żywo w internetowym serwisie Twitch, popularnym zwłaszcza w społecznościach graczy przed ekranami 3,4 mln osób. Na YouTube rekord na żywo to 80 mln widzów oglądających lądowanie indyjskiej misji Chandrayaan-3 na Księżycu w sierpniu ubiegłego roku. Ile osób ogląda treści na platformach streamingowych, trudno

na żywo. Rekord w historii platformy dźerży koreański serial „Squid Game”, na oglądaniu którego spędzono 1,65 mln godzin. Teoretycznie można w ten sposób przekonwertować wyniki finału mundialu w Katarze. Jeśli przyjąć, że trwał on dwie godziny i choćby nawet zaledwie połowa oglądała go w całości, da nam to wynik na poziomie 1,5 mld godzin. Ta różnica to nawet nie przepaść, ale cała galaktyka.

Nic więc dziwnego, że platformy streamingowe chcą uszczknąć coś dla siebie z tego tortu, bo jest o co walczyć. Transmisje to reklamy, kontrakty, miliardowe zyski. A skoro nawet Netflix, Disney+ czy HBO notują odpływ subskrybentów,

Sport daje dużo pieniędzy, ale tylko w konkretnych momentach. Poza wydarzeniami na żywo widza do tej pory nie dało się łatwo przyciągnąć.

trzeba szukać zysku, gdzie się da. Do tego potrzeba jednak treści i zdolności opakowania ich w taki sposób, żeby widz rzeczywiście chciał przesiąść się z telewizji na platformy kojarzone raczej z luksusem oglądania rzeczy wtedy, kiedy ma się na nie ochotę, a nie kiedy trzeba.

Zyski przede wszystkim

Pierwsze podchody w kierunku sportu zaczęły się jednak od treści okołosportowych. Żeby sprawdzić, czy to w ogóle ma sens. Platformy streamingowe mają bowiem mało precyzyjnych danych na temat użytkowników, poza oczywiście ich preferencjami wyklikanymi już

telewizji, niekoniecznie streamingu. Trzy produkcje na temat angielskich klubów piłkarskich były oglądane średnio 1,8 razy częściej niż seriale pokazywane w brytyjskiej telewizji tradycyjnej, ale cały czas nie były to dane nawet porównywalne z oglądalnością meczów ligi angielskiej na żywo.

Swoich sił próbował też Netflix, najpierw oferując podobny format na temat Formuły 1, potem przeskoczył na tenisistów, golfistów i kolarzy rywalizujących w ikonicznym Tour de France. Zwłaszcza ta pierwsza produkcja okazała się hitem, miała też spory wpływ na popularyzację wyścigów samochodowych na nowych rynkach, głównie amerykańskim. Według

badania firmy sondażowej Morning Consult, przeprowadzonego na próbie 1,9 tys. fanów Formuły, co drugi z nich (53%) przyznał się, że po obejrzeniu produkcji Netfliksa zaczął oglądać wyścigi.

To jednak efekt odwrotny do zamierzonego, bo przynosi zyski tym, którzy same wyścigi pokazują, a nie platformie streamingowej. Przy dużych kosztach realizacji (nie mówiąc o perspektywie zakupu praw telewizyjnych) nie wydaje się to kierunkiem wartym ekspansji. Dokładnie tak widział to zresztą w ubiegłym roku cytowany przez tygodnik „The Economist” Ted Sarandos, jeden z założycieli i szefów Netfliksa. Pytany o dalsze inwestycje w wydarzenia sportowe, powiedział, że „jego firma nie jest przeciwko sportowi. Jest po prostu za zyskiem”. Trudno o bardziej wymowną deklarację.

Jednak potencjalnych przychodów z transmisji na żywo nie da się ignorować. Zawłaszczenie całości tego rynku jest nierealne. Netflix na początku 2024 r. miał zresztą „tylko” 260 mln abonentów. Wziąć dla siebie jednak jego część? Czemu nie. Można to zresztą zrobić w inny sposób, bez konieczności płacenia gigantycznych kwot za prawa do transmisji. Zamiast oddawać

pieniądze organizatorom, można samemu odegrać tę rolę. Stąd pomysł na Netflix Cup zaplanowany na 3 marca br. W listopadzie 2023 r. odbyła się analogiczna impreza dla golfistów. W ten sposób cała wykreowana za pomocą transmisji wartość zostanie przekonwertowana na zysk dla Netfliksa. W dodatku w przyszłości nikt nie zwróci się do nich z chęcią renegotjowania kontraktu, nie zażąda większej sumy. To ciekawy model, choć ma oczywiście ograniczenia.

Najlepiej sprzedające się sporty mają przecież swoich organizatorów, federacje, ciała kierownicze. Nazywając rzeczy po imieniu, są to instytucje najczęściej bardzo chciwe, które windują ceny praw do transmisji, bo to dla nich główne po bezpośrednim sponsoringu źródło przychodu. Netflix co prawda niedawno wypuścił na rynek usługę z reklamami, teoretycznie ma więc kolejny atut w walce z telewizją. Mimo wszystko jednak trudno sobie wyobrazić, że staje do rywalizacji o możliwość pokazywania na żywo angielskiej Premier League, co obecnie kosztuje niemal 8,5 mld dol. za lata 2025-2029. Przychody z praw amerykańskiej NFL są jeszcze wyższe, wynoszą około 10 mld dol. To sumy astronomiczne nawet jak na gigantów streamingu z USA.

wyłącznie na zachowanie platform streamingowych, gubi się z oczu to, jak zmienia się sam sport. Poprzez tworzenie dodatkowych, sąsiadujących treści, stopniowo marginalizuje się bezpośrednie wydarzenie. A precyzyjniej rzecz ujmując, wyciska się więcej z kibica jako jednostki oglądającej i konsumującej programy. Owszem, sport daje dużo pieniędzy, ale tylko w konkretnych momentach. Poza wydarzeniami na żywo widza do tej pory nie dało się łatwo przyciągnąć. Teraz, dzięki mediom społecznościowym, ale też streamingowi to się zmienia. Mecz to jedno, serial dokumentalny – drugie. Klubowe filmiki na YouTube, profile na Instagramie i TikTok to kolejna atrakcja, z której łatwo skorzystać. Chodzi o to, żeby fana utrzymać przy produkcji, jakim jest sportowiec lub klub, możliwie najdłużej. Albo nawet korzystać z jego uwagi na kilka sposobów jednocześnie. Według danych portalu Statista aż co piąty kibic na świecie przyznaje się, że oglądając wydarzenia sportowe w telewizji, jednocześnie korzysta ze smartfona. Czemu więc nie wgrzyć się tak że w to ciastko? Skoro zbyt drogie jest pokazywanie samego spotkania, zróbmy kilka dodatkowych kanałów, zasadniczo z tą samą treścią.

Rozwój streamingu i szerzej – upadek tradycyjnych mediów, w tym telewizji – mocno wpłynie na kształt sportowej rywalizacji. Jeszcze bardziej spadnie prestiż meczów drużyn narodowych, bo w większości sportów drużynowych mają one miejsce sporadycznie. Nie da się więc codziennie przykuć zainteresowania kibica kadry Polski, Niemiec, nawet Brazylii, bo zwyczajnie nie ma czym. Zyskają kluby, które grają nieustannie. W Stanach Zjednoczonych ten model rozgrywek funkcjonuje od lat, piłka nożna idzie w tym samym kierunku. W przyszłym sezonie najlepsi piłkarze, po dodaniu do kalendarza m.in. nowych Klubowych Mistrzostw Świata, mogą zagrać nawet 70-75 spotkań. Będzie więc co transmitować i raczej wystarczy dla każdego, bez względu na to, czy na żywo, czy z odtworzenia.

Mateusz Mazzini
m.mazzini@tygodnikprzeгляд.pl

Co dalej ze sportem na żywo?

Zdania ekspertów na temat kierunku ekspansji i zainteresowania sportem na żywo są podzielone. Dla jednych to nieuniknione. Żeby się rozwijać, platformy streamingowe muszą oferować nowy rodzaj treści, a nie więcej tego, co już mają. Sport spełniałby te kryteria. Dlatego wśród możliwych celów na najbliższe lata wymienia się prawa do transmisji meczów NBA, które pójdą pod młotek w 2025 r. Inni twierdzą, że to jednak bez sensu. Za duże koszty, za małe przychody, brak doświadczenia w realizacji i niesprzyjające nawyki użytkowników, szukających raczej czegoś na zawołanie, niż wtedy, kiedy dane wydarzenie ma miejsce.

W pewnym sensie jednak to złe postawione pytanie. Bo patrząc



Lewomyślniej



Roman Kurkiewicz

Kapitalizm: żadnej korekty!

W ostatnich dniach do publicznego obiegu przedostał się komunikat Jana Latały, redaktora zarządzającego serwisami lokalnymi portalu Wyborcza.pl, w którym do pracowników (dziennikarzy głównie) w sprawie zwolnień grupowych w spółce Agora wydającej „Gazetę Wyborczą” napisał, że: „W ramach zwolnień grupowych rozstaliśmy się z korektą. Dlatego szczególnego znaczenia nabiera dbanie o jakość tekstów przez Autorki/Autorów oraz Redaktorki/Redaktorów. Należy również używać »słowniczka« w Story Makerze. Do czasu wprowadzenia informatycznej poprawki aktywna będzie opcja »Wyślij do korekty«. Nie używajcie jej jednak”.

Dla większości parających się pisanem tekstów korekta jest (była?) pojęciem oczywistym, a korektorki (dzisiaj to zawód skrajnie sfeminizowany – ciężka, trudna, odpowiedzialna praca za niewielkie pieniądze – to schemat) są oczywistymi współtwórczyniami tekstów, oliwą bezpieczeństwa łagodzącą fale stresu i obaw autorek i autorów. Błędy w tekstach popełniają wszyscy. Piszące korektorki – także. Parafrazując ewangeliczną frazę, „nikt nie jest prokiem we własnym kraju”, można z pełnym przekonaniem napisać: nikt nie jest redaktorką i korektorką własnego tekstu. Praca nad tekstem, który wyszedł spod naszego pióra (obecnie – klawisza), jest najczęściej ponad siły piszących.

Mózg inaczej czyta tekst, który wytworzył, można powiedzieć, że jest trochę jak matka kochająca swoje dziecko, niezależnie od tego, co ono wyczynia. Mózg kocha swój tekst, nie chce przyjąć, że może być słaby, marnie napisany, z błędami. I tu wkraczały do pracy zespoły korektorek – mają szeroką wiedzę, kompetencje językowe – stylistyczne, ortograficzne – i najczęściej także merytoryczne oraz, co – być może kluczowe – dystans do materii tekstu. Pokochają go lub choćby zaakceptują dopiero bez ewidentnych błędów, literówek, niezrozumiałych fraz. Działy korekty przez dekady, obok redaktorek i redaktorów, tworzyły spójny i efektywny „żywy organizm”, naturalne środowisko dla tekstów, które mają zostać w takiej lub innej formie upublicznione.

Ale nadszedł kres, kiedy w nasze życie wszedł internet, pławiący się w kapitalistycznych regułach wydawniczych prywatnych mediów. Kapitalizm jest tak prymitywnie prostym i zrozumiałym algorytmem działania, że rządzi naszym życiem niepodzielnie. Jego kluczową regułą jest zarabiać wciąż i wciąż więcej, coraz więcej. Wszystko inne to bajki, a każda wątpliwość rozstrzygana jest na korzyść paradygmatu nieokiełznanej żądzy zysku

za wszelką cenę. A że w wyniku tego produkt (np. tekst) będzie gorszy – nic to. A poza tym przyjdzie komputerowy program edytorski albo inna sztuczna inteligencja (największy i najpotężniejszy złodziej wysiłku i dorobku intelektualnego świata w jego historii) i wyrówna, poprawi, podkreśli. Tak jednak nie jest. Żywiot języka wciąż jest na tyle potężny, że tylko nasze osobiste, ludzkie komputery, zwane mózgami, potrafią nad nim zapanować i go kontrolować. Ale dla kapitalisty, spółki czy innego podmiotu nie ma to znaczenia, bo w tym świecie rządzi święta zasada: trzeba ciąć. Koszty. A ludzie to „koszty”. Koszty to jednak nie to samo co materia tekstu, któremu bardzo często cięcie, skrót po prostu służy, czyli zwiększa jego wartość. Skracać trzeba jednak umieć – na tym polega praca zwana redakcją. I to świat redaktorek i redaktorów pierwszy padł ofiarą cyfryzacji pożenionej z kapitalizmem.

Gazeta to produkt, który trzeba sprzedać. Wytworzyć tanio – sprzedać drożej. Półproduktami są pojedyncze teksty. „Przecież piszą ci, którzy potrafią pisać”. „Autor – tekst – honorarium”.

To świat redaktorek i redaktorów pierwszy padł ofiarą cyfryzacji pożenionej z kapitalizmem.

Taka trjada rządzi w umyśle menedżera, właściciela. Po co jeszcze ktoś inny pęta się przy tych tekstach? Redaktorki? Korektorki? Zbędne fałbany procesu produkcji, bo przecież tekst to towar, produkuje się go jak rower czy rynnę, cegłę czy chleb. Pracowałem kiedyś dla bardzo zamożnego człowieka, również właściciela pewnego medium. Medium było z historią i tradycją.

Ale „nie szło”, czyli nie zarabiał. Właściciel wziął mnie kiedyś na rozmowę i mówi: „Jak to jest? Mam fabrykę tektury, robimy setki wyrobów z tej tektury, kartony, nadruki na nich – i to idzie tak, że musiałem drugą fabrykę postawić. Hula, że hej. A tu (medium papierowe) nic. Tam papier i tu papier. Tam nadruk i tu nadruk. I tamto idzie, a to nie idzie? Jak to jest?”.

Od jakiegoś czasu widzimy, że ideałem dziennikarki/dziennikarza, osoby piszącej jest byt wirtualny, sztuczna inteligencja, chatbot. Nie męczy się, pracuje 24/7, nie chodzi na chorobowe czy urlopy, nie ma okresu, nie ma kaca czy spraw domowo-rodzinno-osobistych. I co najważniejsze – nie ma własnego zdania i nie trzeba mu płacić.

Chcąc pozostać ludźmi, potrzebujemy korekty. Kapitalizm – wręcz przeciwnie. Całej ludzkości nie da się zwolnić grupowo. Chyba że się opłaci.

PS Felierton dedykuję Redaktorkom i Korektorkom, które biedzą się także nad moimi felietonami. Dziękuję, kłaniam się nisko, ja bym nie potrafił.

Dziewczęta z Froteksu

Cieężko pracowały w przemyśle lekkim.
Tysiącom kobiet z „wątą we włosach”
Prudnik zawdzięcza najlepsze czasy

Beata Dżon-Ozimek

Zawsze szły tą drogą tłumy, rzeki ludzi tam i z powrotem. Jedna rzeka do pracy, druga tych, co wychodzili z Froteksu. – Kiedyś było nawet 4 tys. pracowników, proszę sobie wyobrazić, ile tutaj rodzin było zaopatrzonych, później było 3 i 2 tys., 1,3 tys. i mniej. Ale nawet tyle to też tłum, na trzy zmiany – wspomina Barbara Moskwa, pierwsza kobieta na czele działu inwestycji Zakładów Przemysłu Bawełnianego Frotex SA, swego czasu największego producenta cenionych ręczników frotté, tekstyliów stołowych i pościeli w Polsce.

– To była ciężka praca i jeszcze smród tej chemii, ale ludzie byli fantastyczni. Czułam się jak w rodzinie, fajnie mi się tam pracowało – wspomina Anna, która pracowała w tkalni i w brakarni. Wiele dawnych „dziewcząt z Froteksu” powtarza, że „do pracy chciało się iść”, ale ta firma dawała o wiele więcej, bywała jak przyjaciel. Pierwsze dane o zatrudnieniu pochodzą z 1863 r.: 1,9 tys. osób, najwięcej – 4 tys. – zatrudniano w latach 1910, 1913, 1965. Zakłady funkcjonowały w latach 1845–2010, były największym pracodawcą w mieście i jednym z największych na Opolszczyźnie.

Gdzie one są, te dziewczęta z Froteksu? Nie ma ich w Prudniku w nazwie jakiegokolwiek ulicy, jak w Łodzi, gdzie jest Rynek Włókniarek Łódzkich, nie ma upamiętnienia tkaczki czy włóknarki. Trzeba szukać tych kobiet, które kawał życia związały z różnymi stanowiskami

w historycznych już zakładach Frotex, w tkalni, wykończalni, przedzalni, farbiarni, mereżkarni, apreturze, składalni, bielniku czy szwalni. Gdy popytać, okazuje się, że wiele kobiet z Klubu Emerytów Senior+ w Prudniku to panie związane z Froteksem, że pani Tereska z domku z zadbaną grotą Matki Boskiej pracowała tam ponad 30 lat, a jej koleżanka całe 45 lat; znana lokalnie lekarka zaczynała karierę w przychodni szwagierka sąsiadki przez lata stała tam przy krosnach. Barbara Jamioł, mama lokalnej fotografki i plastyczki, szefowała laboratorium chemicznemu we Froteksie.

Niektóre można wciąż spotkać w prudnickim PTTK czy na spotkaniach „babińca”, grupki kilku przyjaciółek. I nie wierzą, że mają coś ciekawego do powiedzenia, choć były przeciwieństwem większości tych tysięcy pracowników i bez nich nie byłoby ani Froteksu, ani rozwoju miasta. Nie da się też przeoczyć barwnego ptaka w kapeluszach i kolorowych strojach. To 95-litnia pani Wiesia Piastowska, dawna komendantka przyzakładowego hufca pracy dla dziewcząt. Zawsze uśmiechnięta i w starannym makijażu.

Na Śląsk, do Prudnika

Poniemiecki ceglany dworzec z nieczynnym od dekad zegarem od strony placu z kocich łbów i drugim, czasem czynnym, od strony dwóch zrujnowanych peronów i na głucho zamkniętej poczekalni. Ale dworzec



Jadwiga Żak, Maria Leniar i Wiesława Piastowska, członkinie „babińca”.

ma głos, zapowiedzi pociągów są całkiem wyraźne. Dawniej spora stacja we wszystkie strony Polski i w kierunku Berlina, dziś można dojechać bez przesiadek do Szklarskiej Poręby, Krakowa, Warszawy, Wrocławia. Dwie odnogi kamiennej drogi w dwa krańce Prudnika, wygodny plac do zawracania, czekania, parkowania, nawet maszerowania oddziałów wojska. Jedna odnoga mija dawny żydowski dom pogrzebowy, dziś siedzibę zielonoświątkowców, w głębi, na wzgórku opadającym ku jednej z głównych ulic, Kolejowej, upchnięto cmentarz żydowski, kirkut. Z widokiem na zapadającą się w swej potężnej materii dawną fabrykę szlachetnych tkanin stołowych, pościelowych, wyposażenia hotelowego, okrętowego, książęcych dworów; adamaszków, bawełny gładkiej, frotté. Żydowscy budowniczowie potęgi Prudnika, Neustadt, obywatele Prus, Republiki Weimarskiej, ci, którzy zdążyli tu spocząć pod czarnymi granitami mauzoleów, widok mają smętny.



Barbara Sękowska, Irena Madera, Halina Starzec, Krystyna Nesterowska, Zofia Sikora i Halina Frankiewicz.

Fraenkle, Pinkusi, wizjonerzy, przemysłowcy, filantropi, szaleńcy, intelektualiści, miłośnicy sztuki, nawet grobowców nie mają prostych, równych, niepokniętych.

Na ten poniemiecki dworzec przybływały po wojnie pociągami dziewczyny, które chciały ulżyć matkom i ojcom na wsiach Lubelszczyzny, Podlasia, Podkarpacia, Mazowsza, z chat pełnych gąb do wykarmienia. Po awans. Bez walizek, bo to było dobro nieosiągalne dla wielu, dobrze, jeśli miały parę butów i bieliznę na zmianę. W wiklinowych kuferkach, które były zarazem szafkami w nowym życiu, wiozły to, co mogły zabrać z domów, gdzie odzież była przesywana, nicowana, bo są młodszy i można ich obszyć; wiele matek czy babek to potrafiło.

Jadzia światowiec

Dziewczęta jeździły tu do szkoły przyzakładowej z początkiem lat 50. Nosiły mundury z dwukolorowymi furażerkami, mieszkaly naprzeciw szkoły i na pierwszą zmianę szły ze śpiewem. Wśród nich były Jadwiga, jedna z kilku najstarszych żyjących dziewcząt z tych czasów, i jej siostra Helena.

– Ja miałam pęd do wyrwania się ze wsi – śmieje się Jadzia (mamy mówić sobie po imieniu),

emerytowana księgowa, 95-latką o wdzięku młodej dziewczyny, znana postać. – Tam w lecie chodziło się na bosaka, jak zdjęcie robili, to pożyczali buty. W mojej rodzinie na szczęście stryjek był wziętym szewcem, a mój tato przy nim też był szewcem, ale raczej na własne potrzeby, potrafił tatać buty. Dzieci buty sobie pożyczaly. Mam też zdjęcia z dzieciństwa, tyle że w gromadce

**Wydawałoby się, pakowaczka, co to jest?
Ale ona przerzucała kilka ton dziennie.**

tych dzieci nogi podkuliłyśmy pod sukieneczki, żeby nie pokazać bosych stóp. Jakbym miała buty po swoich dzieciach i widziała dziś biedniejszą rodzinę, tobym je po prostu oddała – mówi kobieta.

Jadzia nie tylko chciała ruszyć w świat, ona musiała wyjechać. Ta nastolatka była już referentką w gminie, odpowiedzialną za metryki, nazwiska, dokumenty, poza tym prowadziła bibliotekę. A tam jeden z poszukiwanych listem gończym bandziorów, tzw. żołnierzy wyklętych, miał do niej sprawę. – Miałam 17 lat, jadąc do Prudnika. Zabrałam ze sobą siostrę, która miała lat 15, a warunkiem przyjęcia do szkoły przyzakładowej było ukończenie 16 lat. Machnęłam jej metrykę z datą

o rok wcześniejszą i przyjechałyśmy. Jak to wtedy robiłam, to nie było dla mnie problemu. Mama tylko powiedziała: jesteś starsza i bardziej obyta, musisz się nią opiekować. Jak na dziecko wiejskie to ja byłam prawie światowcem.

Do dzisiaj opiekuje się chorą siostrą. Mama Jadzi i Heleny we wsi Rybczewice na Lubelszczyźnie miała w domu maszynę do szycia. – Uszyła nam z dwustronnego materiału kupionego od Żydów bardzo ładne sukieneczki. Siostrze na jedną stronę, mnie na drugą. Jako

dzieci we wsi byłyśmy troszkę wyżej dzięki temu, że ojciec zabezpieczał obuwie, a mama nas obszywała. No i to, że rodzice byli piśmienni, mieli skończoną szkołę, przed wojną to była chyba tylko pięcioklasowa.

Rodzice byli za tym, żeby jechała po lepsze życie. – Oczywiście były lampy naftowe, nie było elektryczności. Tato w zimie naprawiał buty, świeciła się lampa, a mama czytała wtedy książkę. Siostra mnie wciąż pyta, co nasza mama czytała. Schodzili się sąsiedzi, prosili: poczytajcie. A jak w gminie pracowałam, przychodzili starsi ludzie, podpisywali się krzyżykami – opowiada. Jadwiga szybko i w Prudniku okazała się bardzo zdolną dziewczyną, trafiła do biura, zrobiła maturę, potem zdobyła ▶

► uprawnienia i została główną księgową w ZOZ (Zakład Opieki Zdrowotnej), lokalnym kolosie. Niewiele opowiada o epizodzie z „żołnierzem wyklętym”, wtedy, z końcem lat 40. XX w., bano się i jego, i UB, krzywdzono zwykłych ludzi, jak przydarzyło się to jej koledze. Tym wydarzeniom zawdzięcza wyjazd na Śląsk i awans społeczny ponad siedem dekad temu. Nie dają jej spokoju nagie ciała z bagien, Żydów ukrywanych w wiosce Stryjno Kolonia, potem zamordowanych. – To było takie gospodarstwo na uboczu, nad rzeką, nad bagnami – Jadwiga nie może milczeć. Owe nagie ciała pojechały za nią z rodzinnych stron na Śląsk.

Każdy wiedział, że my są Niemcy

Śląskiej gwary nie zna, bo urodziła się w 1935 r., po wojnie miała 10 lat i umiała tylko po niemiecku. – Ja polskiego dopiero się nauczyłam po wojnie, jak tu Polska nastała, od Polaków, od otoczenia. Mój ojciec umiał tą gwarą, on jest spod Krapkowic, z wioski. Mama mówiła tylko po niemiecku, bo tutaj w kierunku na Głubczyce, Racławice Śląskie, Klisino były niemieckie wioski i wszyscy mieszkańcy byli wysiedlani do Niemiec, ponieważ znali tylko niemiecki. Przetrwiała, bo ojciec mówił po śląsku. A moja mama zmarła w 1946 r., ojciec został sam z czwórką dzieci



Tkalcia – rzadka chwila odpoczynku.

Przędzalnia powstała w 1874 r. w Podlesiu koło Głuchotaf.

88 lat. Rozmawiał z dziećmi po polsku, żeby się oswajały z językiem. – W domu to myśmy jeszcze długo, długo po niemiecku mówili. No tak było, że mówiono na nas „te Niemki, te szwabki”. Albo w szkole „ta nic nie pisze”, ale wiele z tego nie rozumiałam, może na szczęście – mówi pani Teresa z delikatnym uśmiechem. Była „tą szwabką”, długo płynnie

Były różne kolory materiałów. Jaki kolor danego dnia szedł na produkcji, w takim kolorze człowiek wracał do domu.

– opowiada 88-letnia Teresa Malada. – Po wojnie lekarzy nie było. Niby jakieś przeziębienie, okazało się, że to tyfus, zabrali mamę do szpitala, no i zmarła.

Mieszkali w Prudniku. Tereska była najstarsza. Musiała pilnować siostry i brata, bo ojciec pracował. Do szkoły chodziła, ale miała przerwę po śmierci mamy, skończyła szkołę wieczorową. Już po polsku. – Szłam do wieczorówki, kiedy tato przychodził z pracy i zostawał w domu z dziećmi. Ojciec był drobnym urzędnikiem, ważne, że miał pracę. Długo żył,

po polsku nie mówiła. – Każdy wiedział, że my są Niemcy. Do pobliskich Łąki Prudnickiej i Moszczanki ze wschodu z wiosek tu przyjeżdżali i jak przyszli do miasta na targ, to zaciągali: „a je to, a je mliko?”, mieli swoje nazwy, powiedzenia. Dziś dawne przyszli zza Buga zaznaczają: a nasz stary majster był Ślązakiem, wspinał się człowiekiem.

Pani Teresa pracowała 25 lat jako intendentka w przedszkolu zakładowym. Mieściło się w pałacu, dawnej willi przemysłowców Fraenkłów



i Pinkusów. Karmiła co dzień ponad setkę dzieci, nie było to łatwe. Co było, to kupowała, a musiał być rachunek. Marchew, pietruszka, kapusta były w warzwyńaku. Jak wzięła coś od rolnika, bo prosił, jakieś jabłka, trzeba było protokół napisać, wszystko musiało być udokumentowane



Frotex produkował m.in. biało-czerwone ręczniki Solidarności.



W strajku zorganizowanym 6 września 1980 r. uczestniczyło 1600 osób, w tym pracownice Froteksu.

i każda złotówka musiała być rozliczona. Dziś w „jej” dawnym przedszkolu mieści się dom kultury. Pracuje tam kolejne pokolenie jej rodziny.

Szczęśliwa obrączka

– Wiesz, jak się robi na trzy, cztery zmiany, a masz czwórkę dzieci, to się nie zatrzymujesz. Dojazd i z powrotem, jak najszybciej do domu i patrzysz, czy dom jeszcze stoi – śmieje się Anna. Ślubna obrączka

uratowała ją kiedyś. Wiozła skrzynki z cewkami do czótenek tkackich metalowym ciężkim wózkiem, podłoga była z takich niby-cegiełek, tak to pojechało, że przytrzasnęło jej palec. – Na szczęście nie palec, tylko obrączkę, potem mąż ją młotkiem wyprostował – uśmiecha się. Zawsze była energiczna. – Ludzie mówili: gromadka dzieci, a ty zawsze jesteś wesółą. Ale czym się smucić? Praca jest, dzieci zdrowe, mąż, wszystko jest. Co

innego, gdybym nie miała pracy. Nie było lekko, nigdy nie było wesoło finansowo, ale byliśmy razem – przyznaje Anna.

Kiedy rozmawiam z kobietami z Froteksu, słyszę nieraz: „Jak czegoś nie umiałam, to pytałam”. – Zawsze byłam taką osobą, że słuchałam, chociaż nie wszystko brałam do siebie. Kierownik podczas przyjęcia do pracy zobaczył mnie: „Pani się na tkalnię nadaje”. Okazało się, ludzie tacy fajni, byli za sobą, więc Frotex wspominam bardzo dobrze. Ciężka była praca, ale ludzie Ignęli do siebie – mówi Anna. – Były różne kolory materiałów. Jaki kolor danego dnia szedł na produkcji, w takim kolorze człowiek wracał do domu. Kolor schodził z tych wszystkich nici, „puszczał”, jeszcze nie był zabezpieczony, byłam w różnych kolorach. Trzeba było się przebrać, w tych ciuchach po pracy nikt by na miasto nie wyszedł. Kobiety z Froteksu można było poznać po tym, że miały te „waty” we włosach. Czeszesz się szybko, masz dziesięć minut, zmienniczka przychodzi, zaraz autobus, więc nie było czasu nawet na siebie spojrzeć i te pyłki, które fruwały w powietrzu, zostawały na tobie – śmieje się.

Wata we włosach. I rzeka Prudnik była kolorowa, płynęła raz żółta, czerwona, bordowa, innym razem niebieska. – Najpiękniejsza dla mnie jako dziecka była rzeka granatowa z różowymi czy białymi „barankami” – wspomina Iwona. Większość kobiet z jej rodziny pracowała we Froteksie.

– Na pewno to było szkodliwe, bo chemia, niebezpiecznie, deszcz lał się po słupach i po wodzie chodziliśmy, chociaż były przeprowadzane remonty, a tu maszyny elektryczne, nie daj Boże jakieś przebicie. No, ale jak człowiek jest młody... Na starych maszynach przelatowały czótenka. Koło mnie też nieraz czótenko wyleciało i tak przeleciało, że człowiek aż zadrżał, jakby trafiło, to mogłoby przebić. Na końcu miały groty. Człowiek nie myślał o tym, nie bał się, pracował. Ale na mojej zmianie dziewczyna oberwała opitkiem, to były aluminiowe wałki, które trzeba było odwinąć, wtedy się szczyrbiły, a behapowiec: „Dlaczego

► pani odwinęła sztukę?”. Przecież musiała odwinąć. To zawsze wina pracownika. Jedna z kobiet dostała w oko, potem operacja, do końca życia miała problem z okiem – opowiada Anna.

Ostatnie miesiące jej pracy, wygaszanie zakładu było okropne. – Kiedy zamykano oddziały, zrobiło się tak ciemno, tak ponuro, smutno. Przynajmniej dla mnie. Nie wiem, jak odczucia innych, dla mnie to była czarna dziura, coś się skończyło. Chodziliśmy tam od czasu do czasu zobaczyć; rozbierali, wywozili.

Szkoda tego zakładu, naprawdę. Tych ludzi. Jeszcze my zostaliśmy.

Nie zdołał tego powstrzymać bardzo dobrze wspominany przez załogę ostatni dyrektor, wieloletni modernizator zakładów, znakomity handlowiec, Josel Czerniak. Czasami jeszcze można go spotkać. Upadłość ZPB Frotex ogłoszono w marcu 2010 r. W 2011 r. pracowało jeszcze 165 osób. Proces likwidacji zakończył się latem 2014 r.

Jak pszczoła się wlatywało

Słuchanie ludzi jest fantastyczne, to właśnie myślenie bliskie kobietom, także tym z Froteksu: – Słucha się, jak się chce zrozumieć. Nauczyłam się słuchać. Jak się nie ma wiedzy w danym kierunku, to nawet inna wiedza może pomóc. Trzeba było wszystkiego wysłuchać, podpytać, zapisać, wiedzieć, a miałam od kogo się uczyć – wspomina Barbara Moskwa. Współtworzyła nowoczesny model produkcji zakładów, podglądany przez resztę przemysłu lekkiego w Polsce. Po 1989 r. Frotex nie dostał szansy.

Aktywne emerytki, dawne pracownice Froteksu, Barbara Sękowska, Halina Starzec i Halina Frankiewicz, Krystyna Nesterowska (bardzo krótko), Irena Madera i Zofia Sikora najpierw niepewnie, potem coraz chętniej wracają do wspomnień.

– Wtedy jeszcze była praca w soboty i na trzy zmiany, na nocy się chodziło. Najgorszy był czas, jak

dziewczyny szły na zabawę, a starsze musiały iść do pracy. I nie było przerwy ani na śniadanie, ani na nic, non stop na nogach i jedzenie w biegu. Szło się tylko po kawę i jadło przy krosnach. Jedna drugiej pomagała, bo trzeba było polecieć się załatwić, no to koleżanka podeszła do krosien, a ja pomagałam koleżance, tak na zmianę. A na palarnię to na dwie minuty, w biegu wszystko, jak pszczoła się wlatywało – opowiada uśmiechnięta Zosia.

Na składalni panie cięły ciężkimi nożycami kupony materiałów odpowiedniej wielkości. – I wszystkie miały chore ręce. Moja mamusia na składalni przepracowała wiele lat i miała bardzo chore ręce. To była ciężka praca na każdym etapie. Bo przecież jak panie już naskładały, musiały to spakować, przerzucić, odpowiednio powiązać i jeszcze wrzucić na wózek, który jechał do magazynu. Wydawałoby się, pakowaczka, co to jest? Ale ona przerzucała kilka ton dziennie, oprócz tego rano zaprowadziła dziecko do żłobka, wracając, odebrała to dziecko ze żłobka, z przedszkola albo ze świetlicy – mówi jedna z emerytek.

Siwa dziś szczebiotka spod Lwowa pracowała przy krosnach, biegła przy nich i składała wiersze. – Jestem z Żupani, miałam osiem lat,

Nie było lekko, nigdy nie było wesoło finansowo, ale byliśmy razem.

jak wyjechaliśmy, bo tam były mordy, byłam sierotą od dwóch tygodni. Dali mnie zaraz na służbę – Janina mówi wierszem o matce, różach, miłości matczynej. – Tu był podobóz KL Auschwitz, w budynku w mieście mieszkali Żydówki węgierskie, Polki, jeszcze nie było baraków dla kobiet. Ciocia Aleksandra Nesterowska była jednym z pierwszych więźniów Oświęcimia, w 1942 r., z łapanek w Tarnowie. Przywieźli ją tutaj, miała pojęcie o szyciu. Po wyzwoleniu została, przeżyła tu wielką miłość, zabili jej ukochanego; nigdy nie wyszła za mąż. Kazała się

pochować w grobie, gdzie jest jej dwóch kolegów z tego obozu, którzy zmarli wcześniej – mówi Kryśia. Ciocia pracowała we Froteksie. Neustadt (podobóz KL Auschwitz) funkcjonował od 26 września 1944 r. do 19 stycznia 1945 z ok. 400 więźniarkami i 30 esesmanami.

Jeszcze one zostały

Krystyna Nesterowska jest „dzieckiem Froteksu”: – Moi rodzice przyjechali w 1945 r., jedno z Zawiercia, drugie z Lubelszczyzny. W Zawierciu, gdzie był bardzo duży zakład włókienniczy, ruscy wywieźli maszyny, natomiast tu stała gotowa fabryka, ale bez ludzi. Bardzo dużo ludzi z Zawiercia jest w Prudniku. Po wojnie zostało tu bardzo dużo jedwabiu spadochronowego. Mój tata szył właśnie na tych „jedwabnych”, jak to nazywał, maszynach, mamusia poprosiła, żeby uszył jej bluzeczkę, to był rok 1948. W 1950 r. urodziłam się ja. I jedno, i drugie pracowało przez cały okres świetności zakładów. Mama była brygadystką w kolekcji prób, gdzie każdy skraweczek kiedykolwiek zrobiony, nawet w formie prób, przeszedł przez jej ręce.

Te pogodne „dziewczęta z Froteksu” nieraz doświadczyły tego, że kobiety miały ciężko, pod górkę, ale nie mają pretensji do świata i wspominają to, co dobre. Irena, dwie Halinki,

Basia, Zosia i inne mają jeszcze wiele do opowiedzenia o swojej młodości, tęsknotach, Froteksie, który był ważną częścią ich życia. – Ale to przeminęło, starość przyszła i trzeba umierać. – Jak cię gwizdnę zaraz w ucho, to będziesz widzieć! – śmieją się, bo one dużo się śmieją. – Szkoda tego zakładu, naprawdę. Tych ludzi. Jeszcze my zostaliśmy.

Beata Dżon-Ozimek
b.dzon@tygodnikprzeglad.pl

Dziękuję za pomoc Centrum Tradycji Tkackich, oddział Muzeum Ziemi Prudnickiej i Klubowi Emerytów Senior+ w Prudniku

Oko w oko



Tomasz Jastrun

Karykatury

Jestem zwolennikiem przerywania ciąży na życzenie. I nie mam w tej sprawie żadnych wątpliwości czy wahań. Choć szanuję tajemnicę życia. Przeciwno takiej ustawie jest w koalicji wielu postów od Hołowni i rzecz jasna całe PiS. U nich tyle szacunku dla embriónów, nabożna cześć dla każdego jajeczka i plemnika, który w nie wnika, a tyle pogardy dla żywych dorosłych. Lewica żąda ustawy i zaczyna się awanturować. Więc koalicja trzeszczy, czego od początku się baliśmy. Od dawna patrzę na lewicę z ukosa, chociaż jestem liberalno-lewicowy. To najślabsze ogniwo koalicji. Czarzasty. Biedroń, Zandberg drażnią mnie, chociaż podzielam ich poglądy w sprawach obyczajowych. To chyba kwestia charakterów. By wygrywać z PiS, trzeba politycznego sprytu, a nie nagich emocji. Ta ustawa może trochę poczekać. Sejm już zalegalizował pigułkę „dzień po”, PiS drze szaty, jakby dokonano gwałtu na moralności. Hamletyzować zaczyna Duda, a powinien podpisać ustawę, by była ważna. Jeśli tego nie robi, tym większą klęskę poniesie PiS w kolejnych trzech wyborach. Duda bredzi, że ta pigułka to „bomba hormonalna”. Nonsens. Zapobiega tylko zapłodnieniu przez blokowanie lub opóźnianie owulacji. Nie powoduje przerwania istniejącej ciąży. Zobaczymy, czy Duda zablokuje. Za to jest odblokowanie pieniędzy dla Polski przez UE. Góra złota, aż kręci się w głowie, kolejny pożytek z klęski PiS.

Jakiś czas temu przysłała wiadomość, że były premier Holandii Dries van Agt i jego żona poddali się eutanazji. Mieli po 93 lata. Tak, w Holandii jest to możliwe. To jest właśnie szacunek dla życia, a nie zakaz aborcji. Nie ma godnego życia bez godnej śmierci, co nie mieści się w prawicowej głowie.

Niemal wszyscy prawicowi politycy zdają mi się fizycznie i duchowo przerysowani, do granic karykatury. Kamiński i Wąsik, dwóch skazańców, mały chudy i duży gruby, Flip i Flap. Morawieckiego los obdarzył niezwykle długim nosem, to nie jest złudzenie, chociaż pewnie nieprawda, że mu ten nos ciągle rośnie. Duda okrągłogłowy, stale głęboko wzruszony własnymi słowami. Terlecki wygląda, jakby dźwigał własne zwłoki. Suski ma oblicze błazna. Błaszczak patykowaty, bladaczka i sztywny, jakby połknął kij od miotły. Nowa gwiazda PiS to Przemysław

Czarnek, byczo-knurowaty, elokwentny. W końcu sam prezes... Jaki jest prezes, każdy widzi. Zapewne to złudzenia karmione moją czystą, żywą niechęcią każą mi tak karykaturalnie ich widzieć. Na szczęście już bardziej są śmieszni niż groźni, nawet gdy zaczynają się odgraczać: „my jeszcze wrócimy”. Prezes o tym marzy: „wrócę i jeszcze wam pokażę”. Prezesie, jesteśmy już w wieku, kiedy wszyscy się psują, nie zdążysz.

Magdalena Rigamonti zrobiła dla Onetu wywiad z Lechem Wałęsą. On też niestety karykaturalny. Pan Bóg dotknął go kiedyś palcem i nakazał, by stał się posłańcem historii. Pamiętam go na żywo, jak podnosili go robotnicy i stawali na wysokiej stoczniowej bramie. Zdawał się wniebowzięty. I brał w ramiona całą Polskę, w której wrzało. Dzisiaj plecie głupstwa. Mówi: „Ja wygrałem z Sowietami i zostałem ich przyjacielem. I Gorbaczowa, i Jelcyna, i na początku nawet Putina. Ale takiego Putina, który szedł pokojem, rozwojem. Ja go zachęcałem do tego, żeby tak szedł. Nie udało mi się go zachęcić. To jego wina czy moja? Raczej moja. (...) Gdybym ja miał z nim kontakt, tobym wygrał”. Dziennikarka pyta: „Poradziłby pan sobie z Putinem?”. Wałęsa: „Oczywiście, nawet to proponowałem na początku wojny. Mówiłem publicznie: weźcie mnie na to spotkanie. Rozmowa miała być taka: panie Putin, nie żartuj pan. Pan mnie straszy swoimi zabawkami. Może pan chce zobaczyć moje zabaweczki? Pan nie ma szans żadnych przy naszych zabawkach. Ale my nie chcemy ich użyć. Nie chcemy niszczyć tej ładnej Rosji. Ale jak pan mnie wkurzy, no to przydzwonię. Tak trzeba rozmawiać. To są argumenty, które przemawiają”. No to mamy wybitnego dyplomata, najbardziej znanego w świecie żyjącego Polaka.

Oczekiwany telefon z otwockiego szpitala, idę na wymianę lewego biodra, prawe miałem wymienione rok temu. Cieszę się i martwię zarazem. Chcę mieć to z głowy, niedawno na chodniku wyprzedziła mnie jakaś staruszka, ale znam przyjemniejsze rzeczy niż taki zabieg. Operacji się nie boję, za to szpital nie podoba mi, chociaż ten otwocki porządny i nawet miła obsługa tego wielkiego zakładu naprawczego.

Zuzanna Muszyńska

Dziś to zwykle róża – smukła, czerwona, elegancka. Świeża? Może mieć nawet miesiąc. Po ścięciu z krzaka w Ameryce Południowej lub Afryce była w sortowni i w chłodni; po dwudniowej kąpieli w temperaturze ok. 2 st. C wyruszyła w świat – najprawdopodobniej do Holandii, gdzie trafiła na jedną z kilkunastu giełd. Minął dzień czy dwa, kupił ją hurtownik, zabral w dalszą podróż – samolotem, pociągiem albo tirem – do kraju przeznaczenia. I znów trafiła na giełdę – w Polsce prawdopodobnie do Bronisz pod Warszawą – skąd odbiorca zabral ją do kwaciarni. Tu zapłacimy za nią kilkanaście złotych. Przywieziemy do domu, wstawimy do wazonu z nadzieją, że kwiatowy „wyczynowiec” pożyje jeszcze kilka dni, a najlepiej tydzień. I nadal będzie piękny i świeży.

Świat kwiatów jest skomplikowany. Największym globalnym importerem kwiatów ciętych są Stany Zjednoczone (2,14 mld dol. w 2021 r.). Światową stolicą kwiatów jest Aalsmeer w Holandii, która ma 10% udziału w globalnej produkcji i 60% udziału w globalnym eksporcie. Globalny rynek kwiatów rozkwita; według magazynu „Florists’ Review” jego wartość wzrośnie w ciągu dekad z 29 mld dol. w 2021 r. do 48 mld w 2030 r. Dla Ziemi to masa zanieczyszczeń, chyba że Zielony Ład wygra z greenwashingiem.

Co w bukietach piszczy

Wracając do naszych wazonów. Niemiecki magazyn konsumencki ÖKO-TEST zbadał i opisał 21 bukietów róż w rozmaitych kolorach i odmianach, tanich i drogich (wydanie z lutego 2023 r.). Znalazł w nich 50 różnych pestycydów – koktajle dziesięciu i więcej w co trzeciej wiązance. Tylko jeden bukiet otrzymał ocenę dobrą – były to róże ze sklepu Aldi z etykietą zrównoważonego handlu Fairtrade. Egzamin oblały trzy czwarte bukietów, w tym pozostałe produkty certyfikowane przez Fairtrade z sieci Aldi. W kwiatkach znaleziono toksyny od dawna zakazane w Europie, ale nadal obecne



Kwiatek dla Ewy

Nauczyliśmy się wręczać kwiaty
główką do góry. Teraz uczmy się
kupować je z głową

w importowanych kwiatkach ciętych. Dziesięć pestycydów uznano za szczególnie niebezpieczne – były to substancje rakotwórcze, mutagenne, niszczące rozrodczość lub toksyczne dla pszczoł.

Według organizacji Pesticide Action Network co najmniej 385 mln osób rocznie cierpi na zatrucie pestycydami, a 11 tys. umiera z ich powodu. Narażeni na kontakt z dużą ilością pestycydów i herbicydów pracownicy farm kwiatowych w krajach z mniej rygorystycznymi przepisami chorują z powodu zwiększonej ekspozycji na agrochemikalia.

Niemcy należą do ścisłej czołówki światowych importerów kwiatów. Róże w niemieckich supermarketach i dyskontach pochodzą z Kenii, Zimbabw lub Izraela, a te droższe, u wyspecjalizowanych sprzedawców detalicznych – z Ekwadoru lub Kolumbii.

Goździki sprowadzane są z Kenii, Kolumbii lub Izraela. Tulipany, chryzantemy i gerbery pochodzą z upraw w Holandii i Niemczech. W sumie cztery na pięć kwiatów pochodzi z importu. Sprzedawcy w niemieckich kwaciarniach często nie wiedzą, skąd. Dyżurną odpowiedź brzmi: z Holandii.

To prawda, że do Niemiec jedzie co roku jedna czwarta wszystkich kwiatów eksportowanych przez Holendrów. Na drugim miejscu wśród klientów holenderskiego rynku kwiatowego jest Wielka Brytania, na trzecim Francja, potem Włochy i Polska (Floridata).

Afryka czy Holandia

Reporterzy niemieckiej telewizji SWR odwiedzili producenta kwiatów w prowincji Holandia Południowa (Zuid-Holland) i policzyli: roczna



produkcja – ok. 30 mln sztuk, przykładowa szklarnia o powierzchni 6 ha (!) ogrzewana gazem ziemnym, czyli energią ze źródeł kopalnych, odpowiada za roczną emisję 6 ton CO₂, porównywalną z emisją CO₂ gospodarstw domowych 2 tys. Niemców (energia elektryczna i ogrzewanie).

Holenderscy hodowcy muszą konkurować między sobą i z globalnymi dostawcami, w tym z krajami o niższych kosztach pracy i klimacie korzystniejszym dla całorocznej produkcji. W Holandii produkcja spowalnia zimą, inwestuje się więc w technologie szklarniowe, odporne na niekorzystne warunki pogodowe. Wiele sadzonek, z których hodzi się kwiaty w Holandii, pochodzi z Afryki. Przybywają drogą powietrzną, ale to etap szklarniowy sprawia, że rośliny te mają od czterech do sześciu razy większy ślad węglowy niż kwiaty, które ominęły Holandię i poleciały np. z Ugandy prosto do Niemiec.

Okolo 77% róż trafia na holenderskie giełdy z Afryki i Ameryki Południowej (Eurostat 2021). Cena róży odsprzedanej przez Holendrów jest dwukrotnie wyższa od ceny importu. Holandia to niekwestionowany lider eksportu kwiatów ciętych – w 2022 r. jego wartość wyniosła 4,5 mld euro. Na odległym drugim

miejsu w Europie były Włochy (135 mln euro). W Ameryce Południowej prym wiodą Ekwador (970 mln euro) i Kolumbia (470 mln euro), w Afryce Kenia eksportuje kwiaty za 600 mln euro (Eurostat).

Uprawa kwiatów, obok uprawy herbaty, jest dla Kenii tym, czym przemysł motoryzacyjny dla Niemiec. Kenijski klimat jest idealny – dużo światła, wysokie temperatury, duża wilgotność powietrza. Problemem jest woda – każdy cięty kwiat z Afryki Wschodniej zużywa aż od 7 do 13 litrów. Wiele farm znajduje się niedaleko Nairobi nad jeziorem Naivasha, w którym stan wód stale spada, a ich zanieczyszczenie azotanami i pestycydami rośnie. Sytuacja jednak poprawia się, zarówno środowiskowo – po inwestycjach w technologie nawadniania, jak i w kwestii stosowania pestycydów, na co mają wpływ międzynarodowe organizacje ochrony środowiska. Poprawiają się warunki pracy, jej koszty rosną – niektórzy producenci (zwykle europejscy) już przenieśli się do Etiopii, gdzie jest tańsza siła robocza.

Skąd kupować – z Afryki czy z Holandii? – Tu nie ma prostych odpowiedzi – mówi prof. Piotr Salachna z Zachodniopomorskiego Uniwersytetu Technologicznego w Szczecinie,

Europa zalewana jest różami z Afryki i Ameryki Południowej.

dyplomowany mistrz florystyki oraz międzynarodowy sędzia florystyczny. – Kwiaty cięte sprowadzane z Afryki i Ameryki Południowej są częściej bez kontroli traktowane środkami ochrony roślin w czasie uprawy i po zbiorze i mogą mieć wysoki poziom pozostałości pestycydów w stosunku do holenderskich. Z drugiej strony intensywna uprawa roślin ozdobnych w szklarniach w Europie wymaga dużych nakładów energii i materiałów, co powoduje wzrost emisji gazów cieplarnianych i przyczynia się do globalnej zmiany klimatu. Producenci muszą wdrażać rozwiązania ekologiczne, w tym OZE, wykorzystywać materiały z recyklingu, podłóża bez torfu, wdrażać integrowane metody ochrony oraz zrównoważone nawadnianie i nawożenie.

Dr David Bek, badacz zrównoważonego rozwoju w łańcuchach dostaw ogrodniczych (Uniwersytet w Coventry), tak ocenia w podcaście skutki ekonomiczne niekupowania kwiatów z dalekiej Afryki: „Jeśli konsument wie, że kwiaty przyprzynęły na statkach handlowych, co oznacza ok. 10-krotnie mniejszy ślad węglowy w porównaniu z drogą powietrzną, może je kupić w trosce o setki tysięcy afrykańskich pracowników, którym w przeciwnym razie groziłaby utrata środków do życia”.

Mroczne historie kwiatów

O sytuacji osób zatrudnionych na plantacjach w Kenii pisze Eunice Waweru na stronie Workers' Rights Watch. Branża ogrodnicza w tym kraju daje zatrudnienie ok. 150 tys. osób, z których większość to kobiety. Pośrednio branża jest źródłem utrzymania dla ponad 2 mln osób. Dzięki staraniom WRW zidentyfikowano wiele przypadków pracy przymusowej. Pracownice muszą osiągać bardzo wysokie normy w ciągu 12- lub 14-godzinnych zmian. Niewykonanie zadań skutkuje obniżeniem wynagrodzenia lub wymuszoną przez przełożonego usługą seksualną. Lekceważone są potrzeby kobiet,

takie jak przerwa na karmienie piersią. Pracodawcy nie zapewniają transportu, więc kobiety często nocują w pobliżu pól, pozostawiając dzieci pod niepewną opieką. WRW i Anti-Slavery International wystosowały apel do ustawodawców z UE o zakaz wwozu na rynki europejskie kwiatów, które mogły zostać zebrane przy użyciu pracy przymusowej.

Zatrudnianie dzieci do uprawy kwiatów to kolejny niemały problem. W indyjskim Bangalore lokalne władze uratowały w 2014 r. czterech chłopców z niewoli na farmie róż. Mali niewolnicy w wieku od 9 do 15 lat podlewali codziennie 4 tys. kwiatów. Od piątej rano mieszały piasek, wodę i obornik, nawozili glebę, zbierali róże z ciernistych krzaków. Za błąd w podlewaniu lub za złamanie rośliny ▶

- byli bici. W sezonie dzieci kończyły pracę po północy, po załadunku kwiatów na ciężarówkę.

Według Global Slavery Index liczba współczesnych niewolników wynosi 50 mln osób. Zjawisko to występuje nie tylko w odległych zakątkach świata – w Wielkiej Brytanii może dotyczyć nawet 130 tys. osób. Wśród nich był „Martin” z Polski, którego historię opisał w 2019 r. dziennik „The Sun”. Polak przez 10 miesięcy pracował bez odzieży ochronnej w szkodliwych warunkach na polach kwiatowych lub w fabrykach. W Polsce „Martin” ukończył szkołę rolniczą, ale nie pracował w zawodzie. Znalazł ogłoszenie o pracy w Anglii. Zarabiał czasem tylko 10-20 funtów tygodniowo, co ledwo starczało na pokrycie kosztów wyżywienia. Gdy został dotkliwie pobity przez swoich szefów, zdołał uciec.

Żeby przetrwać długi transport, kwiaty są „mumifikowane”, czyli maczane w silnych środkach utrwalających.

Trafił do lekarza, któremu opowiedział swoją historię. Od policji dowiedział się, że padł ofiarą handlu ludźmi.

Brytyjski rząd powołał specjalne służby do ścigania tego rodzaju przestępstw. Do ich znaczących sukcesów związanych z branżą rolną należy pojmanie na farmie kwiatowej w Kornwalii w 2018 r. trzech mężczyzn podejrzanych o zniewolenie 200 migrantów z Litwy, Rumunii i Bułgarii.

Dr Bek uważa, że procederowi współczesnego niewolnictwa sprzyja globalna nierównowaga sił oraz złożone sieci łańcuchów dostaw.

Od goździka do storczyka

Polskich stolic kwiatów jest wedle Google kilka, jeśli nie kilkanaście. Jedną z nich znajduje się w Stężycy w województwie lubelskim. Firma JMP Flowers uprawia kwiaty w szklarniach na obszarze 18 ha. Sprzedaje dwoma kanałami – przez największą w Polsce sieć hurtowni (15 lokalizacji w całym kraju) oraz regularnie zaopatruje ok. 6,5 tys. kwiaciarni i florystów (z 8 tys. podmiotów ogółem). Produkuje storczyki typu *Phalaenopsis*, róże, anturium, calathea.

Jest znaczącym importerem na rynku roślin i kwiatów, jednocześnie eksportuje storczyki i gotowe bukiety do sieci w całej Europie (18 krajów).

– Mamy, w zależności od źródła danych, 6-8% udziału w europejskim rynku storczyków, w Polsce jesteśmy jedynym producentem storczyków i największym, całorocznym producentem róż – mówi Agnieszka Ptaszek-Kwolek, menedżerka ds. eksportu i marketingu, reprezentantka piątego pokolenia przedsiębiorców i czwartego ogrodników w rodzinnej firmie.

Zdaniem Agnieszki Ptaszek-Kwolek Europa zalewana jest różami z Afryki i Ameryki Południowej. – Różę te, żeby przetrwać długi transport, są „mumifikowane”, czyli maczane w silnych środkach utrwalających, przez co w zasadzie docierają

do klienta nieżywe – podkreśla. Dodaje, że jej firma używa oprysków w minimalnych ilościach i skupia się na ochronie biologicznej, czyli np. stosowaniu specjalnie wyselekcjonowanych żerców (m.in. biedronek), które zjadają szkodniki. – Dzięki temu liście są piękne i lśniące, a kontakt z roślinami dla naszych pracowników i konsumentów bezpieczny – mówi. Certyfikatów dotyczących oprysków, jak również warunków pracy, wymagają międzynarodowe sieci.

Ciekawostka: kwitnący ok. trzech miesięcy storczyk, odpowiednio pielęgnowany, może dać tyle samo radości, co 12 bukietów kwiatów, które postoją w wazonie tydzień.

JMP Flowers chce w najbliższych latach osiągnąć zeroemisyjność. Dotychczas wyeliminowała torf z podłoża kwiatów, stosuje oświetlenie LED, które pozwala pięciokrotnie zmniejszyć zużycie energii, używa wody deszczowej, szuka sposobów na eliminację plastiku. – Wszystkie parametry kontrolujemy i dążymy do tego, aby je corocznie optymalizować – podsumowuje Agnieszka Ptaszek-Kwolek.

Wszechobecne na naszych parapetach storczyki zastąpiły paprotki, tak jak róża zastąpiła goździka, króla PRL. Polska Ludowa produkowała rocznie 7 mld kwiatów ciętych, z czego 20% szło na eksport, przede wszystkim do ZSRR.

Dziś goździki przyjeżdżają do Polski z Ekwadoru. Lidle, Żabki, Biedronki sprowadzają kwiaty po cenach dumpingowych. Prof. Salachna tłumaczy: – W Polsce głównym kryterium przy zakupie kwiatów jest cena, a nie pochodzenie roślin czy sposób ich uprawy. Coraz częściej w sezonie supermarkety oferują bogaty wybór gatunków, a nawet odmian, np. tulipanów, i my chętnie kupujemy pęczki tych ciętych kwiatów bez analizy, czy pochodzą one ze zrównoważonej produkcji. Część świadomych młodych ludzi, mających odpowiednie dochody, poszukuje rozwiązań proekologicznych. Niestety, ludzie starsi nadal kupują olbrzymie ilości sztucznych kwiatów i dekoracji na cmentarze. Do sklepów czy restauracji kupowane są rośliny plastikowe, a nawet zielone plastikowe „ściany” wykonane ze sztucznych kwiatów. Modna ostatnio sztuczna trawa w doniczkach, w łazience czy na balkonie, wydziela bardzo szkodliwe dla zdrowia węglowodory aromatyczne, czyli substancje rakotwórcze. Wystarczy ją powąchać w słoneczny, ciepły dzień i ten zapach sobie zapamiętać; to trucizna, nie lekarstwo.

Dobry kwiat

Łukasz Marcinkowski i Radosław Berent prowadzą przyjazną naturze kwiaciarnię Kwiaty & Miut na poznańskich Jeźcicach, są też właścicielami farmy ekologicznej pod Poznaniem. Hodują na niej dalej w 200 odmianach, 150 odmian róż ogrodowych, 50 odmian piwonii, wiele roślin jednorocznych i bylin.

– Nasza firma istnieje od 11 lat i przez ten czas na rynku kwiatowym zmieniło się wszystko – opowiada Łukasz Marcinkowski. – Na początku chcieliśmy mieć kwiaciarnię ze świeżymi kwiatami, które wtedy były trudno dostępne na polskim rynku. W 2014 r. posadziliśmy pierwsze kwiaty, wtedy nie wiedzieliśmy

jeszcze, że będziemy uprawiać je na tak dużą skalę. Dzięki mediom społeczeńściowym mogliśmy dotrzeć do dużej liczby odbiorców w Poznaniu i całej Polsce. Mogliśmy też podglądać florystów z całego świata i zobaczyć, z jakich kwiatów korzystają. Większość tych roślin nie była dostępna na polskim rynku, dlatego zaczęliśmy uprawiać je sami.

W opinii młodych florystów w ich branży nastąpił rozłam na tych, którzy stosują lokalne i sezonowe kwiaty, oraz na korzystających z kwiatów przemysłowych, z najmniej zrównoważonych upraw. – Na szczęście tak opiniotwórcze wydarzenie jak Chelsea Flower Show zakazuje używania gąbki florystycznej w ekspozycjach biorących udział w targach. Coraz częściej mówi się o korzystaniu z materiału florystycznego rosnącego obok nas i naszym zdaniem jest to przyszłość florystyki. Wiele farm uprawiających kwiaty organiczne pojawiło się w Stanach Zjednoczonych i Anglii, a teraz również w Europie – uspokaja Marcinkowski.

Dodaje, że drastycznie rosnące ceny energii dobiły wiele ogrodnictw w Europie, które przez cały rok uprawiały kwiaty w szklarniach. – Holenderskie lobby kwiatowe i kwiaty sprowadzane z innych kontynentów są teraz jedynym wyjściem, jeśli chcemy je sprzedawać w sezonach, gdy nie mamy własnych. Jeśli tylko jest to możliwe, kupujemy kwiaty od lokalnych ogrodników, którym udało

się przetrwać. Tulipany, róże, gerbery, anturium możemy kupić lokalnie zimą i to one trafiają do naszych bukietów na walentynki czy Dzień Kobiet. Jeżeli kupujemy importowane kwiaty, to staramy się, aby były z Europy: jaskry, anemony, mimoza, maki syberyjskie, kwitnące gałązki przyjeżdżają do nas z Włoch. Posiłkujemy się też kwiatami spoza kontynentu, ale jest to nie więcej niż 15%. Na Dzień Matki do naszych bukietów trafią na pewno tulipany, kalina, bez, irysy, orliki, pełniki z naszej farmy oraz cała plejada sezonowych kwiatów od polskich ogrodników.

Lidle, Żabki, Biedronki sprowadzają kwiaty po cenach dumpingowych.

Wiosną kompozycje z Kwiaty & Miut są rachityczne i ulotne, latem bujne, kwiatowe, a jesienią pełne przebarwionych liści, owoców i suszu. Ich autorzy piszą również książki. W najnowszej, zatytułowanej „Elementarz kwiatowy”, zamieścili mapkę z siecią kilkunastu farm uprawiających sezonowe kwiaty cięte. Kręci ich pomysł zbudowania lokalnego polskiego rynku dostawców kwiatów organicznych. „Czujemy się w obowiązku, jako młode pokolenie florystów w Polsce (ale też na świecie, bo

zrównoważona florystyka to wciąż niszowy trend), pokazać, że organiczna uprawa kwiatów w naszym kraju jest możliwa i opłacalna”, piszą.

Za Odrą działa ruch Slowflower, który propaguje uprawy pod gołym niebem, bez pestycydów i nawozów chemicznych, z nasion organicznych. Inna opcja to zakup bukietu z etykietą „Jestem stąd!” – czyli urosłem nie dalej niż 150 km od miejsca sprzedaży. Jedna na cztery róże sprzedawane w Niemczech jest certyfikowana przez Fairtrade. Kosztuje średnio 10% więcej niż kwiaty konwencjonalne, ale ta premia płynie

bezpośrednio do krajów produkcji. Farmy certyfikowane przez Fairtrade powinny zapewnić pracownikom płace minimalne, świadczenia socjalne, bezpieczeństwo pracy, przestrzegać norm ekologicznych, takich jak zrównoważona gospodarka wodna, jak również trzymać się listy dozwolonych pestycydów, a w przypadku ich stosowania zapewnić pracownikom odzież ochronną.

Z pomocą Fairtrade-Blumen-Finder można się dowiedzieć, gdzie kupić kwiaty ze zrównoważonych gospodarstw. W samym Berlinie wyszukiwarka pokazuje 71 miejsc, w Niemczech – 3416. W ankietach niemieccy konsumenci podkreślają, że kwestie społeczne i środowiskowe są dla nich ważne, ale kiedy widzą na półce tańsze kwiaty, kupują je.

Prof. Salachna podsumowuje: – Najlepiej kupować polskie kwiaty, od polskich producentów, sezonowe. Powinniśmy pytać w kwiaciarni, skąd są i przed iloma dniami zostały ścięte. Powinny być świeże, naturalne, bez sztucznych dodatków. Zamiast kompozycji w gąbce wybierajmy bukiet wiązany w ręce z dużej ilości kwiatów. Sezonowe kwiaty cięte są coraz modniejsze (fenomen piwonii, hortensji czy dali) i to jest światło w tunelu.

Nauczyliśmy się wręczać kwiaty główką do góry. Teraz uczmy się kupować je z głową.

Zuzanna Muszyńska
z.muszynska@tygodnikprzeгляд.pl

Łukasz Marcinkowski, Radostaw Berent
Elementarz kwiatowy
Wydawnictwo Miut, Poznań 2023

Elementarz kwiatowy to podstawowa wiedza o kwiatach, które z powodzeniem można uprawiać w naszym klimacie. Ponad 80 inspiracji, jak je ułożyć. Ponad 100 rodzajów opisanych roślin. Ponad 200 sportretowanych odmian. Książka pokazuje, jak można łączyć pasje i umiejętności: zrównoważone ogrodnictwo i miłość do natury, florystykę i zachwyt kwiatami, fotografię i podziw dla mistrzów sztuki, potrzebę tworzenia i pomysły na kwiatowe aranżacje. Autorzy dzielą się doświadczeniem i z kwiaciarni, i z ogrodu. Czytelnik znajdzie tu porady, jak pielęgnować kwiaty cięte i przedłużać ich żywotność, które gatunki warto uprawiać w swoim ogrodzie i na tarasie, oraz krótką lekcję biologii dla początkujących – opisaną w przystępny sposób anatomię roślin i morfologię kwiatów.



Konrad Malec

Jesienią przy Pałacu Kultury i Nauki w Warszawie pojawiła się pokrzewka aksamitna, ptak, który w Polsce zagościł po raz czwarty. Szybko stała się sensacją, otoczoną przez kordon ptasiarzy z aparatami rozmiarów granatnika komendanta Szymczyka. Z czasem zainteresowanie opadło, a pod PKiN została garstka miłośników, którzy pomagają przetrwać ptakowi na obczyźnie.

Celebrytka

Teren wokół PKiN znany jest z nie-zwykłych obserwacji przyrody. Stołeczny miłośnik ptaków Krzysztof Koper doliczył się ponad 70 gatunków na powierzchni kilkuset metrów kwadratowych! Notowano m.in. świerszczaka, bączka czy lelka, których zwykle nie widuje się w centrach miast. Skąd tu się wzięły? Jedni uważają, że wędrując wzdłuż Wisły, nieco zboczyły z trasy. Drudzy widzą w nich rozbitków, którzy zderzyli się z pałacem. To wydaje się bardziej prawdopodobne, bo kolizje znane są od początku istnienia nestora stołecznych drapaczy chmur. Innymi nietypowymi gośćmi są pokrzewki, jak jarzębatka, rzadko spotykana w miastach, czy piegża, często zamieszkująca parki i ogrody. Ich obecność nie byłaby sensacją, gdyby nie obserwacje jesienią i zimą, bo zwykle ptaki te znikają wraz z nadejściem lata. Ponoć trzymają je tu podmuchy ciepłego powietrza z tuneli metra.

8 października ubiegłego roku Michał Kowalczyk wypatrzył pokrzewkę aksamitną przy stacji metra Centrum, na terenie zwanym przez warszawiaków „patelnią”. W kolejnych tygodniach „patelnia” przeżyła oblężenie. Zjechały tłumy ptakolubów z kraju i państw ościennych. Nic dziwnego, najbliższe stanowiska tego ptaszora są w Rumunii, ale właściwy obszar występowania obejmuje Morze Śródziemne z przyległościami. I ja tam byłem, i ja się gapilem, ale nic nie wypatrzyłem, przynajmniej nie od razu. Udało mi się dopiero, gdy gość przestał skupiać masową uwagę. Ptasiarze budzili ciekawość



Aksamitek

Jest odmieńcem, siedzi na kuprze lub migruje na niewielkie odległości

postronnych, pytających, na co patrzymy. Reakcje były różne, od pytania o ptaka, przez śmiech, wzruszenie ramion, po agresję słowną. Warto przypomnieć, że początek oblężenia zbiegł się z finiszem kampanii wyborczej, a według pisowskiej propagandy miłośnicy przyrody to brukselskie pacholki, za 400 eurośw dziennie przykuwający się do drzew.

Tymczasem w polskiej tradycji ochrona przyrody (jej niszczenie także) odbywała się ponad podziałami partyjnymi, a historycznie osoby o poglądach konserwatywnych chyba miały największy w niej udział. Sam włączyłem się w działania ochroniarskie w połowie lat 90. i choć wówczas konserwatyści w ochronie przyrody byli mniejszością, to wyraźnie zauważalną. Zmieniła to dopiero propaganda PiS, która dla doraźnych korzyści przeniosła nad Wisłę ideologię Tea Party, skrajnie prawicowej frakcji amerykańskiej Partii Republikańskiej. W tej ideologii ochrona środowiska to lewactwo. Tymczasem w naszej

tradycji ochrona przyrody wyrastała z umiłowania swojskości i rodzimego krajobrazu oraz była aktem patriotyzmu wymierzonym w zaborców.

W przyrodzie duża liczba ofiar przywabia drapieżniki, stado ptasiarzy wytropili dziennikarze. Ptasek trafił do gazet i głównych wydań programów informacyjnych. Tak dorobił się ksywki Celebrytka, a później Aksamitek.

Turysta

Polskę zamieszkuje pięć gatunków pokrzewek, w tym wspomniane jarzębatki i piegże. Większość pokrzewek, w tym wszystkie krajowe, to gatunki wędrowne (choć kapturka coraz częściej zostaje na zimę w cieplejszych rejonach kraju). Aksamitek jest odmieńcem, siedzi na kuprze lub migruje na niewielkie odległości. Co zatem Celebrytka robi tysiąc kilometrów od najbliższych stanowisk? Nie wiadomo, ale wówczas na południu silnie wiało, możliwe że przypadkiem wiatr uczynił

z niej turystkę. W swojej ojczyźnie zamieszkuje tereny otwarte i półotwarte z gęstymi krzewami. W nich wije gniazdo, nisko nad ziemią, zachowując równość płci przy budowie, wysiadywaniu jaj i opiece nad młodymi. No prawie, bo jaja składa tylko mniej strojna pteć. U ptaków częściej samce uchodzą za ładniejsze i tak jest u aksamitek. Panowie są bardziej wyraziści, mają czarne łebki, a na reszcie ciała odcienie szarości i beżu są bardziej kontrastowe niż u pań. Za to obie płcie mają obłądnie czerwoną obrączkę powiekową, z brązowym okiem. Kończąc kwestie równości, wewnętrznym wykończeniem gniazda również zajmują się panie. Samo gniazdo ma kształt koszyčka z patyczków, czyli jak u naszych pokrzewek, ale z większą ilością traw. Całość zszyta jest pajęczą przędzą, spoiwem charakterystycznym dla pokrzewek.

Możliwe, że ptak zadomowił się na „patelni” z innego powodu, uchodzi on za zmarzlucha. W północnej części zasięgu, podczas mroźnych zim, populacje aksamitków potrafią spaść o połowę. Tak było we Francji zimą 1945/1946 i 1961/1962. Z tego powodu panuje mniemanie, że ocieplenie klimatu mu sprzyja. Rzeczywiście można zaobserwować przesunięcia zasięgów na północ i częstsze występowanie tych ptaków bliżej północnej granicy. Szczególnie dobrze udokumentowali to bułgarscy i rumuńscy ornitolodzy. Warto przy tym zauważyć, że w Afryce obserwowany jest spadek masy ciała i związane z tym obniżenie kondycji aksamitków. Możemy zatem podejrzewać, że w południowej części zasięgu gatunek zaczyna zanikać. Jednak w skali globalnej gatunek nie jest zagrożony, liczy 16-25 mln par i uważa się, że ich przybywa. W każdym razie część ornitologów sądzi, że dzięki ciepłu z metra ptak nie zamarł i mężnie trwa na „patelni”, mimo że pozostałe pokrzewki dały stamtąd dyla, choć po terminie.

Możliwe jest inne wyjaśnienie: nie ptak marźnie, lecz jego pokarm. Wprawdzie pokrzewki spożywają nieco owoców, a „patelnia” otoczona jest irgami, różami i berberysami, ale

jego głównym pokarmem są owady i pająki. Tylko skąd wystarczająca ilość tychże na „patelni”, zwłaszcza że smakoszy jest tam więcej?

Grupa wsparcia

Gdy na Facebooku pochwaliłem się spotkaniem z Celebrytką, odezwał się Franek, uczestnik moich zajęć. Okazało się, że należy do grupy „Dokarmianie pokrzewki” w Messengerze, do której gościnnie dołączyłem i... poznałem ludzi rozkochanych w nietypowym gościu. Ludzie skupieni w grupie ustalają ochotnicze dyżury, kupują larwy mącznika i dokarmiają Aksamitka, a przy okazji rudzika i innych mieszkańców „patelni”. – Pokochałam tego ptaszka, zaprzyjaźniłam się z rudzikiem, potem doszły wróble i Karole (tak na grupie określa się gołębie) – wspomina Mita.

– Robiłam zdjęcia w czasie pierwszego śniegu i zobaczyłam, jakiego pokarmu szuka. Wtedy zrozumiałam, że trzeba mu pomóc – wspomina Jola, założycielka grupy, i kontynuuje: – Miałam w domu torebkę mączników, którymi dokarmiam ptaki

– wspomina Jola. Wówczas grupowicze zorientowali się, że ptak nauczył się ich głosów, jednocześnie zauważyli, że nie reaguje na obce głosy. Podobnie jak unika spotkań z nieznanymi. – Kiedyś Mita rozmawiała z handlarzem sznurowadeł, gdy zobaczyła go pokrzewka, nie podleciała – relacjonuje Monika.

W ten sposób amatorzy uczą się o ptakach w ogóle. Rzeczywiście większość ptaków rozpoznaje ludzi po ubiorze, tylko nieliczne poznają twarze. Słuch służy ptakom do rozpoznawania konkretnych osobników czy własnych piskląt, jeśli te są w kolonii. Jak widać, są w stanie poznać po głosie również nas. – Cieszymy się, że ma ograniczone zaufanie do ludzi, bo ci są różni – wyjaśnia Monika. – To jest dziki ptak i takim ma pozostać – dodaje Ireneusz.

Najbardziej dramatycznie było, gdy temperatura spadła do minus 16 st. Grupowicze zastanawiali się, czy nie odłowić ptaka do azylu. – W takich chwilach działają emocje – wyjaśnia Monika. – Mam kontakt z osobami siedzącymi w ptakach od 40 lat. Skonsultowałam się z nimi i odwiedli nas od tego, powiedzieli,

Jesienią przy Pałacu Kultury i Nauki pojawiła się pokrzewka aksamitna, ptak, który w Polsce zagościł po raz czwarty.

w okolicy. Po powrocie zamieściłam apel na FB. A że przy Aksamitku poznałam sporo ludzi, to założyliśmy grupę. Sporo dyżurów prowadzi Mita, która wspomina: – Pamiętam, jak przyszedłam po pierwszych mrozach i go nie było. Do dziś stają mi łyzy w oczach na to wspomnienie, a przecież on jest i ma się dobrze.

Żadna osoba w grupie nie jest zawodowym ornitologiem, to miłośnicy ptaków na różnym etapie wtajemniczenia. – Zawsze przychodzę tak samo ubrana, ale raz wypręłam kurtkę i przyszedłam w innej. Na mój głos ptak się pojawił, ale kiedy mnie zobaczył, natychmiast się skrył – wspomina Mita. – Nie przywoływałyśmy go, nie chcieliśmy go oswajać, ale wołałam rudzika „Rudi, rudi” i rudzik przyleciał. Natychmiast pojawił się Aksamitek i go przepędził

że póki daje sobie radę na wolności, to lepiej, by tam został. Grupowicze konsultowali się także z azylem przy warszawskim zoo.

Przy okazji karmienia aksamitka ochotnicy karmią innych mieszkańców „patelni”. Poza larwami mają proso, słonecznik i inne przysmaki, korzystają z tego wróble, gołębie, rudzik i... szczury. Te ostatnie nie są karmione intencjonalnie. W ojczyźnie Celebrytki szczury są jednymi z głównych drapieżników (wraz ze sztucznymi wprowadzonymi kotami i naturalnymi tam węzami). – Raz zobaczyłam Melchiora (tak grupowicze nazywają szczury), niósł w pyszczku coś wielkości i koloru Aksamitka. Poczułam, jak włosy mi siwieją, bo nigdzie go nie było. Na szczęście pojawił się, nim wszczęłam alarm – wspomina Mita.

► Szczury wędrowne pochodzą z południowo-wschodniej Azji, ale wraz z człowiekiem rozprzestrzeniły się po całym świecie, przy okazji wypierając wiele gatunków. Także u nas są inwazyjnym gatunkiem obcym, a przy okazji darmowym transportem dżumy, tyfusu i kilku innych nieprzyjaciół ludzkości. W gratisie niszczą plony i zanieczyszczają magazynowaną żywność. Z tych powodów podlegają obowiązkowemu zwalczaniu przez zarządców i właścicieli nieruchomości.

Dokarmianie Aksamitka ma też krytyków. Jedni są w ogóle przeciwnikami dokarmiania ptaków. Drudzy zarzucają grupowiczom, że karmią go dla zdjęć. To szczególnie dotyka niosących pomoc. – Idąc tym tokiem myślenia, osoba karmiąca sikorki i robiąca im przy okazji zdjęcia zachowuje się nietetycznie – oburza się Franek i dodaje:

– Pokrzewkę zobaczyłem jesienią, a pierwsze zdjęcie zrobiłem w grudniu. Podobnie było z innymi osobami, najpierw pojawiła się chęć niesienia pomocy, dopiero potem przyszło robienie zdjęć. Jednocześnie grupowicze stali się nieoficjalnymi strażnikami spokoju ptaka. Gdy Monika zobaczyła człowieka wabiącego głosem pokrzewkę, zwróciła mu uwagę. Wabienie ptaków jest nieetyczne, ptaki

zużywają energię do odpędzania potencjalnego rywala. A poza tym, jak mówi Ireneusz, w październiku wszyscy stali po pięć godzin, by zobaczyć go przez pięć sekund, teraz wystarczy poczekać, sam się pokaże.

Szklane ściany

19 października doszło do dramatu. Na oczach licznych podglądaczy Aksamitek zderzył się z wiatą warszawskiego metra, po czym spadł do kosza na śmieci. Miał szczęście, wyszedł z tego tylko oszołomiony, ale zderzenia ze szklanymi powierzchniami są jedną z najważniejszych przyczyn śmiertelności ptaków.

Ptaka uchodzi za zmarzlucha. W północnej części zasięgu, podczas mroźnych zim, populacje aksamitków potrafią spaść o połowę.

W skali globu co roku ginie w ten sposób kilkanaście miliardów osobników! Wstępne badania z Polski wskazują, że tylko w zderzeniach z wiatami przystankowymi może ginąć milion ptaków rocznie! Problem zaistniał wraz z pojawieniem się w połowie XIX w. szkła ciągnionego. Wynalazkowi sprzyjała stosunkowo niska cena i zapotrzebowanie fabryk, które dzięki dużym oknom

i świetlikom były lepiej doświetlone. Początkowo skala nie była duża, raz że nie wszystko od razu przeszklono, dwa że szkło początkowo było niedoskonałe. Problemem jest też efekt lustra, gdy szyby odbijają otoczenie. Często spotykam się ze zdziwieniem, jak to możliwe, że ptaki tego się nie nauczyły. Niecałe 200 lat to w skali ewolucyjnej mrugnięcie powieką, ptaki nie miały szans nauczenia się nowych zjawisk.

Paradoksalnie recepta jest prosta, wystarczy nakleić na szyby niewielkie kropki. Propagowaniem tej metody i dystrybucją kropek zajmuje się Fundacja Szklane Pułapki. Fundacja kilkakrotnie proponowała Zarządowi

Transportu Miejskiego w Warszawie oklejenie m.in. wiaty przy „patelni”. Niestety, ZTM nie wykazał zainteresowania, tłumacząc, że po pewnym czasie naklejki mogą odpaść (choć są odporne na mycie ciśnieniowe!), enigmatyczną „ingerencją w wiaty” i prawami autorskimi. Estetyce tej konstrukcji trudno zaszkodzić, a nawet jeśli naklejki by odpadły, to koszt ich ponownego umieszczenia jest nieznaczny. Wygląda to na wymówkę, ale dla sprawiedliwości zaznaczę, że nowe wiaty przystankowe są już fabrycznie zabezpieczone przed kolizjami. I tu uwaga – popularne naklejki ze stylizacjami sokołów, np. na ekranach akustycznych, nie rozwiązują problemu. Ptaki widzą, że to nie jest prawdziwy drapieżnik, a same naklejki zajmują zbyt małą powierzchnię.

Jeśli zaczynamy karmić ptaki, to ponosimy za nie odpowiedzialność, czyli karmimy przynajmniej do końca chłodnego sezonu i tak deklarują grupowicze. Co potem? – Życzymy jej jak najlepiej, jeśli wróci do swoich, to świetnie, a może zostanie i założy rodzinę? – marzy Ireneusz. – Przywieź nam samiczkę – śmieje się Jola do Moniki, która wybiera się oglądać ptaki na Cyprze.

Konrad Malec





Wieczne odpoczywanie

Wojciech Kuczok

Internet? Co to takiego?

Siedzę przy felietonie, niech mnie który przegoni. W tym samym czasie siedzą filmowcy u Sienkiewicza, by wyjaśnić tajemnicę, jak to możliwe, że jesteśmy jedynym krajem w Europie, który ustawę o prawie autorskim wciąż ma skonstruowaną wedle realiów z zeszłego stulecia? Czyżby to ręka i jakim wiedzioną motywem skreśliła z ustawy tantiemy za eksploatację dzieł w internecie? To jest tak niebывały i bezczelny ruch, że od morza do Tatr śmierdzi korupcją. Jestem filmoznawcą z wykształcenia i pasji, ale telewizora nie używam wcale, a do kina chodzę z rzadka, kiedy syn zaciągnie mnie na baję z popcornem. Mój codzienny kontakt ze sztuką filmową dokonuje się poprzez platformy streamingowe – to wersja najwygodniejsza i najbardziej ekonomiczna. Internet staje się nieodwracalnie głównym polem eksploatacji filmów i seriali. Tymczasem nowy rząd chce różnić głupa i przy okazji orżnąć twórców. Obecny minister kultury, lubujący się w zgrywaniu zimnego szeryfa, dotąd unikał konfrontacji z twórcami w rzeczowej sprawie, przytępiana zaś na sejmowych korytarzach wiceministra zaprezentowała pełną gamę mimiczną definiującą zakłopotanie.

Jest czwartek, dziewiąta pięć, kilka minut temu miało się rozpocząć spotkanie kultura – Sienkiewicz w sprawie tajemniczego zniknięcia internetu z projektu ustawy. Wykreślenie pradziada pana ministra z listy lektur obowiązkowych w dziedzinie sienkiewiczowskich skreślić w zupełności wystarczy. Podpunkt dotyczący tantiem za streamingi musi do ustawy wrócić.

Mam poważne obawy, że wracają czasy, gdy liberalny rząd stosował wobec ludzi kultury sprawdzoną taktykę: kiedy chodzi o pieniądze, to nie wiadomo, o co chodzi. Głosowałem na koalicję demokratów pod wodzą Tuska, mimo że doskonale pamiętam, gdzie konkretnie jego poprzedni rząd miał kulturę; głosowałem pomimo tego, że obecny premier już raz zamachnął się skutecznie na nasze 50% kosztów przychodu w umowach autorskich; głosowałem, choć pomny jestem tego, jak mnie szlag trafiał na biznesmenelskie głędzenie, że sztuka to produkt jak każdy inny, żelazna ręka rynku wszystko sama ureguje, dlaczegożby państwo miało dotować autorów, których dzieła się nie sprzedają? Był czas,

kiedy pytany o to, czym się zajmuję, odpowiadałem bez szczególnej dumy, ale i wahania: „Piszę”. Natychmiast po tym padało drugie pytanie, czasem zadawane z troską, częściej protekcjonalnie: „A można z tego żyć?”. Długo mi się udawało, ale zawsze odpowiadałam asekuracyjnie: „Nie jest łatwo, na szczęście państwo wspiera artystów”. Było to raczej zaklinaniem rzeczywistości, ale moi rozmówcy z tonu lekceważącego przechodzili wtedy płynnie do z trudem maskowanego obruszenia: „Cholera, też bym tak chciał, że też mnie nikt nie wspiera”.

PiS przez swoje dwie kadencje dewastowało Polskę nie tylko politycznie, ale także próbowało czynić szkody w dziedzinie kultury – przekonane, że walczy o nią, tak naprawdę walczyło z nią. Krótka, by nie rzec pusta ławka wybitnych twórców o prawicowych poglądach nie zraziła kaczystowskiego ministra kultury – opętany idée fixe zrównoważenia kursu światopoglądowego

Wracają czasy, gdy liberalny rząd stosował wobec ludzi kultury sprawdzoną taktykę: kiedy chodzi o pieniądze, to nie wiadomo, o co chodzi.

w sztuce, tępił wszelkie przejawy lewactwa i obsadzał instytucje miernotami przymilnymi władzy. Cokolwiek by jednak o tych pokracznych kadencjach powszechnie wygwizdywanego i wyklaskiwanego na salonach Piotra Glińskiego powiedzieć, nie można uznać, że PiS kulturę ważyło sobie lekce. Rozpaczliwie chciało ją przepoczwarzyć, nie zdając sobie sprawy, że artyści są zwykle przekorni i z władzą zadzierać lubią, nie mając świadomości, że od watykańskiego mecenatu nad freskami Michała Anioła naprawdę upłynęło trochę czasu i malarstwo sakralne nie jest współcześnie naczelnym nurtem sztuki, a wychowywanie młodzieży patriotycznej przez ramoty o żołnierzach wyklętych jest kiepskim pomysłem. Odesłaliśmy kaczysm na śmietnik historii między innymi po to, żeby nie musieć już bucieć na ministra kultury. Wciąż mam nadzieję, że to nie będzie konieczne. ■

Poprzednie felietony na tygodnikprzeгляд.pl

Kornel Wawrzyniak

Program Szczepień Ochronnych w naszym kraju obejmuje dzieci i młodzież do 19. roku życia. Szczepienia te są finansowane ze środków publicznych. Inaczej jest w przypadku dorosłych, którzy muszą płacić za większość szczepień z własnej kieszeni. – Jak najszybciej należy wprowadzić kalendarz szczepień ochronnych dla dorosłych, podobny do tego dla dzieci i młodzieży – mówi prof. Marcin Czech, prezes Polskiego Towarzystwa Farmakoekonomicznego.

(Niezbýt) powszechne szczepienia

Z danych wynika, że większość dorosłych nie szczepi się wcale. Dwoma najczęstszymi tego powodami są kwestia finansowa oraz brak

W przypadku krztuśca, tężca czy błonicy mamy do czynienia ze stopniowym wygasaniem odporności.

wiedzy o szczepieniach przeciwko chorobom zakaźnym, które powinno się robić niezależnie od wieku. Powszechnie uważa się, że przyjęcie szczepionki w dzieciństwie wystarcza na całe życie. Jak się jednak okazuje, odporność po przyjęciu części preparatów spada wraz z wiekiem. Stąd potrzeba przyjmowania dawek przypominających, które odnawiają działanie szczepionek przyjętych przed laty. Przeciwko niektórym chorobom trzeba się szczepić nawet co roku. Dochodzą też nowe szczepienia, które pojawiły się w programach profilaktycznych dopiero kilka lat temu, więc część dorosłych nie miała wcześniej okazji, aby im się poddać.

„Nikt nie twierdził, że szczepionki podawane w dzieciństwie działają do końca życia. To, że po latach wygasa odporność na chorobę u osób, które się na nią szczepiły, jest zjawiskiem naturalnym”, mówił na łamach „Rzeczpospolitej” dr n. med. Paweł Grzesiowski, ekspert Naczelnej Rady Lekarskiej do spraw zagrożeń epidemicznych.

Szczepienia dorosłych

Nie wszystkie szczepionki działają przez całe życie. Część trzeba odnawiać

Oczywiście są szczepienia, które po przyjęciu ich w dzieciństwie dają ochronę na całe życie. Między innymi przeciwko gruźlicy, wirusowemu zapaleniu wątroby typu B, odrze, śwince, różyczce czy *Haemophilus influenzae* typu B.

Równie istotne jest to, że poszczególne szczepionki pojawiają się w kalendarzu obowiązkowych szczepień w innym czasie. W 2017 r. do kalendarza szczepień dodano szczepionkę na pneumokoki, w 2021 r. zaś pojawiła się szczepionka na rotawirusy. „Rzeczpospolita” opisywała, że ostatnie przypadki zachorowań

w nim uwzględnić zarówno szczepionki obowiązkowe, jak i te zalecane, bezpłatne. Warto wziąć przykład z krajów, które już pewien czas temu skonstruowały taki schemat szczepień dla dorosłych. Jeśli chcemy odnieść sukces populacyjny, musimy działać szybko – twierdzi prof. Czech.

Za wzór stawiany jest program profilaktyczny obowiązujący w Stanach Zjednoczonych. Amerykanie bardzo dokładnie rozplanowali zalecenia szczepień z podziałem na grupy wiekowe i poszczególne choroby. Dzięki takiej praktyce już z poziomu lekarza pierwszego kontaktu można zaoferować pacjentowi uzupełnienie odpowiednich szczepień na każdym etapie życia, niezależnie od tego, czy jest dzieckiem, osobą starszą lub w średnim wieku. Podobnego zdania jak prof. Czech jest dr hab. n. med. Ewa Augustynowicz z Narodowego Instytutu Zdrowia Publicznego – PZH. – Innych szczepień wymagają osoby z chorobami przewlekłymi, innych zaś kobiety w ciąży. Każda grupa ryzyka, w każdym wieku, powinna mieć dopasowany do siebie kalendarz szczepień – stwierdza specjalistka.

Kasa szczepionych

– Mamy coraz więcej zalecanych szczepień dla dorosłych, ale co z tego, skoro dostęp do nich jest wciąż trudny. Pacjent często musi sam za nie zapłacić, ale przede wszystkim najpierw musi się o nich dowiedzieć. Tymczasem lekarze pierwszego kontaktu rzadko informują o istniejących możliwościach w zakresie szczepień, mimo że dla niektórych dorosłych pacjentów szczepienie jest wręcz koniecznością ze względu na szczególne ryzyko zdrowotne – mówi dr Paweł Grzesiowski. Według specjalisty trzeba wprowadzić nowy sposób finansowania szczepień, w którym jasno

na odrę w Polsce dotyczyły w dużej mierze osób z roczników 1974-1977. W tamtych latach dzieciom aplikowano tylko jedną dawkę szczepionki. Dopiero w 1978 r. zaczęto podawać dzieciom dwie dawki, które w pełni zabezpieczają przed zachorowaniem. Opisana sytuacja doskonale obrazuje, że część dorosłych może być pozbawiona odporności na pewne choroby, których nie było w kalendarzu szczepień w ich dzieciństwie.

Według naukowców warto też się doszczepiać. W przypadku krztuśca, tężca czy błonicy mamy do czynienia ze stopniowym wygasaniem odporności. Dlatego na wymienione choroby można zachorować wielokrotnie. Obecnie rekomenduje się, aby te szczepionki odnawiać co 5-10 lat. Pozostaje też coroczne szczepienie się przeciwko grypie.

Eksperci apelują, aby upowszechnić wiedzę o szczepieniach ochronnych wśród dorosłych. Optują też za stworzeniem kalendarza szczepień dla dorosłych wzorem tego dla dzieci i młodzieży. – Należałoby



będzie określone, za co się płaci z środków państwowych, a za co z pieniędzy samorządowych.

Finansowanie szczepień z budżetu państwa stoi w Polsce na bardzo niskim poziomie. Średnia europejska dla jednego obywatela to 1203 euro. W Niemczech koszty szczepień ochronnych wynoszą 3 tys. euro, w Grecji 1,7 tys. euro, w Rumunii 511 zaś nad Wisłą tylko 350 euro. Według specjalistów zrealizowanie kalendarza szczepień przez dorosłego, w którym znalazłyby się niemal wszystkie dostępne szczepionki, to dziś koszt 5-6 tys. zł. To zaś stawia w bardzo trudnej sytuacji osoby z grup wysokiego ryzyka, do których należą m.in. osoby po 65. roku życia, po przeszczepach, pacjenci onkologiczni czy z chorobami hematologicznymi. Równie wysokim ryzykiem obarczone są osoby wykonujące takie zawody jak lekarze, pielęgniarki, rolnicy, weterynarze czy przedszkolanki. Większość z nich nie ma jednak szans na osobny program szczepień skierowanych do ich grupy zawodowej. Również nie wszystkie choroby przewlekłe znajdują się na liście wskazań do bezpłatnych szczepień.

1 października 2023 r. Ministerstwo Zdrowia wprowadziło rozporządzenie, z którego wynika, że bezpłatnymi szczepieniami ochronnymi objęto nową grupę pacjentów. Są to osoby po przeszczepieniu komórek krwiotwórczych, z zaburzeniami czynności śledziony lub kompletnym jej brakiem. Zaleca się m.in. zestaw szczepień przeciwko: błonicy, pneumokokom, krztuścowi, śwince, odrze, różyczce, tężcowi czy wirusowemu zapaleniu wątroby typu B. W tym samym rozporządzeniu zawarto zalecenie, aby

szczepić osoby powyżej 60. roku życia przeciw RSV (chorobie dolnych dróg oddechowych wywołanej przez syncytialny wirus oddechowy). Osoby po pięćdziesiątce mają zaś rekomendację, aby szczepić się w ramach profilaktyki zachorowania na półpaśca. Ministerstwo Zdrowia informuje zaś, że od 1 stycznia 2024 r. szczepionka przeciw półpaścowi i neuralgii półpaścowej jest dostępna z 50-procentową refundacją dla pacjentów powyżej 65 lat z grup ryzyka. Szczepionka Shingrix kosztuje 375,53 zł za jedną dawkę. Pełne szczepienie to dwie dawki preparatu. Wynika z tego, że z refundacją zapłacimy za szczepienie ponad 700 zł, a bez niej – ponad 1,5 tys. zł.

Na co i kiedy się szczepić

Specjaliści zalecają przede wszystkim uzupełnić szczepienia osobom niezaszczepionym przeciwko odrze, śwince, różyczce, które pominięły te szczepienia obowiązkowe lub ich drugą dawkę i nie przechorowały wymienionych chorób. Dla podróżników najważniejsze są szczepienia przeciwko wirusowemu zapaleniu wątroby WZW typu A. Wszystkim dorosłym zaleca się również szczepienie przeciwko WZW typu B. Osobom lubiącym pracę w ogrodzie lub uprawiającym sporty zaleca się szczepić przeciwko tężcowi. Patogen może wnikać z ziemi do krwi przez ranę choćby na dłoni czy kolanie.

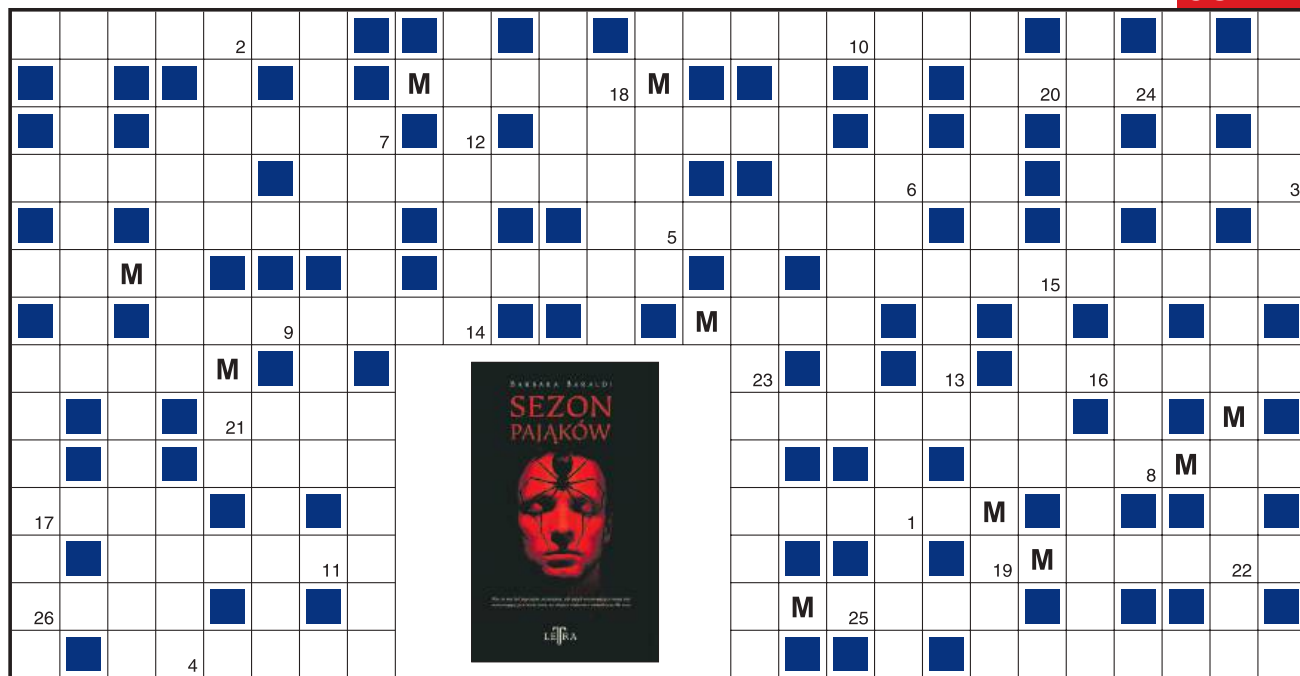
Osobną historią jest szczepienie przeciwko grypie. To bardzo lekceważona w naszym kraju szczepionka. Jak już wspominaliśmy, to szczepienie, które trzeba odnawiać co roku. Jest szczególnie zalecane dla osób

z chorobami układu sercowo-naczyniowego lub po przebytych zawałach, po przeszczepie narządu, z obniżoną odpornością oraz dla osób mających zawodowy kontakt z dziećmi lub osobami w szóstym roku życia lub osobami w wieku podeszłym. To samo dotyczy pensjonariuszy domów pomocy społecznej czy mieszkańców domów spokojnej starości. Szczepić się przeciw grypie powinny osoby powyżej 55. roku życia.

Wbrew obiegu opinii grypa nie jest mocniejszym przeziębieniem, a jej ciężki przebieg może skutkować nawet zawałem. Przeróżające się więc statystyki, z których wynika, że zaledwie 7% Polek i Polaków szczepi się co roku na grypę. To daje nam jedno z ostatnich miejsc w Europie. I chociaż trudno mieć pretensje do kogoś o to, że nie wie o szczepieniu na pneumokoki lub nie ma 1,5 tys. zł na szczepienie przeciwko półpaścowi, to niezaszczepienie się na grypę jest, ujmując delikatnie, lenistwem. Zwłaszcza że szczepienia przeciwko grypie jako jedno z niewielu są co roku promowane, a ich koszt jest niewielki lub żaden.

Na koniec pozostaje kwestia skrajnej ludzkiej głupoty, wyrażająca się w postawie antyszczepionkowców. Tylko w 2022 r. 6399 osób uchyliło się w Polsce od szczepień. W ciągu pięciu lat liczba niezaszczepionych dzieci wzrosła ponad dwukrotnie. Być może skuteczną karą będzie podniesienie kwoty grzywny za niezaszczepienie dziecka. Dziś to 1,5 tys. zł. Pytanie, czy problemem jest zbyt niska kara, czy opieszałość państwa w egzekwowaniu prawa.

k.wawrzyniak@tygodnikprzeglad.pl



1	2	3	4	5	6	7	8	9	10	11	12	13	14	15	16	17	18	19	20	21	22	23	24	25	26
---	---	---	---	---	---	---	---	---	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----

Objaśnienia są podane w kolejności alfabetycznej odgadrywanych wyrazów.
Miejsce wpisu do odgadnięcia. Wszystkie litery M ujawniono.
Litery z pól ponumerowanych od 1 do 26 utworzą końcowe hasło.

- polityczne namawianie
- tkanina z krótkim, miękkim włosiem
- fioletowa odmiana kwarcu
- strzałami wywołuje uczucie
- specjalista od budowy organizmów
- kładzie czarną nawierzchnię

- wojskowa honorowa podczas uroczystości
- stolica w delcie Menamu
- masz to jak w nim – na pewno
- wąska tabliczka z nadzieniem
- proteina
- chiński, rzymski lub Etiopii

- złoty czczony przez Izraelitów
- owoc taki jak grejpfrut
- wkrótce jego zmiana na letni
- imię malarza Dwurnika
- śnieżnej kuli lub domina
- naruszenie spokoju, norm zachowania
- aktorka Barszczewska, Jaworowicz z telewizji
- zakończył już okres pracy
- smażona, posypana cukrem wstążeczka
- dekoracyjny pas u góry elewacji
- ...Kopernika – Toruń
- związek kupiecki miast w średniowieczu
- traktowanie jak zabawę, lekceważąco
- coś, co pobudza do działania

- dobra do czyszczenia, polerowania
- na nim kubki smakowe
- męski but z krótką cholewką
- składany fotel na łono natury
- wodna lub złotogłów
- pigulek, łez lub ślinki
- biała plama od czoła do nozdrzy konia
- zastój, inercja
- bardzo drobny węgiel
- jest nim buddyjska nirwana
- stopy miedzi z nim na monety
- słupek, szpilka lub kacuszka
- wprowadzenie powietrza do jam ciała
- „Biały...” z Pfeiffer i Zellweger
- metal na śrut
- obwódka, obramowanie
- wędruje na własnych nogach
- jej lub Doriana Graya w tytułach

- ostatni król Troi
- można w niego komuś się wyplakać
- grzyb z piosenki Heleny Majdaniec
- artystyczne lub drobna wytwórczość
- obrotowa albo małżeńska
- z Charybdą
- skrzyżny lub rozkroczny
- na... załamania bywa się
- i zatarg, i zwarcie elektryczne
- metalowa listwa do zamykania drzwi
- kabuki – klasyczny japoński
- nazywany fałszywą truflą
- ...pokerzysty nie zdradza emocji
- łączyła Polskę i Litwę
- przez... na kogoś można coś zrobić
- parzone dla zdrowia
- w nowej wersji z Leszkiem Lichotą
- wyszedł na słoneczko w zielonym płaszczku

KUPON JOLKI „Przeglądu”

hasło:

imię i nazwisko:

adres:

Ja, niżej podpisany(a), wyrażam zgodę na przetwarzanie moich danych osobowych przez Fundację Oratio Recta z siedzibą w Warszawie, ul. Inżynierska 3 lok. 7, 03-410 Warszawa, w celu niezbędnym do rozwiązania jolki w „Przeglądzie”, opublikowania moich danych osobowych na łamach tygodnika w razie wygranej i przesłania mi nagrody. Oświadczam, że zostałem(am) poinformowany(a) o dobrowolności podania danych osobowych, o prawie wglądu do moich danych, prawie do ich poprawiania i usuwania.

data, miejscowość

czytelny podpis

Rozwiązania samego szyfru prosimy nadsyłać na adres redakcji w ciągu 14 dni od daty ukazania się numeru, z dopiskiem: „JOLKA-1159”. Do rozlosowania książki „Sezon pajaków” ufundowane przez Wydawnictwo Arkady. Rozwiązanie można też wysłać, pisząc SMS: KRPRZ.XXX.HASŁO KRZYŻÓWKI. Należy stosować litery, cyfry i kropki, wielkość liter nie ma znaczenia, w miejsce XXX wpisać numer krzyżówki. Osoby nadsyłające rozwiązania wyrażają tym samym zgodę na przetwarzanie ich danych osobowych. SMS-y należy wysłać pod numer 72550 (płatny 2,46 PLN + VAT) do 10 marca 2024 r.

Rozwiązanie „JOLKI-1156” z nr. 7: *Nadzieja to fatamorgana jutra.*
Nagrody otrzymują: Aleksandra Biernat z Warszawy, Jan Jędrzejewski z Warszawy, Juliusz Kidawa z Połańca.

Reszczyk zawodowiec

No to zobaczyliśmy, drodzy państwo, deep state. Mateusz Reszczyk, wicekonsul w Mumbaju, był przesłuchiwany przez sejmową komisję śledczą badającą aferę wizową. Co tu ukrywać – słuchało go uważnie pół MSZ. I się nie rozczarowało.

Rzecz bowiem w tym, że Edgar Kobos i Piotr Wawrzyk w swoim wizowym szaleństwie trafili fatalnie. Na Reszczyka właśnie. Bo on, gdy dostał mejle z Warszawy w sprawie wiz z nazwiskami osób (rzekomo zaangażowanych w produkcje filmowe), którym miał przyznać wizę, rozegrał to w stylu godnym swojej służby. Po pierwsze, nie odmówił. Po drugie, zabezpieczył całą korespondencję. Po trzecie, przeprowadził w tej sprawie własne śledztwo – pojechał z konsulem do centrum przyjmowania wniosków wizowych, które prowadziła firma VFS, przesłuchał aplikujących, zorientował się, ile mają wspólnego z przemysłem filmowym. Po czwarte, zwrócił się do agenta specjalnego rezydującego w konsulacie USA o sprawdzenie całej sprawy. Okazało się, że USA były świadome istnienia takiego kanału przerzutowego.

Jak widać, Reszczyk śledztwo przeprowadził, łącznie ze zgromadzeniem dowodów. Pytali więc posłowie, dlaczego mając takie materiały, nie wystąpił ich do prokuratury. Odpisał im, że prokuraturze nie ufał. Tą odpowiedzią zagrał ryzykownie – bo jeżeli miał jakieś podejrzenia, to nie miał prawa milczeć. Pozostają zatem dwie możliwości. Albo rzeczywiście milczał, kontentując się zebrany materiał z wiarą, że jak nastanie nowa władza, wtedy się to przyda. Albo też wcale nie milczał, tylko złożył informacje innej służbie. O jego działaniach wiedział przecież konsul, wiedział też amerykański agent federalny. Ich kontakty, próby o sprawdzenie bazy danych, nie odbywały się

nieformalnie. Zatem na całkowite milczenie nie mógł sobie pozwolić.

Ech, Edgar Kobos i Piotr Wawrzyk chyba nawet nie zdawali sobie sprawy, co robią i w jakie sieci wchodzi. Może gdyby wcześniej sprawdzili Reszczyka, byłiby bardziej ostrożni?

Bo sprawdzili go posłowie PiS i krzyczeli, że jest człowiekiem PO. Mieli rację, Reszczyk był w gabinetach politycznych szefów MSW z czasów Donalda Tuska. Był też asystentem Piotra Stachańczyka. I podobnie jak on krążył między MSW a MSZ.

Stachańczyk to wieloletni wiceminister spraw wewnętrznych, w MSZ był swego czasu szefem departamentu konsularnego. W MSW zajmował się m.in. repatriacją i imigracją. Zakładał też Urząd ds. Repatriacji i Cudzoziemców, którego był pierwszym szefem.

W tym przeświataniu pisowcy jedną rzecz zrobili niestannie. W 2016 r. Reszczyk był konsulem w Oslo i pisowska ekipa w MSZ z hukiem go odwołała. Ale w takim razie jakim cudem taki wróg PiS znów wyjechał na placówkę? Cóż to się stało? Jaki szatan (silny musiał być) był tu czynny?

Odłóżmy spekulacje na bok. Potraktujmy Reszczyka jako fachowca od imigracji. Otóż mówił on w Sejmie tak: „Afera wizowa przedstawiona przez media jest wyłącznie częścią znacznie większej afery: afery legalizacyjnej, migracyjnej. Odpowiedzialni za nią to ludzie, którzy odpowiadali za pracę wojewodów, za wydawanie dziesiątek, a może setek tysięcy pozwoleń na pracę, bo bez nich nie dałoby się złożyć wniosku wizowego”.

To jest ten najważniejszy trop.

Attaché

Akcja ratunkowa po wylaniu rzeki Acre w Cobija w Boliwii, 27 lutego 2024 r. Ewakuowano ponad 180 rodzin.



PENETRACJE

Z DOKUMENTACJI BADAŃ



PODKOMISJI SMOLEŃSKIEJ

W BOLLYWOOD PROTESTY



PRACOWNIKÓW EKIP FILMOWYCH



PROF. GEN. DYW. BOGUSŁAW PACEK,
DYREKTOR MUZEUM WOJSKA POLSKIEGO

W powszechnym przeświadczeniu Zachodu celem Rosji w wojnie w Ukrainie jest zbudowanie imperium, niektórzy nawet twierdzą, że stworzenie mocarstwa na wzór Związku Radzieckiego. Otóż zdecydowanie twierdzę, że o wiele ważniejszym celem jest, niezależnie od tego, czy słusznym, czy nie, zatrzymanie zbliżania się NATO, w tym USA, w stronę granic Rosji. W Moskwie liderzy tego państwa naprawdę wierzą w zagrożenie zachodnie. (...) Stratedzy zachodni, mający dostęp do informacji wywiadowczych, musieli mieć świadomość, rozbudzając przed 2008 r. najpierw w Gruzji, a potem w Ukrainie prozachodnie dążenia, a nawet składając im obietnice, że Rosja nie będzie patrzeć spokojnie na działania tych państw zmierzające w kierunku NATO. Najgorsze jest jednak to, że Zachód rozbudzał nadzieje, składał wstępne deklaracje, a potem się z nich albo wycofywał, albo odkładał realizację kolejnych kroków zbliżających te państwa do Zachodu na nie-dającą się przewidzieć przyszłość.



WOJCIECH ŁASKI,
FOTOREPORTER, ZAŁOŻYCIEL
AGENCJI FOTOGRAFICZNEJ EAST NEWS

Gen. Wojciech Jaruzelski miał wizerunek sztywniaka, dlatego chciałem sfotografować go na luzie. Dzięki znajomemu dotarłem do Wiesława Górnickiego, który pisał Wojciechowi Jaruzelskiemu przemówienia. Obiecał, że postara się pomóc umówić spotkanie. Trwało to kilka lat. No i pewnego dnia dzwoni w Paryżu telefon, że mam przyjeżdżać. Generał zaprasza. Zawieźli mnie do lasu. Zdziwiłem się, że tak ważny człowiek mieszka w takiej skromnej chatupce. Żołnierze tego domku pilnowali. Siadamy do stołu, pijemy jakąś herbatę, taka południowa pora, a pani Barbara, żona generała, pyta, czy jestem głodny. Mówię jej, że obiadu nie jadłem. A kanie pan zje? Wysłała z domu i po chwili przyniosła kilka tych pięknych, dorodnych grzybów. Wsadziła je w jajko, w bułce obtoczyła jak schabowego i usmażyła na patelni. Trzeba przyznać, że to było smaczne. Nigdy czegoś takiego w życiu nie jadłem. Zrobiłem zdjęcia, jak spacerują, a potem z córką Moniką jeździli na rowerach. Żeby mieć dobre ujęcie, położyłem się na liściach, fotografowałem ich od dołu.

PANI JOANNA KULIG,
AKTORKA

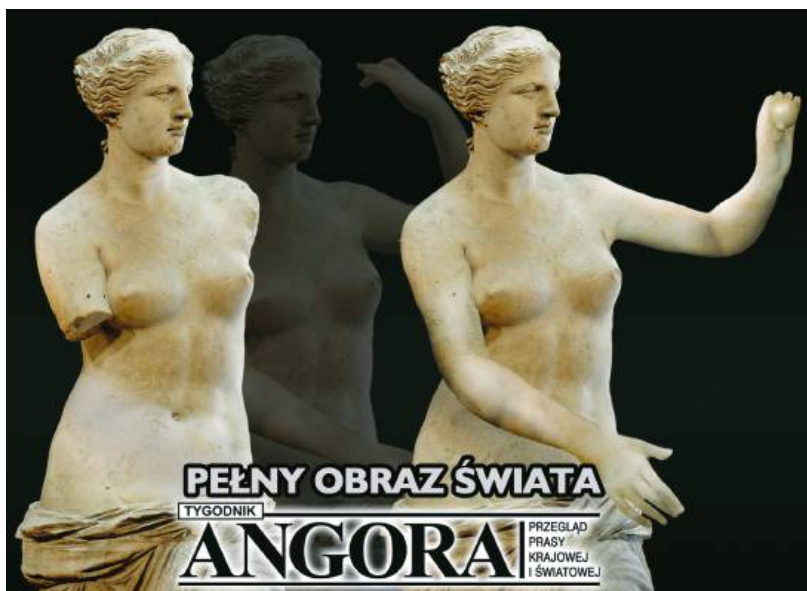
Nie lubię, jak ludzie czają się wokół mnie dlatego, że jestem tą Joanną Kulig, albo kumplują się ze mną dlatego, że będą mieć z tego coś dla siebie. Wyeliminowałam takie osoby z mojego życia, choć na początku niełatwo było odkryć ich intencje. Postanowiłam postawić na prawdziwą przyjaźń. Najbliższe mi osoby to w większości ludzie, których poznałam jeszcze przed sukcesem, kiedy mieszkiałam w małym mieszkanku i nie na wszystko mi starczało. Kiedyś czułam, że dla wszystkich powinnam być miła, każdemu powinnam coś dać. Może dlatego, że jestem z małej wioski i pochodzę z wielodzietnej rodziny. Gdzie wszyscy wszystkim się ze sobą dzielili... Nie wiem, czy takie wychowanie popłaca w dzisiejszym świecie. Musiałam się nauczyć asertywności.

20% WIDOCZNOŚCI

Spróbuj odczytać hasło widoczne tylko częściowo – myśl, której autorem jest Eurypides.

PEŁNY OBRAZ ŚWIATA
TYGODNIK
ANGORA
PRZEGLĄD PRASY
KRAJOWEJ
I ŚWIATOWEJ

ROZWIĄZANIE: TEN, KTO WRZĘKA SIĘ MIŁOŚCIĄ, JEST CHORY NIE MNIEJ OD TEGO, KTO ODDAJE SIĘ JEJ NADMIERNIE



ADRES REDAKCJI

03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7
Telefony +48 22 635 84 10,
+48 503 158 795, 503 159 027
fax +48 22 635 84 10 wew. 119
przeglad@tygodnikprzeglad.pl

tygodnikprzeglad.pl

Redaktor naczelny: Jerzy Domański j.domanski@tygodnikprzeglad.pl

Pierwszy zastępca redaktora naczelnego: Paweł Dybicz

Zastępcy redaktora naczelnego: Roman Kurkiewicz, Robert Walenciak

Sekretarz redakcji: Agata Gogółkiewicz

Zastępca sekretarza redakcji: Aleksandra Pańko

ZESPÓŁ I WSPÓŁPRACOWNICY:

Julian Bartosz, Tomasz Borejza, Marek Czarkowski, Regina Dachówna, Paweł Drag, Jakub Dymek, Beata Dżon-Ozimek, Jakub Katulski, Leszek Konarski, Marek Książek, Helena Leman, Mateusz Mazzini, Tomasz Miłkowski, Lech Miodek, Jan Ordyński, Rafał Pikuta, Maciej Polkowski, Eliza Sarnacka-Mahoney, Michał Sobczyk, Małgorzata Szczepańska-Piszcz, Konrad Szelest,

Bronisław Tumiłowicz, Krzysztof Wasilewski, Kornel Wawrzyniak, Andrzej Werblan, Elżbieta Wojtalik-Soroczyńska, Artur Zaborski, Beata Znamirska-Soczawa

Stali felietoniści: Tomasz Jastrun, Wojciech Kuczek, Bronisław Łagowski, Andrzej Romanowski, Andrzej Szahaj, Jan Władacki, Agnieszka Wolny-Hamkało

Rysownicy: Grzegorz Bąkowski, Kain May
Studio graficzne: Dorota Markowska-Burbelka, Anna Rosiak

Dyrektor artystyczny: Izabela Mierzejewska

Fotoreporterzy: Magdalena Głuska, Rafał Pyznar

Fotoreporter: Krzysztof Żuczkowski

Dział wydawnictw i reklamy:

Dyrektor: Anna Banaszek a.banaszek@tygodnikprzeglad.pl

Wicedyrektor: Agata Mierzejewska a.mierzejewska@tygodnikprzeglad.pl

Dział kolportażu: tel. +48 22 635 84 10 wew. 120

e-mail: kolportaz@tygodnikprzeglad.pl

Wydawnictwa książkowe: tel. +48 22 635 84 10 wew. 111

e-mail: sklep@tygodnikprzeglad.pl

Sprzedaż elektroniczna: sklep.tygodnikprzeglad.pl

Aby język giętki...

GUY SORMAN O PiS

PiS już nigdy nie wróci do władzy. Partia Kaczyńskiego była ostatnim podrygiem starej, wiejskiej Polski ze wszystkimi jej urokami.

RADOSŁAW SIKORSKI

O ANTONIM MACIEREWICZU

Pozostaje gniew, że takiemu cynicznemu świrowi ktoś dał władztwo nad wojskiem polskim i środki publiczne na propagowanie urojeń.

MAREK BOROWSKI

O NAUCZANIU RELIGII W SZKOŁACH

Szli z misją, a jak doszli, to i pieniądze się znalazły. Misyjne – oczywiście.

KRZYSZTOF VARGA O PROFESORACH POPIERAJĄCYCH KACZYŃSKIEGO

Dla Nowaka Kaczyński był za łagodny, dla Legutki za okrutny, nie dogodzi człowiek tym intelektualistom, szczególnie krakowskim.

MAREK SAWICKI

DO WŁODZIMIERZA CZARZASTEGO

Włodziu, dlaczego ty ode mnie oczekujesz, że będę popierał twoje projekty, jak ja ci nigdy takich obietnic nie składałem.

ALICJA MAJEWSKA

O 49 LATACH Z WŁODZIMIERZEM KORCZEM

Włodek twierdzi, że to zasługa jego nieludzkiej cierpliwości. A ja, że to moja nadzwyczajna wyrozumiałość.

KAMILLA BAAR O AKTORSTWIE

Wiem, że dobrze wybrałam, jestem fanką mojego zawodu, bo daje możliwość improwizacji. Karmię się życiem, które wiadomo, jak się skończy.

Redakcja nie zwraca materiałów niezamówionych, zastrzega sobie prawo do opracowywania i skracania tekstów. Za treść ogłoszeń redakcja nie odpowiada. Redakcja ma prawo do odmowy publikacji ogłoszeń.

Wszelkie prawa zastrzeżone. Rozpowszechnianie artykułów opublikowanych w „Przeglądzie” bez zgody wydawcy jest zabronione. Przedruki po uzyskaniu zgody wydawcy.

Sprzedaż numerów aktualnych i archiwalnych po cenie niższej od ustalonej przez wydawcę jest nielegalna i grozi odpowiedzialnością karną.

Druk: Quad/Graphics Europe Sp. z o.o.
07-200 Wyszaków, ul. Pułtуска 120

WYDAWCA: Fundacja Oratio Recta

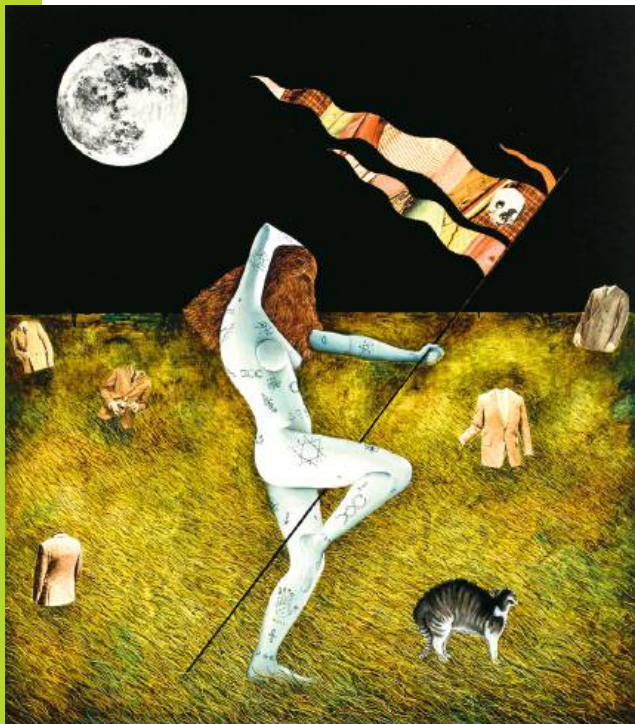
03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7

NIP: 951-19-67-251, REGON: 016275090

KOD SWIFT: WPKPLPP, IBAN: PL

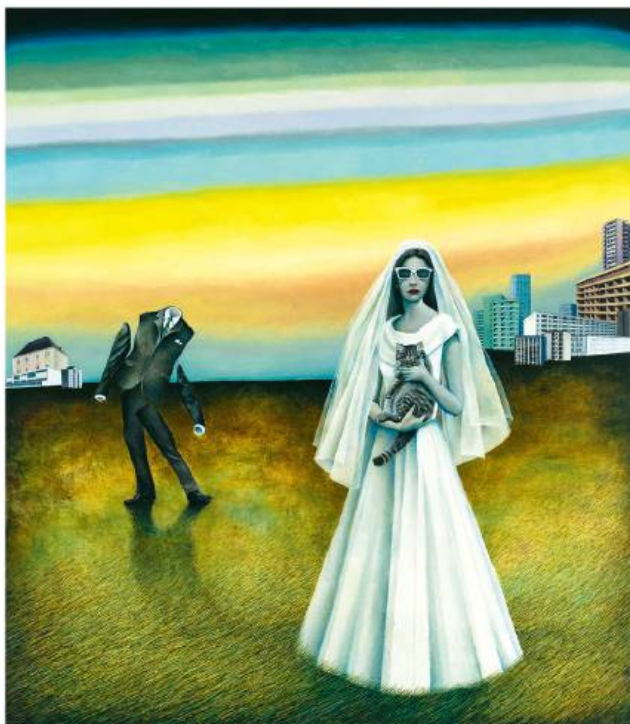
Nr konta: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821





Empress

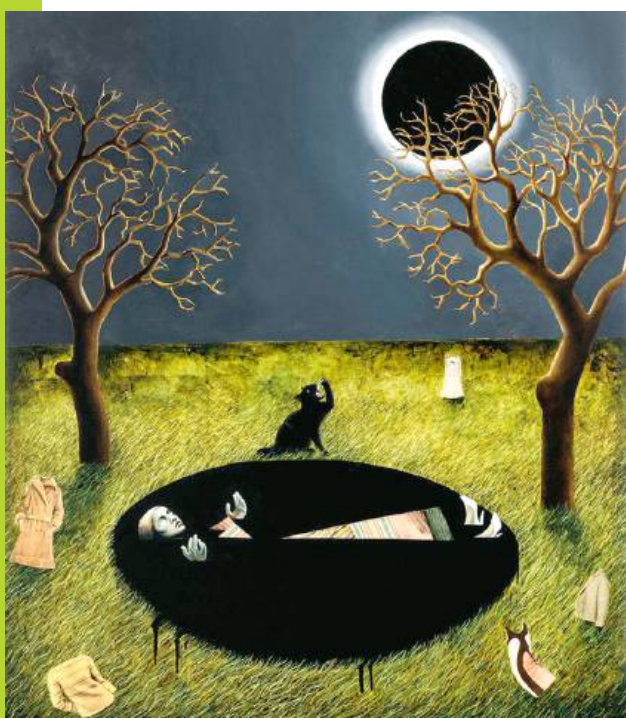
W najnowszym cyklu obrazów „Witch hunt” (2022-2023) Mateusz Szczypiński przygląda się rozbudowanej sieci dzisiejszych rytuałów, których formy co prawda uległy uwspółcześnieniu, ale intencje ich sprawowania – niekoniecznie. Patriarchalny dyskurs o przesądach i zabobonach zazwyczaj traktuje o kobietach, choć magiczna interpretacja świata kusi wszystkich w równym stopniu. Dziesiątki lat ludowych wierzeń opartych na stereotypach umocniły negatywny obraz baby – czarownicy, piekielnicy, dziewczuchy – utożsamianej z tym, co złe i chaotyczne. Nawet pocziwe babie lato, czyli miłe jesienne ocieplenie na przełomie września i października ma upiórowe i złośliwe znaczenie. Babie lato jest bowiem



Last day of spring

starą babą, której unoszące się wraz z wiatrem długie, siwe włosy wpłatają się w gałęzie krzewów. Choć ciepłe powietrze przynosi ukojenie, zwiastuje ono nadchodzący chłód i rozciąca ciemność na długie miesiące; jest ostatnią chwilą słonecznej pogody. W swoich obrazach Szczypiński przedstawia bezczelne wiedźmy, Ofelie i Walkirie, otoczone bezgłowymi marionetkami w garniturach, widzimy je w chwili, gdy stają na głowie, by odwrócić te przewidywalne, utarte przez wieki scenariusze.

Warszawa
ul. Wilcza 29A/12, lok. 30
do 19 kwietnia



Escape velocity



Babie lato



XXVI OGÓLNOPOLSKI FESTIWAL Sztuki Słowa

„...czy to jest kochanie?”

15.03.2024

godz. 19:00

Galeria Nobilis
cena biletu: 70zł

**Recital
Jarosława Chojnackiego**

16.03.2024

godz. 10:00-14:00

Scena na piętrze
wstęp wolny

**Prezentacje konkursowe
w kategorii recytacja**

godz. 16:00-20:00

Galeria Nobilis
wstęp wolny

**Prezentacje konkursowe
w kategorii piosenka poetycka**

17.03.2024

godz. 17:00

Duża Sala Kina Światowid
cena biletu: 130 zł

Koncert Galowy

Koncert Laureatów

XXVI edycji OFSS

„...czy to jest kochanie?”

oraz

Koncert

Hanny Banaszak

Centrum Spotkań Europejskich „Światowid” w Elblągu, Plac K. Jagiellończyka 1, 82-300 Elbląg
tel. 55 611 20 50, fax 55 611 20 60 email: info@swiatowid.elblag.pl www.swiatowid.elblag.pl

Sponsorzy:

Opieka medialna:

Patronat medialny:



BRANIEWSKO-PASLECKI
BANK SPÓŁDZIELCZY
Z SIEDZIBĄ W PASLEKU



W ROLI GŁÓWNEJ GWIAZDA GWIEZDNYCH WOJEN
DAISY RIDLEY

UROCZA OPowieŚĆ
O NASZYCH LĘKACH

IndieWire

DUŻO CZUŁOŚCI
I UWAGAŃ

FILMWEB

ODŚWIEŻAJĄCY
I PEŁEN HUMORU

Hollywood
REPORTER

Czasem myśle o umieraniu



AURORA

W KINACH OD 1 MARCA